

Nr 7 (284). Rok XXV. LIPIEC 2019 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktora

TOMASZ BIENEK Sekretarz redakcji

MARIA KORUSIEWICZ
Kultura, literatura, sztuka

LAURA RYNDAK Korekta

Stali współpracownicy:
EWA BARTOS,
MAGDALENA DZIADEK,
MARIAN G. GERLICH,
RYSZARD JASNORZEWSKI,
PAWEŁ MAJERSKI,
WOJCIECH LIPOWSKI,
JULIA MONTEWSKA,
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO,
WIEŚŁAWA KONOPELSKA,
JAN MIODEK,
KATARZYNA NIESPOREK,
JERZY PASZEK,
HENRYK SZCZEPAŃSKI,
JOANNA WAROŃSKA

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: Tomasz Kowalski
e-mail: tomekk1959@tlen.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz
skracanie korespondencji.

Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Egzemplarze archiwalne można zamówić
pod adresem:
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Tadeusz Sierny* OD REDAKTORA
4 *Agnieszka Zielińska* LEGENDY MIEJSKIE STRASZĄ I BAWIĄ
8 *Tomasz Bienek* DOPY, W KTÓRYCH MIESZKA ZŁO
10 *Andrzej Jarczewski* TOWARZYSZYĆ W BEZDOMNOŚCI. ROZMOWA Z JANEM SZNAJDEREM
13 *Andrzej Jarczewski* NAJDALSZE OBSERWACJE
22 *Marek Skwara* CENTRUM NAD TORAMI
24 *Henryk Szczepański* 100 LAT ŚLĄSKIEJ INSUREKCJI ZANIM WYBUCHŁO PIERWSZE POWSTANIE
30 *Maciej Bartków* TAJEMNICZY BYTOM
34 *Małgorzata Lichecka* LEGENDA GLIWICKA NA ŚCIANIE
40 *Tadeusz Sierny* WSPOMNIENIE O MYŚLICIELU I AUTORZE
41 *Marian Kisiel* HUMANIŚCI NA ŚLĄSKU: PROFESOR JÓZEF BAŃKA
44 *Radosław Kobierski* SZEMA POLIN
48 HISTORIE PACHNĄCE BETONEM *Dariusz Pietrucha* DOBIESZOWICE – PIERWSZE DZIECKO
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE *Julia Montewska* PAŁAC W ROGOWIE WOŁOWSKIM
54 *Konstancja Snopczyńska* MOJE CIAŁO MUSUJE. O POEZJI ANNY ŚWIRSZCZYŃSKIEJ
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PEGAZ DĘBA DON KICHOT DLA DOROSŁYCH I DOWCIPNYCH
61 *Jerzy Paszek* GROMBA I TURNULKA W TRANS-ATLANTYKU
75 *Radosław Kobierski* ŻARTY NA SERIO
76 *Małgorzata Laburda-Lis, Judyta Ścigała* WYSTAWA NA DWORCU
78 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* CORVINIANUM Z TORUNIA
80 *Andrzej Gąsiorowski* ŻYCIE PO REWITALIZACJI
88 *Wojciech Lipowski* POZOSTAŁ TYLKO STRACH

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 *Krzysztof Rzeźniczek* PRZERWA METAFIZYCZNA
68 *Maria Korusiewicz* ŻYWIŁO CIEMNEJ MATERII – IMPRESJE O MALARSTWIE KRZYSZTOFA RZEŹNICZKA
69 GALERIA: KRZYSZTOF RZEŹNICZEK MALARSTWO
74 *Agnieszka Zielińska* MALARZ ULOTNEGO, KOBIECEGO PIĘKNA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Robert Gawłowski* LOGOS
14 *Robert Gawłowski* WIERSZE
16 *Wikentij Wieriesajew* NOTATKI NA WŁASNY UŻYTEK przełożył *Marian Kisiel*
29 ZE STARYCH I NOWYCH PRZYOKAZYJEK *Marek Piechota*
38 *Konfucjusz* MYŚLI (sparafrazował *Marian Kisiel*)

FELIETONY

- 36 MIĘDZY NUTAMI. *Magdalena Dziadek* SŁOWNIK MUZYKÓW KOŚCIELNYCH
37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* ONĘ CHCĘ MIŁOWAĆ
47 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* PIĘKNE MIASTO, A MY COROZ GORSI
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* MAGICZNY SAKSOFON ALINY

KSIĄŻKI

- 64 *Katarzyna Niesporek* Z PERSPEKTYWY ŚRODKA
66 *Marian Kisiel* SZKOŁA DOKTORSKA
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY
84 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Krzysztof Rzeźniczek „Julita na molo w Heringsdorf”, 2013 olej na płótnie, 100 x 80 cm.
Tył okładki: opuszczone zabudowania przy ul. Staszica w Sosnowcu, foto. Tomasz Bienek.

Od Redaktora!

W lutym minionego roku pytaliśmy się siebie i naszych czytelników, czy jest możliwa zmiana paradygmatu w jakim postrzegany jest Górny Śląsk i województwo śląskie. Tym bardziej więc cieszy nas fakt ukazania się oficjalnego dokumentu Zarządu Województwa Śląskiego zatytułowanego: **Plan Działań Transformacji Regionu** sygnowany datą z dnia 03.07.2019. Materiał przygotowany został w Wydziale Rozwoju Regionalnego Urzędu Marszałkowskiego przez Regionalne Centrum Analiz i Planowania Strategicznego.

Autorzy dokumentu podkreślają, że: cyt.: „Zmiana profilu gospodarczego regionu, będzie wymagała również podjęcia m.in. działań związanych z rozwojem kapitału ludzkiego i społecznego oraz tworzenia atrakcyjnych miejsc pracy i podnoszenia jakości przestrzeni i środowiska z wykorzystaniem istniejącego potencjału oraz uwzględnienia dynamicznych zmian zachodzących w otoczeniu”. Z racji profilu naszego pisma najbardziej interesujące wydają się być rozdziały tego dokumentu podejmujące tematykę: Demografii i **problemów społecznych, Badań i rozwoju, Przemysłów kreatywnych, Wojewódzkich instytucji kultury**. Dokument ma nie tylko znaczenie strategiczne, ale i zapewne formalne, bowiem będzie jednym z wielu materiałów — obok kilkunastu już istniejących w naszym województwie sektorowych Strategii (np. komunikacji, kultury itp.) — w kreowaniu perspektyw rozwoju naszego województwa w kolejnym okresie planowania finansowania różnych ważnych przed-

sięwzięć ze środków unijnych w latach 1921–1927. „Opracowany dokument będzie stanowił bazę i punkt odniesienia dla podjęcia dalszych działań strategicznych i programowych na rzecz transformacji województwa śląskiego, zarówno pod względem dywersyfikacji gospodarczej, jak i przemian technologicznych, które zostaną rozwinięte i doprecyzowane w aktualizowanej Strategii Rozwoju Województwa Śląskiego oraz powstającej Strategii Rozwoju Gospodarczego Województwa Śląskiego.

W wyniku oceny stanu obecnego oraz analizy otoczenia i możliwych zmian wyznaczono obszary problemowe, następnie priorytety oraz odpowiadające im cele operacyjne. Cele i kierunki działań wyznaczają pole możliwości do realizacji grup przedsięwzięć i projektów. Dokument ma charakter otwarty i zakłada się, że w kolejnych latach zostanie zaktualizowany o nowe przedsięwzięcia, realizowane w średniej i dłuższej perspektywie, z uwzględnieniem nowych źródeł finansowania, również środków unijnych dostępnych w perspektywie finansowej 2021–2027.”

Nawet pobieżna analiza zawartości tego dokumentu w chociażby wyżej wskazanych fragmentach skłania do refleksji nad zawartymi tam treściami. W kolejnych numerach zaprosimy ekspertów do rozmów na te tematy.

Na 167 gmin w naszym województwie, zaledwie **71** z nich to miasta (**42,5%**). Na ponad 4,5 miliona mieszkańców województwa śląskiego, w miastach mieszka 3 496 000 naszych

obywateli, czyli prawie aż **78%** mieszkańców województwa. Zdecydowana większość z nas wybrała więc życie w ośrodku miejskim. Niestety, nie przybywa nas, ale wszystkie miejscowości trapi proces zmniejszania się ilości naszych sąsiadów, w 2018 roku w skali całego województwa ubyło nas o prawie 1,5% liczby dotychczasowych mieszkańców. Wyludniają się śródmieścia, przenosimy się do przedmieść lub do gmin wiejskich. Paradoksalnie tam jakość życia tych mieszkańców jest lepsza.

W numerze lipcowym poszukujemy więc nie tyle sensacji w zurbanizowanym śląskim regionie, ale pewnych nadzwyczajnych, niecodziennych zjawisk i ciekawych ludzi, którzy nam towarzyszą w tej zwyczajnej codzienności. Miasta mają swoje tajemnice, swoje rzadko odwiedzane zaułki i ukryte skarby, o których przechodząc obok nich często nic nie tylko nie wiemy, ale nawet nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia. Chcemy je zaanonsować i „ujawnić”, może i one przyczynią się do uatrakcyjnienia naszego tutaj pobytu.

Lipiec to miesiąc wakacji i planowanego odpoczynku. Dlatego wiele miejsca poświęcamy literaturze pięknej, poezji, teatrowi, zjawiskom kultury, różnym zainteresowaniom hobbystycznym.

Może naszą zurbanizowaną przestrzeń będziemy nie tylko akceptować, ale pewnie i moglibyśmy ją jeszcze bardziej polubić.

Tadeusz Sierny

Logos

Błękit nieba i to, co błękit otacza.
Mrowie gwiazd i to, co gwiazdy otacza.
Miliardy galaktyk i to, co galaktyki otacza.
Czarne dziury i to, co czarne dziury otacza.
Wszystko i to, co otacza Wszystko.
Niewymowne, niewypowiadalne, niepojęte,
niepojmowalne.

foto. Maria Korusiewicz



ROBERT GAWŁOWSKI (1957) – poeta, dziennikarz, krytyk, autor sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych i scenariuszy filmowych. Wierszami debiutował w roku 1977. Wydał m.in. zbiory: *Nie ukrywajmy tego szaleństwa* (1983), *Ograniczony wybór* (1984), *Marko Polo* (1987), *Podróż chroniczna* (1997), *Georg – ostatnie chwile, ostatnie błyski* (1998, poemat o Georgu Traklu) oraz manifest poetycki *Księżeczka o poezji* (1997).

Sza, ściany mają uszy...

W Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych początki naukowych badań nad plotką to lata 30. ubiegłego stulecia. Rozpoczęto je w czasie II wojny światowej, gdy niepokoje społeczne, polityczne i rozpad świata tradycyjnych wartości szczególnie sprzyjały powstawaniu plotek. Badacze przywołują słynne stwierdzenie „Sza, ściany mają uszy”, którym alianci bronili się przed przepływem informacji z nieoficjalnych źródeł i właśnie plotkowaniem. Obawiano się bowiem, że plotki mogłyby zniszczyć naradowego ducha walki i pomóc wrogom w pozyskaniu odpowiednich informacji. Pierwsi definicję plotki sformułowali Amerykanie, Gordon Allport i Leo Postman w latach 40. ub. wieku. Kompleksowe badania nad plotką przypadają jednak dopiero na lata 60 i 70 ub. stulecia. Od 1982 roku na uniwersytecie w Sheffield odbywały się już doroczne konferencje naukowe dotyczące plotki. W 1989 roku naukowcy spotkali się na konferencji na uniwersytecie teksańskim. Z czasem konferencje nabrały charakteru międzynarodowego, jednym z głównych inicjatorów spotkań był Bill Ellis. W 1988 roku powstaje w Wielkiej Brytanii Międzynarodowe Towarzystwo do Badania Legendy Współczesnej, które również organizuje regularnie sympozja na temat współczesnego folkloru i plotki.

Początkowo badania łączono z folklorem poszczególnych grup zawodowych. Legendy miejskie nazywano symbolicznymi lub nawet czarodziejskimi prawdami. Bill Ellis zaklasyfikował je jako legen-

Legendy miejskie straszą i bawią

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Jedną z najbardziej popularnych polskich legend miejskich była historia, o tym że Anna Jantar przeżyła katastrofę samolotu, ale została porwana do arabskiego haremu. Za jej życie szejik miał zażądać tyle złota — ile kobieta ważyła. Kolejna opowieść dotyczyła „czarnej wołgi”. Na przełomie lat 70. i 80. w całej Polsce straszono się księdzem i zakonnicą, podróżującymi czarnym samochodem, którzy porywają dzieci, by ich krew przeznaczyć na operacje dla decydentów partyjnych. W rzeczywistości nigdzie w Polsce nie odnotowano podobnego wypadku. Mimo to plotka wzbudzała ogromne emocje. Współcześnie fascynują nas historie o lądowaniu kosmitów (także w Polsce, co jakiś czas pojawiają się kręgi pozostawione w zbożu rzekomo po lądowaniu UFO) lub opowieści o tym, że światową gospodarką i polityką zarządza tajna organizacja. Legenda miejska to zawsze opowieść fikcyjna, której różne warianty pojawiają się w różnych miejscach i czasie. Gdy opowieść umiera, podchodzi się do niej z dystansem, z uśmiechem. To znak, że plotka się wycisza. Za kilka lat pojawi się w nowej formie i cykl się powtórzy.

dy handlowe, uznając że ma do czynienia ze skutkami źle prowadzonego marketingu i ostrej krytyki przemysłowych przedsięwzięć. Współcześnie za klasycznych badaczy makroplotki, w kulturze angloamerykańskiej, uznaje się Alana Dundesa, Lindę Degh, Billa Ellisa, Paula Smitha i Guiliama Bennett. Niezwykle ważne są cztery zbiory Jana Harolda Brunvanda, wykładowcy języka angielskiego i folkloru na Uniwersytecie w Utah. Mimo że badania w tej dziedzi-

nie w krajach anglosaskich były bardziej rozpowszechnione, również we Francji odbyło się kilka znaczących konferencji tematycznych związanych z plotką. Ich współorganizatorami obok Jeana-Nola Kapferera byli także dwaj inni badacze francuscy zajmujący się tą dziedziną: Veronique Campion-Vincent i Jean-Bruno Renard. We Francji powstała specjalna instytucja zajmująca się archiwizacją i badaniem plotki.

W Europie Środkowo-Wschodniej za początki badań nad plotką należy uznać prace Józefa Ligęzy m.in. publikację pt. „Ludowa literatura górnicza” i Doroty Simonides, „Współczesna śląska proza ludowa”. Kolejne publikacje J. Ligęzy i Doroty Simonides ukazują się w latach 70. ub. wieku. W 1985 roku pojawia się publikacja Dionizjusza Czubali „Opowieści z życia. Z badań nad folklorem współczesnym”. Efekty dalszych badań tego tematu zawiera tekst pt. „Opowiadania ludowe” Doroty Simonides i Janiny Hajduk — Nijakowskiej zawarty w „Folklorze Górnego Śląska”. Kompleksowo problem legendy współczesnej omawiają publikacje Dionizjusza Czubali, „Współczesne legendy miejskie” i „Nasze mity współczesne”. W latach 90. ub. wieku pojawiają się też dalsze publikacje w czasopismach „Lud” i „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty”, „Kultura i społeczeństwo”, m.in. Dionizjusza Czubali, Huberta Czachowskiego oraz Czesława Robotyckiego. Tematyka ta pojawia się na konferencjach naukowych.

Jak wskazuje, Dionizjusz Czubala, o przynależności sensacji do folkloru świadczy jej popularność, kolektywny i spontaniczny proces tworzenia oraz przeważnie ustny proces przekazu. Współczesne legendy to opowiadania traktowane jako wy-

foto. Tomasz Błonek



Katowicka „superjednostka” to nie tylko architektoniczna wizytówka miasta, ale też budynek owiany ogromną ilością legend miejskich, które na przestrzeni dekad rodziły się w labiryntach korytarzy i pomieszczeń tego bloku. Do najpopularniejszych należą opowieść o wyrzuconej z ostatniego piętra monecie, która zabiła idącego chodnikiem przechodnia, relacja o samobójczyni która trzymając w dłoni czerwoną różę rzuciła się z dachu, rewelacje o ludzkich szczątkach odnajdowanych w śmietniku oraz pochodząca z lat 80. historia o szajce złodziei, którzy w swojej melinie w podziemnych garażach uwięzili jednego z uczniów pobliskiej szkoły (w wersji z lat 90. w opuszczonym garażu miał urzędować z kolei pedofil).

darzenia prawdziwe, które krążą w tradycji ustnej nowoczesnych społeczności i wykazują się wariantaowością. Legenda miejska określana jest także makroplotką, pogłoską, wieścią, nowiną, mi-tem i sensacją.

Dla szerokiego gremium odbiorców interesujący jest m.in. cykl popularno-naukowych programów telewizyjnych

„Prawda czy fałsz. Pogromcy mitów”

Emitują je: Discovery Channel, Discovery Science, a także w jakości HD Discovery HD Showcase. 10 serii zrealizowano w latach 2003-2016, powstało 180 odcinków. W języku polskim możemy je oglądać np. w portalu YouTube lub na platformie Netflix. Gospodarzami programu są eksperci w dziedzinie efektów specjalnych: Adam Savage i Jamie Hyneman, którzy przy użyciu metod naukowych sprawdzają prawdziwość licznych plotek, mitów, scen z filmów i filmików wideo oraz licznych opowieści krążących w kulturze popularnej. Sprawdzano, np. czy balony wypełnione helem mogą unieść dziecko. Okazało się, że potrzeba ich setek, by unieść przeciętne trzyletnie dziecko. Zupełnie inaczej niż przedstawiają to filmy komediowe, w których zwykle kilkanaście balonów zabiera ze sobą malca. Kolejny mit: kichnięcie z otwartymi oczami spowoduje ich wypadnięcie. Ten mit również został obalony, nie jest to bowiem możliwe. Dalej — pokrycie farbą całego ciała jest śmiertelne (ma powodować uduszenie się) – mit z jednego z filmów o Jamesie Bondzie. W rzeczywistości człowiek może się źle czuć z powodu gorąca, lecz niedobór tlenu uzupełnia głębszym oddychaniem. I kolejna opowieść portfele ze skóry węgorka elektrycznego mogą skasować karty magnetyczne. W rzeczywistości galanterię „z węgorka” wykonuje się ze skóry śluzicy, która broniąc się wydała znaczne ilości śluzu. Dla pewności kartę przyłożono do żywego węgorka – nie została skasowana.

Dla Dionizjusza Czubali, każdorazowo dowodem tego, że mamy do czynienia z plotką, a nie z opowieścią prawdziwą jest właśnie tworzenie jej różnych wariantów. Rzecz dotyczy zawsze kogoś z dalszych znajomych, nigdy jej bohaterem nie staje się osoba, która legendę opowiada. Czas i miejsce akcji wydarzeń zmieniają się. Legendy miejskie mówią o tym czego ludzie się boją, przed czym wzajemnie chcą się przestrzec, jakie doświadczenia chcieliby przekazać innym. Jean-Nol Kapferer, wskazuje na kilka obszarów życia społecznego szczególnie podatnych na plotkę, to polityka, ekonomia i gospodarka oraz seks; zbrodnie i życie wyższych sfer. Gary Alan Fine pisze o seksie i pieniądzu. Do najpopularniejszych historii na kontynencie amerykańskim należą te dotyczące szeroko pojętej kwestii motoryzacji i samochodów, np. opisany



Legendy miejskie, podobnie jak ich starsze siostry – opowieści grozy, bazują na odwiecznych i pierwotnych ludzkich fobiach i lekach. Na zdjęciu mural z wampirem Nosferatu w Piekarach Śląskich.

przez Jana Harolda Brunvanda słynny „znikający autostopowicz”, kwestie UFO i lądowania kosmitów na Ziemi (choćby pozostawione podobno przez statki kosmiczne kręgi w zbożu) oraz zjawiska paranormalne, czy Yeti — człowiek śniegu. Wspólnym tematem plotek w wielu narodowościach w latach 80. i 90. ub. stulecia był strach przed AIDS. Wierzono, że wystarczy ukąszenie komara by zarazić się wirusem HIV. Obawiano się wizyty u fryzjera, kosmetyczki, czy dentysty. Bardzo popularna była opowieść zatytułowana „Witamy w klubie AIDS”, odnotowywana przez Jana Harolda Brunvanda, Gary’ego Alana Fine’a, Dionizjusza Czubalę i wielu innych badaczy. Historia mówiła o tym, że młoda kobieta lub młody mężczyzna chorzy na AIDS mszczą się na ludziach zdrowych, celowo ich zarażając, np. przez odbycie stosunku seksualnego. Inne wersje historii opowiadały o zarażaniu za pomocą igły i strzykawki.

— Te opowieści były niezwykle popularne. Np. jedna z nich mówiła, że wśród studentów w kampusie akademickim miała grasować narkomanka. Ponieważ

była śliczną dziewczyną młodzi mężczyźni chętnie ulegali jej wdziękowi. Po kilku dniach kobieta informowała swoich partnerów, że teraz także oni należą do klubu AIDS. Podobną historię opowiadano w Europie Zachodniej, tu ofiarą była młoda dziewczyna, która wyjechała na wakacje. W kurorcie poznała bardzo przystojnego mężczyznę, podczas rozstania otrzymuje od niego prezent, ale ukochany prosi, by otworzyła paczuszkę dopiero po powrocie do domu. Kiedy dziewczyna ogląda prezent w domu znajduje na atlasowej poduszeczce zdechłą mysz, a z karteczki dowiaduje się, że została zarażona wirusem HIV — podkreśla folklorysta prof. dr hab. Dionizjusz Czubała.

Inna historia niezwykle popularna w Stanach Zjednoczonych, mówiła o młodym narkomanie, które pracował w restauracji szybkiej obsługi. Chcąc zemścić się na innych, dodawał do kanapek swojej krwi. Opowieść robiła tak wielkie wrażenie, że historia doprowadziła sieć restauracji niemal do całkowitej plajty. Plotka wybuchła bowiem na terenie stanu Floryda w czasie wakacji. Młodzi ludzie wra-

cający stamtąd do domów rozpowszechniali ją na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Podobne wydarzenie było także w Sosnowcu. Tu jeden z fryzjerów oskarżony o to, że jest nosicielem wirusa HIV miał stracić wszystkich klientów, ponieważ ludzie ze strachu zaczęli omijać jego zakład.

Historie „zza grobu” i nie tylko

Specjalną grupę pogłosek stanowią opowieści o strasznych domach. Jeden z nich ma znajdować się w Będzinie. Popularna kilkanaście lat temu historia mówiła, że morderca ukrywał w domu trupy swoich ofiar. Od tamtej pory w pomieszczeniach przedmioty lewitowały, na podłogę wysypywała się zawartość szaf. Widać było na ścianach zarysy postaci. W końcu dom opustoszał. Nikt nie chciał w nim zamieszkać. Mimo że właściciele długo zabiegali, by komuś go wynająć. Podobny dom, w którym miało straszyć znajduje się też w Rudzie Śląskiej.

Opowieści o duchach dotyczą też znikającego autostopowicza. Jadący w czasie ulewnego deszczu kierowca spostrzeżony na poboczu drogi przemokniętą dziewczynę. Zatrzymuje się proponując podwiezienie. Dziewczyna prosi, by odwieźć ją do domu i podaje adres. Gdy dojeżdżają na miejsce okazuje się, że kobieta zniknęła. Zaskoczony kierowca puka więc do najbliższego domu i tam dowiadyuje się, że dziewczyna rzeczywiście tu mieszkała, ale zmarła kilka lat wcześniej. Kierowca podwoził więc ducha. Inny wariant opowieści mówi o kobiecie w czerni, która chce dojechać na cmentarz. Następnie prosi uczynnego kierowcę, by pomógł jej wejść do cmentarnej kaplicy. W środku znajdują żywe dziecko. Wtedy kobieta znika. Interwencja matki zza grobu pozwoliła ocalić mu życie. Legendy miejskie często wyrażają

także strach przed cywilizacją. Najwięcej legend dotyczy samochodów, choćby dlatego że towarzyszą one człowiekowi na każdym kroku. Plotki nie omijają też wielkich supermarketów. Opowiada się, że z publicznych toalet porywa się kobiety do arabskich haremów.

Historie opowiada się także o różnego rodzaju urządzeniach domowego użytku. Dziecko chcąc sprawdzić działanie kuchenki mikrofalowej, wkłada do środka żywe zwierzątko, które zostaje upieczone. W kocach przywożonych z Dalekiego Wschodu można znaleźć jadowitego węża, w doniczce z egzotycznym kwiatkiem, jaja pająka. Niebezpieczny pająk może też wydostać się z bananów. Szczególna kategoria plotki to choćby obrzydliwości związane z jedzeniem. W Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych badaniom takich historii poświęca się bardzo wiele uwagi. Choćby dlatego, że wielkie sieci handlowe lub właściciele restauracji szybkiej obsługi ponoszą spore straty, gdy takie legendy zaczynają się rozprzestrzeniać. Mówi się, że do produkcji żywności używa się szczerzego mięsa, lub że istnieją cukierki, które wybuchają dzieciom w brzuchu.

Jednym z popularnych wątków plotek była na przełomie lat 80. i 90. ub. wieku opowieść o podawaniu w sieci fast foodów kotletów z mięsa z dżdżownic. Aby wyciszyć plotkę firma wykupiła w popularnym paśmie telewizyjnym czas antenowy i zaprzeczała tej opowieści. Skierowano także pismo do ministra gospodarki USA, aby niezależni inspektorzy potwierdzili, że korporacja zachowuje zasady higieny żywienia. Specjalnie przygotowane reklamy potwierdzały również, że hamburgery zawierają czyste wołowinę. Korporacja zastosowała w swojej kampanii jeszcze jeden ważny argument. Tłumaczono, że zjawisko jest absurdalne

z przyczyn ekonomicznych. Porcja wołowiny jest pięciokrotnie tańsza od mięsa z dżdżownic. Ta wiadomość okazała się najsukcesywniejsza, osoby które początkowo wierzyły tej historii z czasem zaczęły z niej żartować.

Dla Finea to, że plotki dotyczą w znakomitej większości bardzo znanych korporacji, jest dowodem mocnej pozycji rynkowej tych sieci. Z badań wynika, że niezwykle rzadko plotki odnoszą się do małych lokalnych sklepów, cukierni czy firm produkcyjnych. Dzieje się tak m.in. dlatego że firmy działające od wielu lat na rynku światowym ugruntowały na nim swoją markę. Ujemną stroną takiej popularności jest właśnie pojawienie się legend miejskich. Dla przeciętnego odbiorcy logo znanej firmy jest symbolem, wyznacznikiem pewnych produktów w rozumieniu ogólnym. Nazwa restauracji McDonald's jest synonimem nie tylko przygotowywanej przez sieć kanapki, ale jest równoznaczna w ogóle ze słowem hamburger. Coca-cola to najpopularniejszy na świecie napój bezalkoholowy, trwale wpisany w codzienną kulturę wielu zbiorowości. Z drugiej strony dlatego napój jest najczęściej atakowany przez plotki. Taka dominacja zachodnich korporacji powoduje tzw. efekt Goliata. Badacze określili specjalną grupę wątków plotek opowiadających o napojach, a zwłaszcza o coca-coli pojęciem cokelore. Na stronach internetowych poświęconych cokelore, pojawia się kilkadziesiąt plotek o tym napoju.

Plotki nie zawsze straszą, istnieje specjalna kategoria zabawnych opowieści. Tak jak historie o osiągnięciach seksualnych czy zabawnych zbiegach okoliczności spotykających bohaterów np. wybuchający sedes. Takie są jednak znacznie mniej popularne.

Wampiry towarzyszą nam na co dzień

Co jakiś czas opinię publiczną Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska szturmują opowieści o „wampirach”, czyli brutalnych mordercach. (To echa prawdziwych wydarzeń i postaci brutalnego mordercy, który grasował tu w latach 60 i 70., został złapany przez milicję, skazany na karę śmierci, którą wobec niego wykonano. Do dziś jednak kontrowersyjny pozostaje fakt, czy istotnie tą osobą był Zdzisław Marchwicki i to także oddziałuje na wyobraźnię ludzi). Nawet w XXI w. taką opowieść słyszało się np. w Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Będzinie.

— Kilka lat temu w Sosnowcu wampir miał straszyć w pobliżu kampusu akademickiego Uniwersytetu Śląskiego. Najpierw dowiedziałem się, że ciało pierwszej z zamordowanych kobiet znaleziono w klatce schodowej mrówkowca w osiedlu przy ul. Ostrogórskiej. Początkowo pomyślałem, że jest to prawdziwe wydarzenie. Potem poznałem także inne warianty opowieści, jeszcze bardziej sen-

foto. Tomasz Biernicki



Nawiedzony dom to jeden z częstych bohaterów pojawiający się w miejskich legendach.

sacyjne. Legenda mówiła, że w mieście działa wampir, który morduje młode kobiety, gwałci je, i wycina im nerki. Mieśliśmy tu do czynienia z nałożeniem się dwóch wątków. Obydwa były stare i bardzo rozpowszechnione nie tylko w Polsce ale i za granicą. Pierwszy z nich odnosił się do samego aktu morderstwa, drugi mówił o porwaniach ludzi, by porwać im organy „na części zamiennie” – to nawiązanie do słynnej „czarnej wołgi”, do której porywano dzieci, by wyssać z nich krew. W Rosji popularna była legenda o tym, że grupy bandyckie porywają ludzi, by wycinać im żrenice potrzebne słynnym radzieckim chirurgom – okulistom. Taka plotka pojawiła się też w Polsce – dodaje prof. Czubała.

Z kolei w latach 90. w Polsce dwaj wracający z wakacji w Turcji studenci mieli zostać porwani przez nieznanego biznesmena, który podał im środki nasenne. Kiedy się obudzili, okazało się że znajdują się w przydrożnym rowie i obydwaj mają widoczne na ciele ślady po przeprowadzonych operacjach. Każdemu z nich wycięto jedną nerkę. Jeden z chłopaków zmarł. W Olsztynie w kampusie akademickim miało dojść do okaleczenia studentki. Elegancki mężczyzna zwał dziewczynę do hotelu, podał jej usypiającego drinka. Kiedy kobieta ocknęła się następnego dnia rano znajdowała się w wannie, obłożona lodem. Jej również wycięto nerkę.

— Drugi z wątków mówi o wampirze mordującym młode kobiety. Popularność takiej legendy wynika choćby z tego, że w Zagłębiu nadal żywe są opowieści o Marchwickim. Wcześniej odnotowałem plotki także o innym wampirze, który miał grasować w Sosnowcu — Zagórze — tłumaczy prof. Dionizjusz Czubała.

Siedem grzechów głównych

Nie można pominąć też ważnych dla popkultury legend o celebrytach, piosenkarzach, aktorach, a szczególnie o Elvisie Presleyu, czy Marilyn Monro. W Europie Środkowo-Wschodniej jednymi z polskich legend były te o Annie Jantar, która miała przeżyć katastrofę lotniczą, zostać porwana przez arabskiego szejka, który za powrót piosenkarki do domu żądał tyle złota, ile kobieta ważyła.

Świat polityki również nie jest wolny od plotki. Mało tego, w tym świecie jest ona czymś zupełnie naturalnym. Często bywa postrzegana jako narzędzie walki zastępujące przemoc fizyczną. W arsenał narzędzi użytych w politycznej wojnie ma wiele atutów. Pozwala rozpowszechniać informacje, których nie trzeba udowadniać, ukrywając przy tym rzeczywiste źródło opowieści. Może być elementem propagandy, fragmentem kampanii, albo efektem przypadku. To środek, ale zarazem wynik walki politycznej. Jej celem jest oczywiście również wyjaśnianie niezwykłych i kuriozalnych zdarzeń



Nowych podgatunkiem legendy miejskiej w Polsce po 1945 roku stały się wątki związane z podziemiami budowanymi przez hitlerowców podczas wojny. Były popularne zwłaszcza na Dolnym Śląsku oraz w przemysłowej części naszego regionu ze względu na nasycenie tych terenów realną podziemną infrastrukturą, która w plotkach i opowieściach rozrosła się do rangi podziemnych miast i obecnie jest zmyślnie wykorzystywana do promocji np. we Wrocławiu. Na zdjęciu wejście do porzuconego podziemnego bunkra w Sosnowcu.

w codziennym i szarym świecie. Aby skutecznie zdyskredytować osobę publiczną wystarczy ją oskarżyć o jeden z siedmiu „grzechów” — co odkrył francuski socjolog Kapferer. Może to być po pierwsze: przynależność polityka do tajnego stowarzyszenia decydującego o losach świata, dla którego demokracja jest tylko fasadą. Po drugie obłuda i wyrachowanie (osoby reprezentujące ugrupowania lewicowe i prawicowe zawierają „tajne” porozumienie, by po wygranych wyborach podzielić się władzą). Po trzecie — choroza (plotka może opowiadać o śmiertelnej chorobie, co oznacza, że dana osoba nie może już dłużej świadomie i racjonalnie sprawować ważnych funkcji). Kolejnym grzechem jest chciwość (polityk ma w swojej biografii nie ujawnione przekupstwa, malwersacje i łapówki). Wreszcie dewiacje seksualne i erotyczne wyuzdanie oraz dwulicowość (prowadzenie podwójnego życia). I najcięższy grzech — zdrada własnego narodu. Polityk okazuje się być nie tym za kogo się podaje, np. biały Amerykanin, konserwatysta ma przodków z Czarnego Łądu, lub jest Żydem.

Lubimy się bać...

Badaczy od lat fascynują sposoby rozprzestrzeniania się plotek. Gary Alan Fine porównuje rozprzestrzenianie się plotek w danej społeczności do sytuacji na początku roku szkolnego w Małej Lidze Baseballu, w której znaleźli się chłopcy i dziewczęta dopiero rozpoczynający naukę w szkole średniej. Ich zachowanie i podatność na nowe informacje zależą od bardzo wielu czynników, poprzednich szkolnych doświadczeń, przeżyć

rodzinnych, itd. Wzajemne układy koleżeńskie są tu bardzo złożone i nakładają się wzajemnie na siebie. Ważnym czynnikiem są również wspólne obawy o własną przyszłość. Generalnie jednak każda nowość wzbudza wielkie emocje i urasta do ogromnych rozmiarów.

Zdaniem badaczy wiele legend miejskich ma swój początek w rzeczywistych sytuacjach, zdarzają się wypadki znalezienia np. martwej myszy w butelce napoju, nie są to jednak przypadki nagminne. Tak wielkiej popularności tych historii nie można więc wytłumaczyć w sposób jednoznaczny. Opowiadający wzbogacają swoje historie o coraz bardziej dramatyczne szczegóły, które z czasem urastają do ogromnych rozmiarów. Ta sytuacja może być wyrazem obaw społecznych przed zgubnymi skutkami industrializacji i agresywnego kapitalizmu. Mogą na nią wpływać również przeżycia osobiste poszczególnych osób, nie związane nawet z tematem opowiadanej plotki.

Plotki najczęściej powstają w czasach kryzysu politycznego społecznego lub ekonomicznego, gdy ludzie obawiają się o swój byt, swoje bezpieczeństwo. Plotka w czasach przełomu, np. związanego z wyborami do parlamentu czy samorządu nie musi wcale opowiadać o polityce. Taką postacią, jak plotka o wampirze z Zagłębia, mogą też przybrać kumulowane w społeczeństwie obawy przed tym, by nie stać się ofiarą napadu. Plotka powoduje rozładowanie negatywnych emocji, a przekazywanie jej — sobie wzajemnie przez kolejne osoby, daje poczucie więzi z otoczeniem. Kryzysy ekonomiczne też powodują kolejny wysyp krwawych opowieści.

Domy, w których mieszka zło

TOMASZ BIENEK

Jednym z elementów specyficznego, współczesnego miejskiego folkloru i miejskich legend są nawiedzone domy. Plotki o zamieszkałych przez złe siły budynkach w XXI wieku mają się na tyle dobrze, iż nawet na oficjalnych mapach w internecie (np. google maps) zdarza się, iż obiekty te są oznaczone jako „nawiedzone”.

Opowieści o domach, w których straszy, są stare jak świat. Z ludowych podań przeniknęły do XIX-wiecznej literatury grozy, a stamtąd do XX-wiecznych amerykańskich horrorów. Z biegiem czasu wśród legend, rodzących się w wielkomięskiej dżungli współczesnych metropolii, także wyodrębniły się plotki, wskazujące na konkretne budynki jako na miejsca, w których doświadczyć można ingerencji sił nadprzyrodzonych. Zwykle są to domy opuszczone, popadające w ruinę, których odpychający stan techniczny sprzyja budowaniu wokół nich ponurych historii. Bardzo często też wedle krążących wśród okolicznych mieszkańców opowieści, w domu takim miało wydarzyć się coś bardzo złego – najczęściej miała to być brutalna zbrodnia – po której dom opuścili ludzie, a zamieszkały w nim duchy.

Zadziwiać może fakt, że w epoce smartfonów i internetu opowieści o nawiedzonych domostwach funkcjonują nadal całkiem niezłe. Jednym z najsłynniejszych nawiedzonych domów na południu Polski do niedawna był „dom strachu” przy ul. Koso-

cickiej w Krakowie. Budynek ten miał być docelowo reprezentacyjną willą, jednak jego budowa nigdy nie została ukończona, a porzucony dom w stanie surowym stał się celem licznych wypraw „miejskich eksploratorów” i badaczy zjawisk paranormalnych. Poza złą sławą do jego popularności przyczyniał się sam projekt inwestycji i jej rozmach. Kilkupiętrowa rezydencja posiadała taras z rodzajem palmiarni – zimowego ogrodu oraz... kaplicę. Być może właśnie to, dość nietypowe jak na budownictwo mieszkaniowe rozwiązanie, leżało u podłoża opinii o nawiedzonym domu. Wedle krążących opowieści w domu jeszcze przed jego ukończeniem miały się odbywać czarne msze lub też próby przywołania złych duchów. Rzekomo rytuały te skończyły się tragicznie dla uczestników, i dlatego budowa nie została ukończona. Inna teoria głosiła,

iż właściciele budowali willę na terenie, gdzie znajdował się nie oznaczony na mapach średniowieczny cmentarz, a ingerencja sił nadprzyrodzonych była gniewem nieboszczyków, których spójność został zakłócony. Badacze zjawisk paranormalnych zwracali także uwagę na fakt, iż w miejscu, gdzie powstał potężny budynek przecinają się pięćdziesiąty równoleżnik północny i dwudziesty południk wschodni, co dla okultystów miało mieć rzekomo jakieś znaczenie. Koniec końców, budynek którego bryła straszyla w miejskim krajobrazie w sensie dosłownym, decyzją władz miejskich został rozebrany w maju 2016 roku.

Nawiedzonych domów nie brakuje także w naszym regionie. Jeden z najsłynniejszych znajduje się w Myszkowie przy ul. Krasickiego. Opuszczona od lat rudera miała zostać wybudowana przez dwóch braci, zafascynowanych fantastyką i ufologią. Wedle krążących historii w swoich poszukiwaniach i eksperymentach pogrążyli się coraz bardziej w okultystycznym obłędzie. Podobno za pomocą specjalnych zwierciadeł próbowali nawiązać kontakt z obcymi cywilizacjami – takie rewelacje na temat opuszczonej willi pojawiały się w lokalnej prasie. Wedle tych doniesień opartych na krążących po Myszkowie opowieściach, w końcu obaj bracia trafili do zakładu psychiatrycznego, w którym jeden z nich przebywa do dziś, drugi natomiast zbiegł ze szpitala ale tylko po to, by w domu przy ul. Krasickiego popełnić samobójstwo. Podobno podczas bezkسیżycowych nocy w oknie rudery można dostrzec cień kołyszącego się na linie wisielca. Pomimo atrakcyjnej ceny, owianego złą sławą domu nikt nie chce kupić, a nieliczni śmiałkowie, którzy próbowali zamieszkać w willi, szybko się stamtąd wyprowadzali. Dla każdego racjonalisty jednak jasne jest, iż to fatalny stan techniczny opuszczonego budynku, a nie ingerencja zjaw, jest przyczyną braku potencjalnych nabywców.

Kolejny rzekomo nawiedzony dom znajdować ma się w Sławkowie. Budynek przy ul. Biskupiej miał być wedle lokalnego podania zbudowany z kamienia pochodzącego z rozbiórki sławkowskiego zamku, z którym też wiążą się legendy związane z ingerencją sił nadprzyrodzonych podczas prac archeologicznych w latach 80. Dom w Sławkowie przez długi czas stał pusty, co ugruntowało jego sławę jako „nawiedzonego”.

W Sosnowcu przy ul. Kamiennej na przestrzeni wielu lat stała opuszczona rudera zbudowana z kamienia wapiennego. Dom rzekomo popadał w ruinę, gdyż wszyscy kolejni mieszkańcy słyszeli nocami płacz dzieci i kroki niewidzialnych postaci. Przedmioty miały przesuwać się same, a drzwi i okna otwierały się ponoć zniemacka. Przyczyną tego stanu miał być rzekomo grób z dawnych czasów, przy którym wybudowano domostwo. Wedle innej relacji, na posesji podczas okupacji doszło do egzekucji ukrywających się w pobliżu Żydów.

Kolejnym nawiedzonym domem w stolicy Zagłębia Dąbrowskiego jest znajdująca się w śród-



Nawiedzony dom w Myszkowie – ciesząca się złą sławą rudera obrosła już wieloma legendami.



Zwykle plotki na temat ingerencji zjaw biorą się z fatalnego stanu wizualnego budynków, które szpecąc okolice wpadają w oko przechodniom.

mieściu przedwojenna willa przy ul. Odrodzenia. Choć budynek jest obecnie zamieszkały, co podkopywa nieco miejskie przekazy o nim jako o miejscu przeklętym, przez lata wśród mieszkańców krążyły plotki, jakoby w domu tym przed kilkudziesięciami laty pewien mężczyzna zamordował żonę i dzieci a następnie popełnił samobójstwo. Przed śmiercią podpalił rezydencję. Od tamtej chwili nocami w budynku rzekomo słychać było krzyki lub strzępy rozmów w piwnicy. Po zmroku w oknach ukazywały się tajemnicze światła, a dom często zmieniał właścicieli, którzy nie zagrzewali tu dłużej miejsca. Co ciekawe, w domu tym faktycznie w przeszłości doszło do podobnej zbrodni. Mordercą, który dokonał tzw. „rozszerzonego samobójstwa”, był człowiek, który wedle badaczy kryminalnych zagadek, mógł być prawdziwym „wampirem z Zagłębia”, odpowiedzialnym za kilkanaście zabójstw, za które odpowiedział skazany na karę śmierci Zdzisław Marchwicki.

Swoim nawiedzonym domem pochwalić się może także Będzin. Jest nim niczym nie wyróżniający się budynek przy ul. Małobądzkiej. Także i tu według krążących po mieście plotek miały dziać się przerażające historie. Podobno którymś z poprzednich lokatorów ukazał się w lustrze przerażający kościotrup. Wedle innych relacji przedmioty w pomieszczeniach przesuwały się w powietrzu lub lewitowały, a czasem ciskane niewidzialną siłą uderzały w ścianę. Entuzjaści zjawisk paranormalnych w pojawiających się w miejskich plotkach opisach dopatrywali się zjawiska typu „poltergeist”, tzw. złośliwego ducha, siły wyjątkowo wrogiej dla żywych mieszkańców. Co typowe dla tych opowieści – właściciele domu nigdy nie potwierdzali tych rewelacji, zarzekając się że jedyne „głosy” które im przeszkadzają to odgłosy pojazdów na ruchliwej ulicy.

Swoje nawiedzone domy posiadają także Chrzanów i Miasteczko Śląskie. Podobnie jak w innych tego typu sytuacjach, także i w tamtejszych domach przyczyną ingerencji zjaw są dramatyczne wydarzenia, które podobno rozegrały się w tych obiektach w przeszłości.

Dość nietypowy obiekt, zyskujący ostatnio sławę „nawiedzonego”, znajduje się w Rudzie Śląskiej

w dzielnicy Halemba. Nie jest nim co prawda dom, ale polski przedwojenny schron bojowy wchodzący w skład Obszaru Warownego „Śląsk”. Niestety stoją-

ca za tym obiektem legenda ma oparcie w realnych faktach. W bunkrze tym w marcu 1999 roku doszło do podwójnego, rytualnego zabójstwa na tle satanistycznym. Zamordowano chłopaka i dziewczynę, którzy sami także uczestniczyli w „czarnych mszach”. Obecnie jeden ze sprawców odsiaduje wyrok 25 lat więzienia, drugi dostał dożywocie. Po zbrodni, która wstrząsnęła lokalną społecznością, wejście do schronu zamurowano. W jego pomieszczeniach zostały na ścianach okultystyczne symbole, zaklęcia i sentencje w języku łacińskim, namalowane na ścianach przez owdzięki satanistycznym szaleństwem młodych ludzi. Niedawno jednak wejście do obiektu zostało przez kogoś rozkute, i schron ponownie jest dostępny. Wśród amatorów opuszczonych miejsc, jak i pasjonatów fortyfikacji, odwiedzających to miejsce, zaczęły pojawiać się mroźne krew w żyłach relacje, które bez trudu znaleźć można zarówno na stronach poświęconych śląskim fortyfikacjom, jak i nawet na serwisie you.tube. Wedle tych opowieści w pomieszczeniach schronu słychać szepty, opętanicze śmiechy, była też grupa, która zarzeka się iż gdzieś z głębi bunkra dobiegł ich sygnał telefonu komórkowego starego typu – używanego pod koniec lat 90... Wszystko wskazuje więc na to, że do szerokiej gamy nawiedzonych obiektów w naszym regionie dołączył kolejny – tym razem w postaci schronu bojowego. ■



Često za opowieściami o duchach kryją się realne, tragiczne wydarzenia z przeszłości. Na odludnych terenach Beskidu Niskiego, gdzie podczas obu wojen światowych poległy dziesiątki tysięcy żołnierzy a większość wsi przestała istnieć, też można znaleźć nawiedzone domy. Znajdują się m. in w Kremplej oraz Miejscu Piastowym. Na zdjęciu prowadzące „donikąd” drzwi nieistniejącego domu we wsi Nieznajowa – jedyna pozostałość po miejscowości startej z powierzchni ziemi.

Co Pana motywuje w codziennej pracy na rzecz bezdomnych, pracy często nieefektywnej...

Efektywnej! Spróbuję to pokrótce wyjaśnić. Myśl przewodnią jest bardzo prosta: towarzyszenie ludziom, którzy sobie w naszym społeczeństwie nie radzą. Jeżeli ktoś może powiedzieć, że miał w miarę udane dzieciństwo, w miarę udane życie, to dobrze jest, gdy zaczyna się dzielić z tymi, którzy takiego życia nie zaznali. I to zwykle nie z winy rodziców, bo ci rodzice też nie mieli dzieciństwa, którego można by im zazdrościć. Problem zaczyna się już w pokoleniu dziadków, a nawet wcześniej. Pewne wzorce kulturowe trzymają się mocniej niż ustroje polityczne. To są swego rodzaju fundamenty psychiki, które zmienić niezwykle trudno.

Towarzyszenie w bezdomności? Nie: wprowadzanie z bezdomności?

Ano staram się powiedzieć, że właśnie „towarzyszenie”. Wprowadzanie z bezdomności też się zdarza, i to wcale nierzadko, ale to mogłoby być celem raczej instytucji samorządowej, np. Ośrodka Pomocy Społecznej. A my nie możemy stawiać sobie takiego celu, bo już wiemy, że to jest cel nierealny. Kto stawia sobie cele nieosiągalne i na każdym kroku ponosi porażki, w którymś momencie wypala się, nie daje rady, bo widzi, że głównego problemu nie da się rozwiązać.

A da się?

Oczywiście. Właśnie to robimy, ale chyba inaczej niż kiedyś rozumiemy „problem główny”. Nie stawiamy sobie celów, wynikających ze zbyt optymistycznej, czyli błędnej koncepcji człowieka. Wyprowadzenie z bezdomności jest ważnym skutkiem naszej działalności i każde takie zdarzenie nas uskrzydla, ale natychmiast wracamy do codzienności, do tych żmudnych zajęć, częstych niepowodzeń, załamań i...

...powrotów do bezdomności?

Człowiek nie jest ze skały. Można wiele w nim zbudować, ale przychodzi wielka wichura, jakieś trzęsienie społecznej czy osobistej ziemi i znów pozostają tylko fundamenty. Wtedy nasi podopieczni, którzy już – zdawałoby się – znaleźli swoje miejsce wśród innych ludzi, wracają, bo nie przetrwali kataklizmu, czy nawet drobnego zdarzenia, które dla zwykłego, szczęśliwego człowieka byłoby co najwyżej przedmiotem pięciominutowej zadumy.

Temat na pasjonujący reportaż.

Nie chciałbym mówić o losach poszczególnych osób. Reportaż nie wystarczy. Książka nie wystarczy. To byłaby wielotomowa, codziennie poszerzana encyklopedia życia, zestawienie tysięcy dramatycznych biografii, a my teraz mamy kwestię...

...efektywności.

By to ocenić, trzeba powiedzieć, czym



Jan Sznajder zaprasza do Schroniska dla bezdomnych w Gliwicach.

fol. Andrzej Jarczewski, 2019.

Towarzyszyć w bezdomności

Z prezesem Koła Gliwickiego Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta

JANEM SZNAJDEREM rozmawia ANDRZEJ JARCZEWSKI

jest prawdziwa bezdomność i oddzielić przypadki „łatwe” od „trudnych”. Zdarza się, że młody chłopak pokłóci się z kimś w domu, łąduje na chwilę w schronisku, a po paru dniach mu przechodzi i już nigdy do nas nie wraca. Bo on ma wpojone dobre wzorce, przeżył lekki kryzys, to znaczy dla niego ciężki, ale w skali, jaką tu obserwujemy, był to drobny spadek formy, którego przewyciężenie niekiedy może człowieka nawet wzmocnić, zwłaszcza gdy bezpośrednio zetknie się ludźmi naprawdę... hmm... skomplikowanymi, gdy pozna historie i zobaczy rany, jakich by pewnie nie chciał widzieć nawet w kinie.

Przejdźmy więc do przypadków trudnych.

Pierwszy punkt definicji prawdziwej bezdomności to świadomość, że „jestem sam; na nikogo bliskiego nie mogę liczyć”. Drugi punkt: „nie mam kapitału, mam tylko długi; żyję z obawą, że mnie ścigają za jakieś zobowiązania”. Trzeci: „nie mam zdolności do tworzenia kapitału, do samodzielnego wyjścia na powierzchnię; potrafię żyć tylko z dnia na dzień, korzystając jakoś z pomocy społecznej”. Rzecz jasna, mówię tu o kapitale w szerokim znaczeniu. Jeżeli nie masz naprawdę niczego, jeżeli masz tylko... życie, z którym nie za bardzo wiesz, co począć, to już każde najmniejsze osiągnięcie może być początkiem budowania osobistego kapitału.

Jak to robicie?

Właśnie tego nie robimy. A raczej to się dzieje samo, jeżeli wypełniamy nasze główne zadanie, jakim jest – przypomnę, bo to ważne – towarzyszenie w bezdomności, pokazywanie własnym przykładem, że można to życie jakoś sensownie ułożyć. Nie pouczanie, perswadowanie, przekonywanie, ale: pokazywanie. Po pewnym czasie pozytywnym wzorcem dla nowicjuszy bywają nasi „starzy” bywalcy. Oni nie mówią: „módl się!”, ale: „zbliża się południe, idziemy razem do naszej kapliczki na Anioł Pański”.

Słowo-klucz: „razem”.

Teoretycznie należałoby zamieszkać z bezdomnymi, ale tego nie robimy. Owszem znam pojedyncze osoby tak silne wewnętrznie i tak, powiedziałbym, święte, że całe życie poświęcają służbie bezdomnym. Takim był zmarły dwa miesiące temu brat Jerzy Marszałkowicz, zwany powszechnie Bratem Albertem naszych czasów. Do końca, a przeżył 88 lat, mieszkał w sali wieloosobowej z bezdomnymi. Wielka postać i kandydat na ołtarze, ale to jedyny taki święty na całą Polskę. To nie może być wzór obowiązujący powszechnie. Stawiamy sobie zadania na miarę wytrwałości. Nie na miarę sił, bo te początkowo są ogromne. Wydaje się, że jesteśmy zdolni natychmiast naprawić świat. A później przychodzą chwile, że... tak się nam nie wydaje. Wtedy odpadamy.

Ale Gliwickie Koło trwa już 30 lat! Pan działa od początku.

Nie sam. Inicjatorem był Roman Hofman, który – dzięki poparciu ks. Herberta Hlubka – zorganizował spotkanie założycielskie 13 lutego 1988 w Klubie Inteligencji Katolickiej. Przygotowano 175 deklaracji przystąpienia do Towarzystwa. Wszystkie zostały tego dnia wypełnione i jeszcze zabrakło. To pokazuje, jakie wtedy były potrzeby społeczne i jaka gotowość do działania. Na Boże Narodzenie roku 1989 pierwszych dwunastu bezdomnych zamieszkało w załączku gliwickiego schroniska. W następnym dziesięcioleciu dobudowywaliśmy nowe pomieszczenia u siebie i wspieraliśmy tworzenie kół w Rybniku, Zabrze, Chorzowie i Katowicach.

A dzisiaj?

Sieć kół jest w Polsce coraz gęstsza. W samych Gliwicach Towarzystwo liczy obecnie 104 członków, natomiast w kilku gliwickich placówkach mieszka ok. 140 bezdomnych i to w zasadzie zaspokaja potrzeby miasta. Trzeba przewidywać, że na tysiąc osób, które potrafią zadbać o swój lepszy czy gorszy byt, znajdzie się ktoś jeden, kto nie daje rady. I prawie na pewno będzie to mężczyzna. Kobiety też mają podobne kłopoty, ale jest ich wielokrotnie mniej. Jakoś łatwiej im pogodzić się z otoczeniem, natomiast mężczyznom często przeszkadza „męska duma”. Takie pojęcie honoru, które nie pozwala podporządkować się żadnym rygorom. Porzuca pracę, rodzinę i mieszkanie, zjeżdża do kanału, a się nie ugną.

Wszystkie gliwickie placówki Towarzystwa służą wyłącznie mężczyznom.

Każde miasto w proporcji do swej liczebności musi coś oferować bezdomnym mężczyznom, natomiast dla kobiet wystarczą Ośrodki Interwencji Kryzysowej i kilka małych placówek stacjonarnych na województwo. Przyczyny bezdomności bywają różne. Zajmują się tym różni spe-

Gliwickie Koło Towarzystwa Pomocy im. św. Brata Alberta

System pomocy dla bezdomnych mężczyzn obejmuje następujące placówki:

1. Noclegownia, ul. Składowa (zimą część przeznaczano na potrzeby ogrzewalni).
2. Schronisko, ul. Św. Brata Alberta (dla 80 osób).
3. Filia Schroniska, ul. Traugutta (dla 60 osób).
4. Trzy mieszkania chronione (dwa w Gliwicach, jedno w Rudzie Śląskiej).
5. Budynek w Świętochłowicach przy ul. Reja (na mieszkania readaptacyjne).
6. Klub Integracji Społecznej, ul. Zwycięstwa 27 of., 1p.

cialiści. A my zaczynamy od stwierdzenia bezdomności. To wystarczy. Pytamy oczywiście o doświadczenia życiowe, ale żadna odpowiedź nie może spowodować odmowy przyjęcia.

Gdy odwiedzam wasze placówki, widzę wzorowy porządek i bardzo profesjonalne działania. Tego nie da się tak długo utrzymywać entuzjazmem członków Towarzystwa.

Nawet nie próbujemy. Obowiązują nas standardy XXI wieku i musimy zatrudnić profesjonalną kadrę. Dysponujemy pewnym budżetem (w Gliwicach ok. 2 mln zł), na który składają się przede wszystkim opłaty wnoszone przez gminy zgodnie z ustawą o pomocy społecznej.

Na szczęście w Polsce człowiek może być wprowadzić bezdomny, ale nie może być „bezgminny”.

Każdy gdzieś się urodził i gdzieś ostatnio mieszkał. Prowadzimy odpowiednią dokumentację i przesyłamy gminom coś w rodzaju faktury. Oczywiście bywają pewne kłopoty, nawet dość często, ale to nie może zamykać noclegowni przed trzeźwym bezdomnym. Te wpłaty stanowią główne źródło finansowania naszej działalności; ponadto zgłaszamy różne wnioski grantowe do władz miejskich i wojewódzkich, co pozwala nam realizować konkretne programy. Cennym uzupełnieniem, przyjmującym często formę rzeczową, są darowizny ze strony firm prywatnych oraz niewielkie wpłaty indy-

widualne w ramach 1% PIT plus oczywiście składki członków Towarzystwa. Korzystamy z pracy wolontariuszy, a i sami bezdomni, przynajmniej niektórzy, otrzymują też jakąś rentę czy emeryturę. Kilku chodzi codziennie do pracy.

A w nocy?

Współczesne standardy wymagają opieki całonocnej. Właśnie ze względu na zdrowie, które często jest mocno pokiereszowane. W każdej chwili może komuś przytrafić się nagłe pogorszenie i trzeba natychmiast zareagować zgodnie ze wskazaniami lekarskimi odnośnie każdego pacjenta. Nie przychodzą do nas zdyscyplinowani żołnierze. Każdy miał tam jakieś doświadczenia i – pozostawiony sam sobie – będzie kontynuował zachowania właściwe dla poprzedniego etapu. Promujemy akceptowalny tryb życia, a nie marginalny. Trzeba więc pokazywać właściwe wzorce zachowań, ale jednocześnie stanowczo ograniczać to, co zostało przyniesione z poprzednich miejsc pobytu. Niekiedy bardzo osobliwych.

Trzydzieści lat doświadczeń. Czy może Pan jakoś porównać pierwsze i obecne lata działalności Towarzystwa?

Lata dziewięćdziesiąte przyniosły problemy, których w PRL-u praktycznie nie było. Upada tradycyjny przemysł i tysiące ludzi lądują na bezrobociu. Nie wszyscy byli na tyle psychicznie odporni, by przetrwać trudne czasy. W PRL zawsze występował problem braku mieszkań, ale nie prowadziło to do powszechnej bezdomności, lecz tylko do złych warunków, nadmiernego zagęszczenia, braku wygód itd. A tu nagle pojawia się brak środków do życia. Nie każda rodzina dała sobie radę. Znów – kobiety lepiej to zniosły, a mężczyźni nagle stracili sens życia, stali się w swoim mniemaniu „nikami”. Większość szybko wzięła się w garść i po chwilowym załamaniu zapanowała nad sytuacją, ale zawsze pamiętajmy o tym jednym na tysiąc, który nie zapanował nawet nad sobą. Takie osoby nagle się wtedy pojawiły w dużej liczbie. Główny nurt – to mieszkańcy hoteli robotniczych, którzy zostali kompletnie na lodzie.

Nie mieli nic, a to, co mieli, zostało im odebrane.

Po likwidacji hotelu trafiali do nas, a najpierw na ulicę. Rocznie przez nasze schronisko przechodziło ok. 350 osób, a dys-

fat. Andrzej Janzewski, 2019.



„Anioł Pański” odmawiany codziennie w południe na terenie Schroniska.

Średnioroczne wykorzystanie obiektów Koła Gliwickiego w roku 2016 i (2018)

- z noclegowni (ogrzewalni) skorzystało 88 (63) mężczyzn przy średnim stanie dziennym 20 (10),
- ze Schroniska skorzystało 286 (199) osób przy średnim stanie dziennym 96 (81),
- z filii Schroniska skorzystało 196 (124) osób przy średnim stanie dziennym 72 (48),
- z Punktu Wydawania Posiłków korzystały dziennie 42 osoby (*zlikwidowano*),
- w Klubie Integracji Społecznej dokonano ewidencji 1.760 (1.207) odwiedzin, w tym 111 (57) kobiet i 1.649 (1.150) mężczyzn.

ponowaliśmy wtedy naprawdę skromnymi warunkami i zaledwie czterdziestoma pięcioma miejscami stacjonarnymi. Charakterystyczna dla tamtego okresu była duża rotacja. Krótki szok, otrzeźwienie, pojawia się jakaś szansa i wielu naszych gości po pewnym czasie przeżytych w schronisku decydowało się na powrót w rodzinne strony. Niejednemu wystarczył kilkudniowy czy kilkutygodniowy pobyt, by się pozbierać i wsiąść do właściwego pociągu. To byli przeważnie mężczyźni w sile wieku, często zdrowi i zdolni do pracy. Tu się jakoś wzmocnili na duchu i wkrótce odnaleźli właściwe sobie miejsce społeczne.

A dziś?

Przed wszystkim: bardzo mała rotacja, co znaczy też: długoterminowa bezdomność. Nie przychodzą już młodzi, zdrowi i zdolni do pracy. Ale po drodze był jeszcze etap pośredni, gdy wstąpiliśmy do Wspólnoty Europejskiej. Ciekawe, że dla wielu naszych bezdomnych otworzyły się możliwości na tyle atrakcyjne, że porzucili dotychczasowe zmartwienia i pojechali szukać nowych. Różnie ich losy się potoczyły, ale tu już nie wracali. Niektórzy z przyzwyczajenia zasiliли kadrę bezdomnych w Londynie, Paryżu czy Berlinie, ale niejeden znalazł pracę w swoim fachu i wybrnął z kłopotów. Dzwonią i opowiadają. Kilku po latach przyjechało do nas niezłymi samochodami. Każdy z bagażnikiem pełnym tego, o czym wiedział, że przyda się nowym mieszkańcom Schroniska.

Zainteresowała mnie ta „mała rotacja”.

To jest nowe, istotne zjawisko. Ludzie zdolni do pracy wyjeżdżali lub znajdowali sobie zatrudnienie na Śląsku, a pozostawali najstarsi, najsłabsi, najbardziej schorowani. Stąd mała rotacja. Poza tym – radykalnie spadła liczba nowych przyjęć. Jest mniej chętnych na „wczasy w schronisku”. To obserwujemy w całej Polsce jako pewien rykoszet programu „500+”. W życiu nie ma opcji „wszystko albo nic”, bo nikt nie ma „wszystkiego”, a „nic” znaczy śmierć. Stale żyjemy w stanach pośrednich. Gdy choć trochę ograniczymy biedę w kraju, na stu bezdomnych znajdzie się kilku, któ-

rym to wystarczy, by wrócić do rodziny. Za pół roku – następnych kilku. Zazwyczaj to kobiety wyrzucają z domu mężów lub partnerów, którzy są tylko ciężarem. Gdy jednak sytuacja materialna w tej czy innej rodzinie się wyraźnie poprawiła, możliwy jest nowy rachunek kosztów i nowy rachunek... sumienia, bo wina bywa dzielona. Wtedy dla kogoś otwierają się jakieś drzwi.

W sprawozdaniach Koła, publikowanych w internecie, zaobserwowałem wyraźne zmniejszenie liczby usług, świadczonych w roku 2018 (ramka).

To jest właśnie statystycznie zauważalny efekt „500+”. Do roku 2004 wszystkie pozycje rosły, do 2016 mniej więcej to się stabilizowało, a teraz mamy gwałtowny spadek. Ale nie grozi nam samolikwidacja. W całej Polsce schroniska zapelniane są mężczyznami, którzy już nie podejmą żadnej pracy. Innymi słowy – ta „efektywność”, od której zaczęliśmy rozmowę, polega dziś na czym innym. W latach dziewięćdziesiątych zależało nam na aktywizacji zawodowej i to się często udawało. Teraz musimy wypracować inny cel życia bezdomnego. Razem z nim, z każdym inaczej, szukamy wartości patriotycznych, religijnych, społecznych, czegoś, co nadaje życiu sens nawet w takich warunkach, które nie owocują łatwym optymizmem.

Czy te osoby nie powinny na starość znaleźć miejsca w normalnych domach pomocy społecznej?

W teorii, w dawniejszej teorii: tak, powinny. Nasze doświadczenia pokazują jednak, że DPS nie zawsze jest właściwym rozwiązaniem. Na ogół oceniamy DPS-y jako miejsca ubogie dla ubogich. Tymczasem dla naszych podopiecznych przejście do DPS jest tak gigantyczną zmianą, że pojawiają się nieprzewidywalne bariery. Można powiedzieć – za duży luksus, skok do nadmiernego dobrobytu, do zbyt wymuskanego pałacu, przekroczenie zdolności adaptacyjnych. To się zwykle kończyło źle już po paru miesiącach. Kto chce, ma drogę otwartą do DPS-u, może się starać o przyjęcie, ale ja już nikogo do tego nie namawiam, bo znam wiele dalszych ciągów. Tam obowiązuje inny język, inne obyczaje, inny... Wersal. Nasze schronisko jest miejscem dla ludzi, którzy nie mieszczą się w kategoriach przewidzianych ustawami. A przecież nie można powiedzieć, że tacy nie istnieją. Tworzymy warunki bezpieczne i dla nich, i dla społeczeństwa.

Chyba przedefiniowałem sobie właśnie pojęcie efektywności.

Możę jeszcze dodać, że przychodzą do nas ludzie w różnym stanie zdrowia, często bardzo złym. Tu się szybko podnoszą pod względem, powiedziałbym, somatycznym. Ale zawsze na pierwszym miejscu pozostaje psychika. I nie chodzi tu o choroby psychiczne, ale o całą strukturę, konstrukcję osobowości. Są w nas rzeczy, których zmienić się nie da, ale można nauczyć się żyć dobrze, pożytecznie lub choćby tylko nieszkodliwie nawet z poważnymi w tej sferze defektami. I jeszcze w tym życiu ktoś komuś musi stale towarzyszyć fizycznie i – najważniejsze – duchowo. To robimy. ■



Kaplica na poddaszu.

Jaki jest Twój aktualny rekord w dalekich obserwacjach?

187 km. Zdjęcie robiłem z Sarnowskiej Góry (na północ od Toszka). Uchwyciłem Łomnicę w Tatrach i oczywiście wiele innych szczytów.

Wytłumacz jakoś, o co chodzi w te ekstremalne klocki.

Miałem chyba 15 lat, gdy znalazłem stronę dalekieobserwacje.eu. Od dziecka interesowałem się fotografią cyfrową, ale wydawało mi się, że w tej dziedzinie nie doścignę mistrzów, którzy dysponują znacznie lepszym sprzętem i oprogramowaniem. Tymczasem pojawia się zupełnie nowa konkurencja, w której może startować każdy.

Odkrywanie nowych lądów?

Coś w tym rodzaju. W Katowicach jacyś nieznanymi mi (wtedy) odkrywcy obliczyli na podstawie krzywizny Ziemi, mapy, kalkulatora i własnej fantazji, że z wysokich budynków w Katowicach powinny być widoczne Tatry. Problem w tym, że nikt ich chyba do roku 2006 nie widział. Kąt patrzenia był znany, ale nikt nie miał pojęcia, jak to może z takiej odległości wyglądać.

Szok poznawczy. Doskonale to pamiętam z roku 2010, kiedy to 14 listopada w nocy wysłałeś mnie na wieżę Radiostacji Gliwice. Tatry wyglądały jak małe, rozgrzebane kretowisko.

Przypuszczam, że wcześniej z katowickich kukurudz też to było kilka razy w roku widoczne, ale nikt nie wiedział, że widzi Tatry. Mówię „kilka razy w roku”, bo muszą wystąpić szczególne warunki atmosferyczne, żeby góry były widoczne.

Inwersja.

Inwersji nie lubimy, bo bywa przyczyną smogu, ale dla dalekich obserwacji jest to akurat okoliczność sprzyjająca. Normalnie jest tak, że temperatura powietrza jest niższa na większych wysokościach niż przy ziemi. A inwersja termiczna polega na tym, że czasem rozkład temperatury powietrza się odwraca i na dole jest zimniej niż na górze. Wtedy zanieczyszczenia pyłowe i dymy są przyblokowane bardzo nisko. Ludzie odczuwają to jako smog na ulicy, a na dachu wysokiego budynku już jest lepiej. Wtedy widać na setki kilometrów.

Jasne. Ziemia jest płaska.

Najdalsze obserwacje

z **PATRYKIEM BRÓDKĄ**, fotografem ekstremalnym
rozmawia **ANDRZEJ JARCZEWSKI**

Tak całkiem płaska to nie, ale występuje jeszcze zjawisko refrakcji, które pozwala niejako zająrzeć poza horyzont. Marc Bret, Katalończyk, wykorzystał to zjawisko i ustanowił rekord świata zdjęciem Alp z... Pirenejów. 443 km! W poprzek Francji. Ten wynik będzie trudno pobić. Niby Himalaje i Andy są wyższe, ale tam na tak długim dystansie zawsze gdzieś są chmury lub inne niekorzystne zjawiska atmosferyczne. Dziś już można, nie ruszając się z domu, odnaleźć dwa punkty na Ziemi, które są bardziej oddalone niż 443 kilometry, i które teoretycznie mogłyby być wzajemnie widoczne. W tych punktach stale pojawiają się „dalekie obserwatorzy”, ale tu już wiedza nie wystarczy. Potrzebne jest szczęście.

Podobno są widoki, które otwierają się na sekundę raz na dziesięć lat.

W Polsce już takich nie ma. Można powiedzieć, że wszystko, na co krzywizna płaskiej Ziemi pozwala, zostało już sfotografowane. Nie wyklucza to nowych rekordów w przyszłości, jeśli gdzieś zostanie wzniesiony wysoki komin lub inna budowla. Bo do kategorii „dalekie obserwacje” zaliczamy tylko zdjęcia robione z obiektów trwale związanych z ziemią, a punkt sfotografowany musi spełniać ten sam warunek. **To dlatego nie zaliczyliście mi rekordu z samolotem nad Budapesztem?**

Fotografując Tatry z wieży Radiostacji przez przypadek złapał pan kilka razy samolot nad Miskolcem (nie nad Budapesztem): 340 kilometrów. Aparaty cyfrowe zapisują moment wykonania zdjęcia i z kilku kolejnych fotografii można obliczyć, z jaką prędkością leci samolot, gdzie się znajduje, a po porównaniu z odpowiednimi tablicami – można dowiedzieć się jaki to samolot, jakiej linii i skąd dokąd leci. Ale w skali kosmicznej 340 km nie robi wrażenia. Dla nas liczą się tylko prawdziwe góry lub obiekty postawione na ziemi. Co ciekawe – la-

tarnie morskie są widoczne z niewielkiej odległości. 30 mil morskich to kres możliwości optycznych.

To wyjaśnij jeszcze, dlaczego kazałeś mi włączyć na tę wieżę w środku nocy.

Nie w środku, tylko o piątej rano. Chodziło o to, żeby pan dotarł na szczyt przed świtem. Dalekie obserwacje to już nie jest zabawa dla amatorów przypadków. Nie wysyłałem pana na ślepo. Obydwa wiedzieliśmy, że idziemy na rekord, a rekordy muszą być dokładnie zaplanowane. Tatry można było sfotografować tylko na tle wschodzącego słońca, a nawet jeszcze nieco wcześniej, żeby kontur był widoczny na tle brzasku. W listopadzie słońce nie wschodzi na wschodzie, ale bardziej ku południowi. Dokładnie nad Tatrami – z naszego punktu widzenia – dzieje się to w środku listopada i lutego. Kolega z Katowic zawiadomił mnie, że idzie inwersja. I wtedy jedynym wyjściem było...

...wejście.

Tak się złożyło. Pan miał uprawnienia, ja nie; było jasne, kto ma wejść. Dziś już to by nie było konieczne. Po pierwsze dokładnie wiemy, czego szukamy, jak to wygląda i gdzie się znajduje. To początkowo było największym zaskoczeniem. Po drugie – mamy teraz lepsze aparaty i obiektywy. Dodam, że z Górnego Śląska można też robić zdjęcia Sudetów. Najlepiej w różnych fazach zachodu słońca.

Epoka dalekich obserwacji, jak odkrywanie nowych lądów, przechodzi do historii.

Nowe trendy w fotografii ekstremalnej to...

...drony. Efekty zamieszczam na Facebooku (wystarczy wpisać moje imię i nazwisko lub „Twoje Gliwice”).

*Publikowane niżej zdjęcie wykonał **Patryk Bródka** 4 lipca 2016 o godz. 20.34 z poziomu ulicy Piastkowej w Gliwicach. W oddali Lysá Hora (Czechy) z nadajnikiem (80 km), a na pierwszym planie Knurów i kościół pw. św. Cyryla i Metodego.*



Niepodobieństwo

Jesteśmy niby Chaldecjczycy widzący
 półkulę Ziemi w Morzu Świata
 w niebieskim oceanie,
 w chaosie.
 Apsu i Tiamat nadal mieszają swoje wody,
 nadal oddala się prawda.
 Jak oni samotni i przerażeni jak oni,
 chwytamy się uosobienia
 podobnego nam
 na niepodobieństwo.

Gadara

Maciejowi Bieszczadowi

Kamiennym duktem, między kolumnami,
 ci dwaj nieznani idą do Gadary?
 Ponoć jest blisko, tuż tuż, za pagórkami
 i już za chwilę otworzy im bramy.
 Czego szukają w marnej suchej ziemi?
 Skoro odjęte wszystkie przeszłe losy.
 Co ich prowadzi, że sił starcza jeszcze?
 Małe gryzonie, ciche ptasie głosy?
 Ale Menippos, ani Ojnomaos drzwi
 nie otworzą, nie podeprą wiary.
 Przez wieki cyniczni i zazdrośni wiecznie
 – mali pisarze z maleńkiej Gadary.

Szilo

W poźółkłych trawach modli się już tylko wiatr.
 Pielgrzymi odeszli, bo On porzucił mieszkanie
 w Szilo. Słowa przyrosły do kamieni, zapadły
 się w ziemię, bo On porzucił mieszkanie
 w Szilo. I mocy łaskawej już nie ma,
 bo On porzucił mieszkanie
 w Szilo.

Zoar

Ocalało tylko Zoar, miasteczko Nic.
 W oczach Lota słup soli zamiast żony.
 Nieszczęsna ona, nieszczęsny Lot.
 Choć zachował życie, w jego głowie
 wciąż owi występni z Sodomy.
 Ich miłosierdzie, czy kiedykolwiek było?
 Zamurowali swoje serca, zaparli bramy
 i drzwi. A święte prawo gościnności?
 Doprawdy, czy było?
 Dokąd więc mamy uchodzić?
 Gdzież jest? Zoar!
 Gdzie?

Eklezja

Więc, jak to? Było trzech Mesjaszy? Juda,
 Atrongajos, Szymon? A jeszcze
 Apolloniusz z Tyany.
 Którymże On, Nazarejczyk? Kto naśladował
 kogo? Który Jedyny?
 Od Początku pęka głowa, od Początku
 chwieją się ściany
 Eklezji.
 Schronieniem tylko obłoki,
 już i zawsze, obłoki
 zanurzone w bezkresnym błękitcie.

Paruzja

Choć nie przychodzi, oni Go czekają, jakby był o krok, o chwilę.
 Mówią, że może przyjść nawet jutro, albo pojutrze o świcie,
 późnym wieczorem, a najpewniej w nocy. Niektórzy twierdzą,
 że On już Jest, tylko niewidzialny.
 Znów były znaki na ziemi i niebie. Znów mówiły o Nim błyski
 i grzmoty słowom podobne. Wyraźnie dało się słyszeć Jego Imię.
 Jednak jeszcze nie przyszedł i wciąż trzeba czekać.
 Wmawiają sobie: „Nie ma innej drogi, jak Droga Czekania”.
 Rozmawiają z Nim w myślach, składają prośby, powtarzają
 modlitwy. Ale On wciąż nie przychodzi. Nie dotyka palcem.

Pomyleni

Kryli się po grotach, szczelinach, jamach.
 Chcieli oddzielić Światło od Ciemności.
 Nie poważali materii, a jedynie Ducha.
 Twierdzili, że pili wprost ze Źródła i zobaczyli
 całe Jestestwo, a jedyną drogą do Niego
 jest Czyste Poznanie. Niektórzy widzieli
 dusze szczęśliwe, dusze cierpiące i dusze
 gorejące. Rozmawiali z aniołami i przynosili
 cudowne niebiańskie wieści, niepodobne
 do tego, co zostało Powiedziane. Upierali się,
 że tylko oni, i tylko ich słowa, mogą Zobaczyć.
 Na mękach wyznawali, że czynili to z Miłości,
 a mowy używali, by nazywać prawdziwie,
 bo już u zarania wszystko zostało pomylone.



Dotyk

Pod palcami naga ściana. Porowata
i zimna skóra kamienia.
Pierwotne milczenie, pierwotne
skupienie, pierwotna ciemność.
Niewymówiona, bo niewymowna.
Jest modlitwą bez twarzy.

Podszepty

Podcienia szeptały: nie odchodź,
zostań. Przemierzyłeś już tyle krain.
Porywały cię nurty rzek, zwodziły
morza nadziei. A twoja wędrówka,
i tak, prowadzi do kresu. Zostań.
Zaśnij i nie śnij. Stań się ciemnością.
Uspokój to przestraszone zwierzę,
którym byłeś, jesteś i będziesz.
Ugłaskaj nicość, przenicuj myśli.
Nie wypatruj już nikogo i niczego.
Zostań.

Niewidzialna ręka

Widzieli to. Wieszczyła na ścianie zagładę.
Oto upadnie Babilon.
Nie zapowiadały tego żadne znaki.
Dopiero owe słowa, które nie przestawały być
zagadką.
Na nic się zdało przerażenie, skoro wcześniej
brakło opamiętania.
Zachodzili więc w głowę, skąd wiadomo, co
miało się zdarzyć.
Ich prorocy głosili, że ta ręka dawno już
zapisala każde życie i każdą śmierć.

Acedia

Stracili grunt, wiarę, nadzieję, wolę.
Nie czuli miłości.
Opustoszały słowa. Nie uleczyli ich
mędracy i święci.
Demon Południa nie odstępował
myśli.

Notatki na własny użytek

WIKIENTIJ WIERIESAJEW

przełożył Marian Kisiel

W OBLICZU WIECZNOŚCI

Z wszystkiego to jest bardzo niesamowite, niemal niemożliwe do wyobrażenia, a jednak absolutnie bezsporne: rok, tydzień, godzina, sekunda... Tylko my, z naszą świadomością, postrzegamy je jako pewne fragmenty czasu. Aby odeprzeć wroga, człowiek potrzebuje kilku sekund. Spać powinien każdego dnia. Ale w innym układzie możliwe są takie istoty, które dla odparcia wroga wymagają naszego tygodnia, i inne jeszcze istoty, które powinny spać w każdej naszej sekundzie. Cała nasza wielowiekowa historia może zmieścić się w jednym mrugnieniu oka jakiejś istoty. I w czasie jednego naszego oddechu upływa wiele milionów lat istnienia mikroskopijnego świata. Mikroskopijnego dla nas, ale dla jakiegoś istoty — ogromnego. W obliczu wieczności milion lat i sekunda są sobie równe.

Z HERODOTA

Starożytni Helleni palili zwłoki zmarłych. Herodot opowiada: perski król Dariusz wezwał do siebie Hellenów, którzy byli u niego na służbie i zapytał ich, za jaką cenę zgodziliby się zjeść swoich umarłych rodziców? Ci odpowiedzieli, że nie zrobią tego za żadną cenę. Później Dariusz wezwał Hindusów, tak zwanych Kallatów, którzy zjadają swoich rodziców, i zapytał ich, za jaką cenę zgodziliby się oddać płomieniom umarłych rodziców. Kallatowie krzyknęli wzburzeni i zażądali, żeby nie bluźnił.

NA BARYKADZIE

W październiku 1917 roku, w Moskwie. Okop przecinał w poprzek Ostożenkę. W okopie siedzieli robotnicy, żołnierze i strzelali w dół ulicy, w stronę junkrów. Trzeciego dnia była bitwa. Wielka i straszna. To nie przewróciła się stronica historii, ale kończył się jeden jej tom i zaczynał drugi.

Strzelali. Nie można było pobiec z karabinem bez artyleryjskiej osłony. Już wiadano, że z Chodyni na Plac Chomowniczeski idą czerwonym na pomoc baterie. I wszyscy czekali, kiedy nad głowami zagrzmią moździerz i zaczną walić w budynek, gdzie ukryli się junkrzy.

Na chwilę strzelanina ucichła. Przed okop niespokojnie wybiegł rudowłosy piesek z czarnymi uszami, zatrzymał się przy krawężniku, coś powąchał i pobiegł dalej. Wtem podniósł głowę i usilnie zaczął nasłuchiwać. I mimowolnie wszyscy także wytyżyli słuch, czy nie zacznie się artyleryjski ostrzał.

Ale nie. Wcale nie to ciekawiło pieska. Było coś znacznie ważniejszego i interesującego. Za rogiem, w Mansurowskim zaułku, zapiszczał jakiś pies i piesek rudowłosy z poważnymi, zaniepokojonymi oczami wsłuchiwał się w ten pisk. To było dla niego najważniejsze wśród świstu kul i grzechotań kulomiotów, pośród ryków idących w ruinę fundamentów starego ludzkiego życia.

POUCZAJĄCA HISTORIA

O UTRACONEJ I ODZYSKANEJ CZCI

Ta zdumiewająca historia wydarzyła się na początku siedemnastego wieku, w Hiszpanii. W ciepłą letnią noc stary hildago z żoną i szesnastoletnią córką Leokadią wracał z Toledo z wycieczki po rzece. W ich stronę szła kompania próżniaków z bogatym i szlachetnie urodzonym Rudol-

fem na czele. Rudolfa olśniła uroda Leokadii. Nakazał swoim towarzyszom napaść z obnażonymi szpadami na starego hildagę. Piękność, jak powinna, omdlała, Rudolf ją pochwytał, zawiązał jej oczy i pomknął ze swoją drogocenną zdobyczą do domu.

Położył ją do swojego łóża, wciąż jeszcze pozbawioną czucia.

„[...] Rudolf zaspokoił swą żądzę, zanim Leokadia ocknęła się z omdlenia; bo rzadko się zdarza albo też nigdy, żeby młodzi nie ulegali nieczystym pobudkom w sytuacjach i warunkach, które by im bardziej sprzyjały. Zasnęli i nieprzytomny skrycie ukradł to, co Leokadia miała najcenniejszego, a ponieważ grzeszne podniecenie zmysłowe przemija od razu po jego zaspokojeniu, Rudolf wnet zaapragnał, by Leokadia z jego domu zniknęła, i powziął myśl pozostawienia jej zemdłej na ulicy; gdy już zamierzał to uczynić, zauważył, że ona odzyskuje przytomność [...]”.

Zrozumiała, co się stało i błagała Rudolf, żeby ją zabił. Ale on zawiązał jej oczy i odprowadził do Wielkiej Katedry, skąd dotarła do domu rodziców. Przed swoim odejściem jednak, dziewczyna ukradkiem, tak, aby Rudolf nie zauważył, wzięła z jego stołu maleńki srebrny krucyfiks.

Następnego dnia Rudolf wyjechał do Włoch, a Leokadia po dziewięciu miesiącach urodziła przeuroczego chłopca. Jej rodzice oddali go na wychowanie na wieś, a kiedy chłopiec skończył cztery lata, wzięli do siebie do domu, przedstawiając jako swojego krewnego.

Chłopiec skończył siedem lat. Pewnego razu potrącił go galopujący z wielką prędkością jeździec. Zobaczył to pewien stary caballero, podniósł zakrwawionego, pozbawionego czucia chłopca, zaniósł do swojego domu i posłał po najlepszego w mieście cyrulika (w tym czasie wypełniali oni, między innymi, obowiązki lekarzy). Ojciec Leokadii wraz z żoną, jak też sama Leokadia, dowiedziawszy się o nieszczęściu, pospieszyli do domu caballero i byli nadzwyczaj ujęci troską, jaką on i jego stara żona okazali ich chłopcu. Stary caballero powiedział wprost, że wraz z żoną zajęli się chłopcem nie z powodów humanitarnych, a dlatego, że jest on uderzająco podobny do ich syna, mieszkającego teraz we Włoszech. Już wcześniej Leokadia rozpoznała meble w pokoju, w którym leżał chłopiec — w tym samym miejscu została zgwałcona. Stary caballero i jego żona bardzo polubili Leokadię. Opowiedziała im o tym, co stało się osiem lat temu, i na potwierdzenie swoich słów pokazała zabrane wtedy przez nią srebrny krucyfiks. Staruszkowie byli zachwyceni, że przeuroczy chłopiec, do którego zdążyli się już mocno przywiązać, jest ich wnukiem. Stary caballero napisał do syna we Włoszech list, w którym wezwał go do powrotu, żeby ożenił się z wybraną dla niego niewiastą cudownej urody.

„Do Neapolu nadeszła poczta i Rudolf pragnąc zdobyć kobietę tak urodziwą, jak mu ojciec przedstawił, w ciągu dwóch dni od chwili otrzymania listu skorzystał z okazji, że cztery galery właśnie odpływały do Hiszpanii, załadował się na nie [...]”.

Kiedy z rodzicami zasiadł do stołu, do salonu weszła szykownie ubrana Leokadia. Spożywając wieczerzę, Rudolf spoglądał na nią i myślał: „Gdyby połowę tej piękności miała ta, którą moja matka wybrała dla mnie za żonę, uważał-

bym się za człowieka najszcześliwszego w świecie”. A Leokadia strasznie się martwiła. „Zaczęły słabnąć w jej duszy nadzieje, że on zostanie jej mężem; obawiała się, że jej szczęście będzie równie krótkotrwałe, jak obietnice jego matki”. Z tego powodu, oczywiście, znowu omdlała i upadła. Okrutnie zakochawszy się w niej Rudolf, myśląc, że umarła, także omdlał. Przyszedłszy do siebie, zaczął ją obejmować, płakać i przywoływać do życia. Piękna dama ocknęła się i wszystko skończyło się ku ogólnemu szczęściu. Powiedziała mu:

„— Gdy się zbudziłam i oprzytomniałam po tamtym omdleniu, znalazłam się, panie, w twoich ramionach czci pozbawiona; teraz jednak uważam, że nie było to nieszczęście, gdyż odzyskując przytomność po omdleniu obecnym znalazłam się w ramionach tego samego mężczyzny, ale zaszczyczona.”

Pobrali się. Tak więc cześć Leokadii została odzyskana.

O tym opowiada w jednej ze swoich „Nowel przykładowych” Cervantes, słynny autor „Don Kichota”... [fragmenty z noweli „Siła krwi” w tłumaczeniu Zofii Karczewskiej-Markiewicz].

O SZCZĘŚCIU

Kiedys była bogata. Mąż hulaka roztrwonił jej majątek i umarł. Została w nędzy sama z chłopcem.

Osiedlili się w powiatowym mieście, wynajmowała się do prania. Mieszkała w dawnym chlewie, omazała go gliną, pośrodku stał żeliwny piecyk.

Przyszła wigilia. Obieliła chatkę, zapaliła lampkę przed obrazem. Wokół obrazu powiesiła kilka jodłowych gałązek, przypięła do nich pięć woskowych świeczek po kopiejce za sztukę, dwa krymskie jabłka, trzy lub cztery cukierki w jaskrawych papierkach. Teraz powinien przyjść jej syn. Zapaliła świeczki.

Siedziała zasmucona, patrzyła na swoją ubogą choinkę, wspominała bogate choinki własnego dzieciństwa.

A ona tylko tyle może dać swojemu chłopcu. I z oczu cichutko popłynęły łzy.

Chłopiec wrócił. Jeździł dotąd na nartach... Ale! jakie tam narty! Dwie deseczki z rozwalonej beczki sznurkami przywiązane do stóp.

Chłopiec zatrzymał się na progu i wykrzyknął:

— Mamusiu! Jak pięknie!

Rzucił narty, obszedł pokój, spojrzął na obielone ściany, gałązki z łakociami, ogniki lampki i świeczek. I oczy błyszczały mu jaśniej niż świeczki. I ciągle powtarzał:

— Ach, mamu! Jak jest pięknie!

Napatrzywszy się, usiadł przy matce, położył głowę na jej kolanach. Gryzł jabłko. Westchnął głęboko i powiedział:

— Mamusiu, jacy jesteśmy szczęśliwi!

POPIERSIE

Rzeźbiarz X. zaprosił mnie na swój sobotni *jour fixe*. Przyszedłem. Wielka pracownia, na ścianach gipsowe maski, stara broń. Zacienione żarówki oświetlały dwie rozłożyste palmy, w półmroku świeciły się diamenty w damskich kolczykach i pierścieniach. Gospodarz poznał mnie ze swoją żoną. Zwykła, spolszita twarz, nie przyciągająca uwagi.

Siedzieliśmy. Mówiliśmy o Rodinie. Żona rzeźbiarza uczestniczyła w rozmowie i nalewała herbatę. W kącie obok mnie jaśniała marmurowa główka. Podziwiałem ją. Delikatne rysy twarzy, jakaś głęboka duchowa subtelność. I nienaruszalna, nieskazitelna czystość ust. Jasność i niewinność koi duszę, kiedy widzi się takie twarze.

Ale jakże rzadko możemy je spotkać w naszym życiu!

Podszedł do mnie krytyk sztuki.

— Wspaniałe popiersie, prawda? Natalia Aleksandrowna jak żywa.

— Jaka Natalia Aleksandrowna?

— Ciszej! Gospodyni domu, czyż pan nie wie? Przecież nalewa herbatę.



Spojrzałem i zdumiony zobaczyłem: tak! Marmurowe popiersie w kącie — to ona! Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? Ta sama duchowa szlachetność w subtelnych rysach twarzy, ta sama poruszająca nieskazitelność — nie dziewczyny, ale zamężnej kobiety, szczególnie wzruszająca i głęboka.

Prowadziła konwersację, nalewała gościom herbatę. Nie chciałem już patrzeć na marmurowe popiersie w kącie, zrobiło swoje, otworzyło mi oczy na żywy świat. Nie spuszczałem wzroku z gospodyni i nie mogłem zrozumieć: dlaczego wcześniej nie widziałem tego, co tak zwycięsko i przekonująco biło mi teraz w oczy.

POMNIK

Na tle soczystej wiosennej zieleni stoi wspaniała koń o złotej maści z buchającymi czarnymi nozdrzami. Na nim naga dziewczyna z ciałem w kolorze białego marmuru, rumiana, ze szkarłatnymi wargami. Piękne!

Drobna przestawka. Na tle soczystej wiosennej zieleni stoi nagi koń z ciałem w kolorze białego marmuru, rumiany, z rozbuchanymi szkarłatnymi nozdrzami. Na nim przepiękna dziewczyna o złotym kolorze skóry, z czarnymi ustami i czarnym nosem. Piękne?

PORNOGRAFIA

Jakby to samo, a przecież zupełnie odmienne, całkowicie do siebie niepodobne! „Leda z łabędziem” Michała Anioła albo „Jowisz i Io” Correggia to najwyższe, najczystsze piękno! A przedstawiają akt spółkowania. W berlińskiej Galerii Narodowej jest również obraz tego samego Correggia „Leda z łabędziem”. Najczystsza pornografia. Wraz z innymi fotografiami kupiłem również fotografię tego obrazu — i bardzo szybko zniszczyłem. Nie można było patrzeć na to paskudztwo bez obrzydzenia.

Tu podobnie: ileż zmysłowych i całkiem pornograficznych wierszowych opisów tego samego aktu. Nawet nie można sobie wyobrazić, jak inaczej należałoby to opisać! Przeczytajcie następujący wiersz Puszkina [przekład Jana Brzechwy]:

Nie dbam o wyuzdane gwałtowne porywy,
O rozkosze zmysłowe i szal niecierpliwy,
O jęk i krzyk bachantki młodej, gdy jak żmija
W objęciach mych namiętnie przeży się i zwija,

I całuje żarliwie, i pieści mnie po to,
Ażebym dreszcz ostatni przynaglić pieszczotą.

O, ileż jesteś miłsza ty, co trwasz tak skromnie!
O, jak — szczęśliwy tobą — dręcę się ogromnie,
Gdy po błaganiach długich, wreszcie od niechcenia
Podajesz mi się czuła, lecz bez upojenia,
Chłodna i zawstydzona, memu zachwytowi
Ledwie zdasz się ulegać, ucho słów nie łowi,
Aż z wolna się ożywasz w ogniu oszołomień
I w końcu mimo woli dzielasz mój płomień!

Są to, tak naprawdę, w najdrobniejszych szczegółach
opisane dwa czysto fizjologiczne akty płciowe — z kobietą
namiętną i z kobietą oziębłą.

Ale jakie jest tu dziewicze piękno i jaka czystość! Kiedy
Siergiej Timofiejewicz Aksakow wysłuchał tego wiersza,
pobladł z emocji i krzyknął:

— Boże! Jak on o tym powiedział!

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Bardzo trudna jest ta kwestia i ciągle sobie łamię nad nią
głowę.

Są pisarze bez zasad, podporządkowujący się bieżącym
tendencjom. Zdolni są okłamać tylko bardzo naiwnych
czytelników. Są pisarze wielkiego żaru i wielkiej szcze-
rości. Piszą — wedle oklepanego frazesu Karla Ludwiga
Börnego — „krwią swoich żył i sokiem swoich nerwów”.
Gleb Uspienski, Wsiewołod Garszyn, Władimir Korolenko.

Ale jest jeszcze inna wielka kategoria pisarzy.

Dwa odmienne plany — plan życia i plan twórczości —
są głęboko związane z bardzo wieloma artystami. Puszkina
do końca życia zdumiewała tych, którzy znali jego wielki
cynizm wobec kobiet, ale w swojej twórczości już dawno
doszedł do najczystszej niepokalania, jakie rzadko moż-
na spotkać u jakiegokolwiek innego artysty. To, rzecz jasna,
nie była gra pozorów i fałszu. Na wysokościach twórczo-
ści były dlań organicznie nie do zaakceptowania zarówno
namiętność, jak i cynizm.

DWA PLANY

Dziesięć lat temu wydałem książkę o twórczości Puszkina
pod tytułem *Na dwóch planach*. Dowodziłem w niej
tego, co, w istocie rzeczy, sam Puszkina powiedział o so-
bie [w wierszu *Poeta* — przekład Juliana Tuwima]: „Póki
poety nie przywoła/Apollo ku ofierze świętej,/W powsze-



dnich troskach i mozołach/Trwa marnościami pochłonięty. [...] W bezwładzie chłodnym dusza śni/I pośród nędznych synów ziemi/najnędzniej może spędza dni.//Lecz ledwo dźwięk boskiego słowa/Dotykiem muśnie czujny duch [...]”. Książka wzbudziła przyjacielskie reakcje. Krytycy uważali za konieczne „ująć się” za Puszkinem, twierdząc, że w swoich dziełach był „wyjątkowo szczerzy” itd. Wszystko to było całkowicie poza kwestią i wcale nie pomogło w jej wyjaśnieniu. Natomiast ona sama jest ważna i trudna, i do dzisiaj wciąż pozostaje nierozwiązana.

ISADORA DUNCAN

W pierwszej dekadzie [XX wieku] przyjeżdżała do Moskwy sławna amerykańska tancerka Isadora Duncan. Jeden oficer, ordynus i cynik, był na jej wieczorze, gdzie tańczyła siódmą symfonię Beethovena i „Moment musical” Schuberta. Po wieczorze powiedział z zakłopotaniem:

— Wasze Beethoveny i Schuberty wcale mnie nie interesują, byle jaka operetka jest o wiele bardziej interesująca. Poszedłem na wieczór tylko dlatego, że Duncan, jak mi mówiono, tańczy prawie naga. I wiecie, coś dziwnego: nie zauważyłem, czy ona tańczy nago, czy też nie!

Taniec Isadory Duncan był całkowicie niewinny i niepokalany. Tańczyła w samym muślinie, lecz nagość jej pięknego ciała budziła wyłącznie niewinne uczucie.

Tym bardziej nieoczekiwane są wrażenia z jej pośmiertnej książki *Moje życie*. Z niespotykaną odwagą i otwartością, nigdzie jednak nie przechodzącą w cynizm, opowiada o swoich rozlicznych związkach miłosnych z mężczyznami najróżniejszych klas. Zapamiętamy młodzieńca, towarzyszącego Isadorze w jej podróżach, który woził z sobą szesnaście walizek, a jedna z nich była wypełniona krawatami. Zapamiętamy, jak ostrożnie starała się uwieść Stanisławskiego. Najwyraźniej była naturą nadzwyczaj namiętną i zmysłową. Znakomicie mogłoby to przełożyć się na jej taniec: jakiejś bachantki czy odaliski.

Lecz skąd brała się ta boska niepokalaność i niewinność jej tańca?

SZLACHECCY BELETRYŚCI

Szlacheccy beletryści lat 60. i 70. [XIX wieku]: Bolesław Markiewicz, Wasilij Awasiejenko, Wsiewołod Kriestowski i inni, kiedy wprowadzali postać szlachetnie urodzonego, to pisali o nim tak:

— Poczekajże! — wycedził książę Trojekurow, poblądłszy.

Jeśli zaś mowa była o seminarzyście nihiliście, to pisało się tak:

— Poczekajże! — syknął Kriestowozdwiżenski, zzieleniawszy.

Teraz powtarza się to samo z innych, oczywiście, pozycji. Bohaterowie sympatyczni błędną i cedzą, a niesympatyczni — zielenięją i syczą. Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak po Lwie Tołstoju można tak pisać.

O PRZEKŁADZIE

Kiedy nowy tłumacz bierze się za przekład klasycznego dzieła artystycznego, to pierwsza jego troska i najważniejszy niepokój przekłada się na myśl, aby w niczym nie pokazać się podobnym do któregośkolwiek z poprzednich tłumaczy. Jakiegokolwiek wyrażenie, jakiegokolwiek wers lub dystych, powiem nawet — cała strofa, jakie są obecne u poprzednika, muszą być lepsze i dokładniejsze. Mniejsza o to! Własność jest święta! I tłumacz przekazuje swój własny przekład tego miejsca, sam wiedząc, czy jest on gorszy lub dalszy od oryginału. Wszystkie osiągnięcia poprzednich tłumaczy zostają przekreślone i wszyscy zaczynają od nowa.

Taka postawa wydaje mi się zasadniczo zła. Głównym celem, wszystko uzasadniającym i wszystko usprawiedliwiającym, jest maksymalnie dokładny i maksymalnie artystyczny przekład oryginału. Jeżeli dopuszczamy wzajem-

ną współpracę, by tak powiedzieć, w przestrzeni, to dlaczego nie dopuszczamy takiej samej wzajemnej współpracy również w czasie, w całym łańcuchu następujących po sobie tłumaczy?

Aby było dobrze, kolejni nowi tłumacze powinni pełną garścią brać z poprzednich tłumaczeń, oczywiście, pod jednym warunkiem: nie przenosząc ich mechanicznie do własnego przekładu, ale organicznie przetwarzając je na swój własny styl, dokładniej — na styl oryginału. Czyli tak, jak go postrzega konkretny tłumacz.

AUCTOR UNIUS LIBRI

„Autor jednego dzieła”... Wielu ich u nas. Gribojedow. Suchowo-Kobylin (trylogia). Jerszow — autor *Konika Garbuska*. Dmitrij Girs — nieukończona powieść *Stara i nowa Rosja* w piśmie „Otieczestwiennyje zapiski” za rok 1868. A przeżył (i pisał) do roku 1886. Aleksander Borowikowski — w latach siedemdziesiątych [XIX wieku] najlepszy po Niekrasowie poeta „Otieczestwiennykh zapiskow”, bardzo niesprawiedliwie zapomniany.

Świetne były u niego nie tylko wiersze obywatelskie, ale również innego rodzaju. Pamiętam, na przykład, taką zwrotkę:

Niech mówią, że nocny półcień

Kłamie, bo z dniem jest wzmowie. Nie!

Tylko noc prawdę ci powie

A dniowi nie wierz: kłamie dzień!

Młodzież tamtych lat zapisywała jego wiersze i uczyła się ich na pamięć. A on nawet nie wydał ich w osobnej książce. Został w końcu wybitnym prawnikiem i autorem specjalistycznych prac z zakresu prawa cywilnego.

Z najnowszych autorów: Siergiej Najdionow — *Dzieci Waniuszyna*, Nikołaj Timkowski — *Mocni i słabi*.

Szczęśliwi byli ci z nich (Suchowo-Kobylin, Borowikowski), którzy powiedzieli to, co chcieli powiedzieć, i spokojnie zamilkli. Dla wielu zaś to jedyne ich dzieło stało się trucizną, która zatrąła im krew na całe życie.

Nie ma co więcej mówić, nie ma potrzeby mówić, wszystko zostało powiedziane — a piszą, piszą, piszą... Jaka zniewaga dla literatury i samych siebie! Czyżby tylko w literaturze było życie? Czyżby nie można było bez niej żyć w pełni, głęboko i twórczo?

RZEZBIARZ

Dziwny los rzeźbiarza Fiodora Kamińskiego. Wszyscy znają, choćby ze zdjęć, jego dzieło *Pierwsze kroki*, znajdujące się w Ermitażu. Dziewczynka w kusej koszulce niepewnie robi krok, a młoda matka, przyklękawszy na jedno kolano, podtrzymuje dziecko. Kamiński, urodzony w 1836 roku, wspaniale zaczął swoją karierę. Już jako uczeń Akademii zdobył kilka srebrnych i złotych medali, był wysłany za granicę, otrzymał tytuł akademika. Artysta A.A. Kurienny powtórzył mi słowa brata Kamińskiego: rzeźbiarz mieszkał w Rzymie, ożenił się, urodziło się dziecko. Słynne *Pierwsze kroki* są jego żony i dziecka. Żona umarła. Kamiński porzucił rzeźbiarstwo, na początku lat siedemdziesiątych [XIX wieku] wyjechał do Ameryki i tam zaczął pracować fizycznie. Brat odwiedził go w Ameryce. Miał swoją farmę i na niej pracował. Kiedyś, jak mi się zdaje, wystawił jakąś rzeźbę na światowych targach w Chicago. Zdobył nagrodę. I znowu zamilkł.

KROPLA DESZCZU

Jakieś trzydzieści lat temu zapytała mnie pewna uczennica, prostolinijna niewinność, uznająca tylko chemię i ekonomicznie polityczną:

— Proszę powiedzieć, jak pan sądzi: gdyby nie ukazało się drukiem nic, co pan napisał, czy byłoby w naszym ży-

ciu choć odrobinę inaczej niż jest teraz?

Odpowiedziałem:

— Widzi pani, zbiera się na deszcz. Jest bardzo potrzebny zbożom, trawie. Być może to on właśnie określi żniwa tego roku. Oto przed nami upadła kropla deszczu. I pani pyta: czy zmieniłoby to coś w żniwach, gdyby tej kropli w ogóle nie było? Nic by nie zmieniło. Ale przecież deszcz składa się z takich kropel. Gdyby ich nie było, nie byłoby żniw.

OSIOŁ BURIDANA

Osiół Buridana — co to takiego? Któż tego nie wie! Osiół stał między dwoma wiązkami siana i nijak nie mógł się zdecydować, w którą stronę ma odwrócić głowę. Tak więc umarł z głodu. Dobrze. Ale kimże jest ów Buridan? Właścicielem osła? Autorem baśni o osle? Otóż tego prawie nikt nie wie. Buridan był czternastowiecznym francuskim filozofem scholastykiem, przeciwnikiem nauki o wolnej woli. Przykład z osłem posłużył mu za argument do obalenia nauki o wolnej woli: przy całkowicie wolnej woli osiół umarłby z głodu między dwoma jednakowymi wiązkami siana, ponieważ nie miałby absolutnie żadnego motywu, aby wybrać jedną z nich. Przykład sam w sobie mało udany i nigdzie w pracach Buridana go nie znajdziemy, zastanawiamy się nawet, czy do niego należy. Ale Buridan wstawił się swoim osłem, można powiedzieć, na wieki, i wstawił się całkiem trwale. Zaprawdę, wjechał do świątyni nieśmiertelności na osle, jak Réaumur i Celsius na termometrach, Röntgen na swoich promieniach, Ampère, Volta i Faraday na zjawiskach elektryczności.

RADA

Rada dla pięknych pań. Nigdy nie fotografujcie się w modnej sukience. Po dziesięciu latach będziecie się wydawać sobie śmiesznymi.

MALOWANIE UST

— Dlaczego maluje pani usta? Czy pani nie rozumie, że jest to rodzaj zaproszenia: „Mężczyźni, chcę się wam podobać, przybawajcie!”

— Naturalnie, że rozumiem. Dlatego to robię. Jestem bardzo nieśmiała, nie umiem zachować się tak, jak chciałabym. A oni po ustach widzą, że można być bardziej odważnym.

WDZIĘCZNOŚĆ

Drażni mnie, kiedy ludzie są mi wdzięczni za okazane dobro. Jestem wdzięczny, kiedy ktoś uczynił mi dobro. Ale głęboko mnie oburza, kiedy ten, który uczynił mi dobro, oczekuje ode mnie wdzięczności. Wtedy całe jego dobro traci na znaczeniu, chciałbym mu zapłacić z procentami za uczynek i odwrócić się od niego.

USŁUGA

Na Krymie, w Koktobelu, miałem znajomego Bułgara, silnego chłopca gospodarza. Za jakieś przewinienie, a właściwie bardziej przez głupotę, został zesłany na północ. Staralem się mu pomóc, udało się sprawić, że zwolnili go dwa lata przed terminem. Przeszedł okazać mi wdzięczność. Wyłożył na stół pud winogron, kilka funtów owczej bryndzy, kwartę wina z winogron. Jakkolwiek bym się wzbraniał, należało to przyjąć: czułem, że odmową strasznie go obrażę.

Jesienią odjeżdżaliśmy ze swojej daczy. Bilety na pociąg już kupiliśmy. Żona poczuła się mocno niezdrowa, poprosiła córkę tego Bułgara, Ankę, żeby przyszła w dzień odjazdu i pomogła się nam spakować. Rankiem tego dnia przybiegła płacząca Anka i powiedziała, że przyjść nie może: ojciec kazał jej iść z nim do lasu zbierać żołędzie dla świń. I jakkolwiek przekonywała go, że przez swoje nieprzyjście postawi nas w kłopotliwym położeniu, nie chciał słuchać. „Chodź z mną zbierać żołędzie”.

Wycenił okazaną mu przeze mnie usługę, dokładnie wywdziękzył się za nią zgodnie z taryfą i wszelki kontakt ze mną uznał za zakończony. Od tego dnia nienawidzę wdzięcznych ludzi.

MISTYKA WODY

Jako student medycyny pracowałem w laboratorium klinicznym Uniwersytetu Juriewskiego nad zagadnieniem wpływu wody mineralizowanej Wildungen na metabolizm zdrowych i chorych. Jednym dawałem wodę naturalną, innym mineralizowaną. W rozprawce z opisem tego doświadczenia, wydrukowanej w jednym z pism medycznych, dowodziłem, że nie widać żadnych różnic między wodą naturalną a sztucznie mineralizowaną, ponieważ ich skład chemiczny jest taki sam. Woda naturalna nie ma szczególnych, nieuchwytnych, „mistycznych” właściwości, których brakuje wodzie mineralizowanej. Dlatego też podawałem badanym osobom zarówno wodę naturalną, jak i mineralizowaną. Po dziesięciu, piętnastu latach okazało się, że główna moc wody naturalnej była w jej „radioaktywności”, której ani śladu nie ma w wodzie mineralizowanej.

Od tego czasu stałem się ostrożniejszy i nie nazywam „mistyką” wszystkiego, co niezrozumiałe i nieobjaśnione na obecnym poziomie naszej wiedzy.

FALE

Często opowiadają niesamowite i nie podlegające żadnym wątpliwościom wypadki, kiedy np. matka w Moskwie z lękiem obwieszcza, że właśnie teraz jej synowi, znajdującemu się w Charkowie, przydarzyło się ogromne nieszczęście. A potem okazuje się, że tego dnia właśnie i o tej godzinie jej syna przejechał tramwaj. Przypadek? Mistyka? Nie wiem. Ale kiedy słucham w radiu koncertu, transmitowanego z Paryża, myślę sobie: czyż nie ma takich fal, które także z oddali odbierane są przez szczególnie dostrajane nerwy?

WIZYTA U LEKARZA

Niesamowite! Rozumiemy bardzo dobrze jak ważne jest światło dla roślin — doniczki z roślinami stawiamy nie po kątach pokoi, a na oknie. I tym samym, oczywiście, często zaślamy światło sobie samym. Przejdźmy się ulicami Moskwy, spójrzmy w okna: przynajmniej połowa z nich zastawiona jest do góry roślinami! Biedne dzieci, które ich rodzice tak ochraniają przed i tak słabymi promieniami słońca! Kiedyś ktoś polecił mi zwrócić się o pomoc lekarską do jednego modnego moskiewskiego lekarza. Mieszkał gdzieś koło Dziewiczego Pola. Poszedłem. Wielki hall z doskonale wywoskowanym parkietem, z bogatymi, stylowymi meblami. Trzy okna całkowicie zastawione kwiatami, z góry spuszczają się tiulowe zasłony, a przed oknami piętrzą się gęstoliste fikusy i filodendrony. Na zewnątrz był słoneczny, wiosenny dzień, a w pokoju było ponuro. Otworzyły się drzwi do gabinetu doktora, tam również wszystkie okna były zastawione kwiatami. Odwróciłem się i odszedłem. Od tego lekarza nie miałem czego oczekiwać.

ŹRÓDŁO OPTYMIZMU

Ćwiartką papieru ostrożnie staram się nakierować fruującego motyla z górnej szyby na dół, gdzie otwarte jest okno. Miota się, rzuca na strony.

— Głupi, przecież chcę dla ciebie dobrze.

Ale on nie może tego pojąć. Nie dlatego, że nie rozumie moich słów, ale, co najważniejsze, że nie jest w stanie przyjąć tego, co chcę mu powiedzieć. Z jakiej racji ja, obca mu istota, mam czynić dla niego dobro? Przecież cały świat jest dla niego wyłącznie środowiskiem, zdobyczą lub niebezpieczeństwem.

Kiedy się nad tym zastanowić, znajdziemy tu swoiste źródło radości i największego optymizmu. Rozpacz bierze, ile

wśród ludzi jest okrucieństwa, podłości, zdrady, egoizmu... A dlaczego miałyby nie być? Cóż to za dziecięce przyzwyczajenie widzieć w człowieku „obraz Boga”, a w jego złych czynach zbeszczeszczenie tego obrazu? Człowiek nie jest „obrazem Boga”, lecz potomkiem dzikiego, drapieżnego zwierzęcia. I dziwić się należy nie temu, że w człowieczeństwie tak wiele jest dzikości i drapieżności, a temu, ile w nim mimo wszystko jest poświęcenia, heroizmu, humanitaryzmu. Nie należy rozpaczać, że w wilku, jastrzębiu, człowieku tak wiele jest wilczego, jastrzębiego i... ludzkiego. To całkiem naturalne. I z tego można czerpać wielką radość: ile już jest w człowieczeństwie wspaniałego moralnego piękna! I ileż jeszcze będzie, kiedy pojawią się sprzyjające warunki!.

SZCZENIE

A nadto: największe zaufanie szczenięcia do życia. Jest przekonane, że cały świat istnieje tylko po to, żeby się o nie troszczyć. Chce jeść — płacze i czeka, aż matka wyciągnie dla niego pierś; jest zimno — czeka, aż ktoś, okryje je i ogrzeje. I ani mu na myśl nie przyjdzie, że ów „ktoś” może okazać się istotą, która kopnie go nogą albo ugryzie zębami.

MIŁOŚĆ I ZAKOCHANIE

„Miłość”... Bardzo często mówi się: „miłość”, kiedy jest tylko zakochanie. Zakochanie jest ślepe. Kręcącym w głowie jadem zatruwa krew człowieka. A kiedy się kończy, wtedy człowiek może rozeznaczyć, co to było: zakochanie i miłość, czy zakochanie bez miłości? A kończy się ono w ogromnej większości przypadków osiągniętym posiadaniem. Właśnie wtedy można byłoby poważnie mówić o miłości. Tworzyć wcześniejsze plany o długim wzajemnym życiu jest czystym szaleństwem.

MAŁŻEŃSTWA Z MIŁOŚCI

Małżeństwo z miłości... O, to, oczywiście, bardzo dobra rzecz! Niestety, takie małżeństwa są bardzo rzadkie. Częściej pod tym pojęciem rozumie się małżeństwa z zakochania. Ale przecież takie małżeństwa są najgorsze ze wszystkich. Gorsze nawet niż małżeństwa oziębłe we wzajemnych relacjach. Tam ludzie przynajmniej widzą, co biorą.

ZALEŻNOŚĆ

Powiedz mi, jak odnosisz się do kobiety, a powiem ci, kim jesteś.

KOBIETA I MĘŻCZYZNA

Kobieta jest mała w drobnych sprawach i wspaniała w wielkich. Mężczyzna nie bywa tak drobiazgowy w błahostkach i tak heroiczny w aktach odwagi.

PISARSTWO KOBIET



Kobiety piszą złe powieści, opowiadania i wiersze. Ale piszą niesamowite dzienniki i listy.

WŁAŚCIWOŚCI UMYSŁU

Kobiety posiadają swoje, w większości całkiem odmienne, właściwości umysłu. Wydaje mi się, że są nieśmiałe lub jeszcze nie nauczyły się manifestować swojego umysłu w jego specyficznych formach. Są cudownie rozumne kobiety. I są kobiety „rozumne”, od których chce się uciec — tyle w nich logiki i martwych pokładów wiedzy.

POCAŁUJ MNIE

Dekabrysta Michaił Sergiejewicz Łunin — wspaniały pisarz i niebywały człowiek — odnotowując wpływ syberyjskiego klimatu i zesłania na jego stan ducha, pisał do siostry między innymi: „Przekazując myśli, znajduję dowody na potwierdzenie prawdy, lecz przekonujące słowo bez dowodów, już nie wypływa spod mojego pióra”.

„Przekonujące słowo bez dowodów...” W tym — siła oratora. W tym jest również tajemnica udanego sporu z kobietą. Żadna logika jej nie przekona, jeśli mówi się z irytacją. I potrzeba bardzo niewiele logiki, jeśli słowo zostało powiedziane miękko i łagodnie. I dotyczy to prawie każdej kobiety, niezależnie od tego, jak jest rozumna. Emocjonalna strona jest w niej nie do zwyciężenia. Opowiadał mi Leonid Andriejew, że pewnego razu pokłócił się o coś z żoną. Przywoływał najbardziej niepodważalne dowody, nic na nią nie działało. W końcu zapytał z wściekłością:

— No, jak mam cię przekonać?

Żałośnie odpowiedziała:

Notatnik Wikientija Wieriesajewa (1867–1945) czytelnik naszego miesięcznika zdążył już poznać w skromnym wyborze (*Notatki dla siebie*, „Śląsk” 2018, nr 6, s. 16–23). Swoje zapiski znakomity pisarz określał jako „myśli, fakty, wypisy, notatki z dziennika”. Przywiązywał do nich wielką wagę, traktując je jako swego rodzaju artystyczny *journal intime*. Pracował nad nimi blisko dwie dekady, od połowy lat 20. minionego wieku do roku 1942. Zamierzał je wydać w osobnej książce, ale za życia autora *Siostr* ukazały się jedynie ich fragmenty. Po raz pierwszy w wersji pełnej opublikowane zostały w tomie *Niezmyślone opowieści* nakładem moskiewskiego wydawnictwa „Chudożestwiennaja literatura” (1968). W niniejszym wyborze każdej notatce dodano tytuł, z wyjątkiem tej, która opowiada Cervantesowską historię o „utraconej i odzyskanej czci”.

Pochodzący z końca lat 70-tych i początku 80-tych ubiegłego wieku prezentowany zestaw zdjęć z Katowic stanowił element studium przedprojektowego pracy dyplomowej poświęconej ich centrum, a w istocie niecodziennej propozycji jego kształtowania. Poniżej kilka zdań na temat idei, która jak się wydaje do dziś nie traci nic ze swej świeżości i kontrowersyjności.

Jedną z najważniejszych barier, która ogranicza rozwój centrum miasta jest brak znajdujących się w jego obrębie rezerw terenu na ten cel. Problem ten nie omija też Katowic. Projekty przygotowywane w ramach organizowanych w drugiej połowie XX wieku urbanistycznych konkursów dotyczących centrum Katowic zakładały w większości lokowanie nowych obiektów na terenach uzyskanych po wyburzeniu co najmniej kilku centralnych kwartałów zabudowy, których architektura była i jest wartościowym przykładem architektury historyzującej, eklektycznej i secesyjnej przełomu XIX i XX wieku. Szczęśliwie brak finansów ograniczył skalę tych działań do okolic nowego dworca PKP i wyburzenia pojedynczych kamienic w obrębie centrum. Ostatnio los taki też spotkał wartościowe przykłady architektury lat 60-tych: Pałac Ślubów i tak zwany Dom Dziecka w okolicy Ronda.

W prezentowanym projekcie dyplomowym opracowanym na początku lat 80-tych zeszłego stulecia, autorzy Mirosław Polak i Marek Skwara zaproponowali ulokowanie większości nowej tkanki architektonicznej nad terenami kolejowymi, co pozwalało na zachowanie historycznej struktury centrum miasta w stanie nienaruszonym przy równoczesnym wykorzystaniu bezużytecznej dotychczas z punktu widzenia miasta przestrzeni, która ulokowana jest w samym jego sercu. Projektowany rozwój cen-



ul. Dworcowa

Centrum nad torami

MAREK SKWARA

trum przewidywany był w miejscu historycznie ukształtowanym, na przecięciu osi komunikacyjnych wschód-zachód i północ-południe i miałyby działanie silnie integrujące część północną z jego częścią południową. Zarówno historycznie, jak i obecnie centrum Katowic jest wyraźnie rozdzielone terenami PKP i posiada tylko nieliczne powiązania komunikacyjne pod torami kolejowymi. Proponowane rozwiązanie zespoliłoby z powodzeniem północ miasta z jego południowymi dzielnicami, zadziałałoby jak urbanistyczny „zamek błyskawiczny”. Równocześnie zaspokoiłoby potrzeby życiowe mieszkańców w obszarze o najdogodniejszej dostępności i atrakcyjności, dodatkowo ożywiając i aktywizując kluczowe rejo-

ny centralne wokół starego i nowego dworca, które z biegiem lat wykazują oznaki obumierania. By zapewnić dostępność płyty centrum na terenami kolejowymi adaptacji poddano wnętrze kwartałów wyznaczonych ulicami: Dworcowa, Św. Jana, Rynek, Pocztowa oraz Kościuszki, Kochanowskiego, Plac Miarki. Centrotwórcze funkcje handlowe, usługowe ze swoim wewnętrznym systemem schodów, wind w kwartale przylegającym do Rynku pozwalają użytkownikowi „mimowolnie”, „bezboleśnie” pokonać dwunastometrową różnicę poziomów między Rynkiem i płytą nowego centrum. Idąc dalej ulica Dworcową w kierunku wschodnim można dostać się na płytę poprzez Ogród Botaniczny, który inicjuje zieloną oś północ-południe. W tym ogrodzie, który kulinuje wewnątrz kwartału pomiędzy ulicami: Plebiscytową i Sienkiewicza, w naturalnie kształtowanym krajobrazie, pomiędzy „pylonami” najmniej wartościowego fragmentu biurowego Starego Dworca znajduje się muszla koncertowa i taras klubu MPiK. Z zabudowa Dworca możliwe też jest osiągnięcie płyty centrum za sprawą wewnętrznych wind i schodów ruchomych. Od strony południowej natomiast wejście na płytę odbywa się głównie poprzez zaadaptowane wnętrze kwartału przytykającego do Placu Miarki, którego poziom jest tożsamy z wyniesioną nad tereny kolejowe płytą, a to za sprawą znaczącego spadku terenu w kierunku północnym. Pasaż wewnętrzny głównie funkcjonuje w pierwszej, z rzadka w drugiej, a wyższe kondygnacje ob-



ul. Mariacka Tylna

służywane są w obrębie projektowanego hotelu (w oparciu o dziś będący akademikiem historyczny hotel Polonia). Funkcje handlowe pasaża dostępne są jeszcze z dwóch punktów ulicy Kochanowskiego i Kościuszki oraz z podziemi trzykondygnacyjnego parkingu ulokowanego pod płytą kwartału. Z kolei płyta wyniesione centrum osiągalna jest też elewatorami z różnych punktów ulicy Wojewódzkiej. Od strony nowego dworca zabudowa na płycie dostępna jest bezpośrednio z końcówek jego peronów. Stamtąd dociera się do obiektów kształtowanych w sposób odmienny od wnętrz kwartałów. To już nie drobna, poszatkowana zabudowa z zaułkami i krętymi ścieżkami, ale wielkoskalowe obiekty nanizane w sekwencji brył i placów. W obiektach na wyniesionej nad tereny kolejowe płycie Centrum pojawiły się domy handlowe, sala koncertowo-widowiskowa, ekstensja Galerii ASP, którą w zasadniczej części ulokowano w zabudowaniach Starego Dworca, a na przecięciu osi północ-południe znaczący skalowo obiekt biurowy, będą formalnie odległą reminiscencją bryły krakowskiego Collegium Maius. Należy zauważyć, że wszystkie te pomysły pojawiły się ponad 30 lat przed zrealizowaniem siedziby NOSPRu, wiele lat przed ulokowaniem Galerii ASP w Rondzie Sztuki, zburzeniem Nowego Dworca i realizacją Galerii Katowickiej, czy falą budowy biurowców w centrum Katowic.....

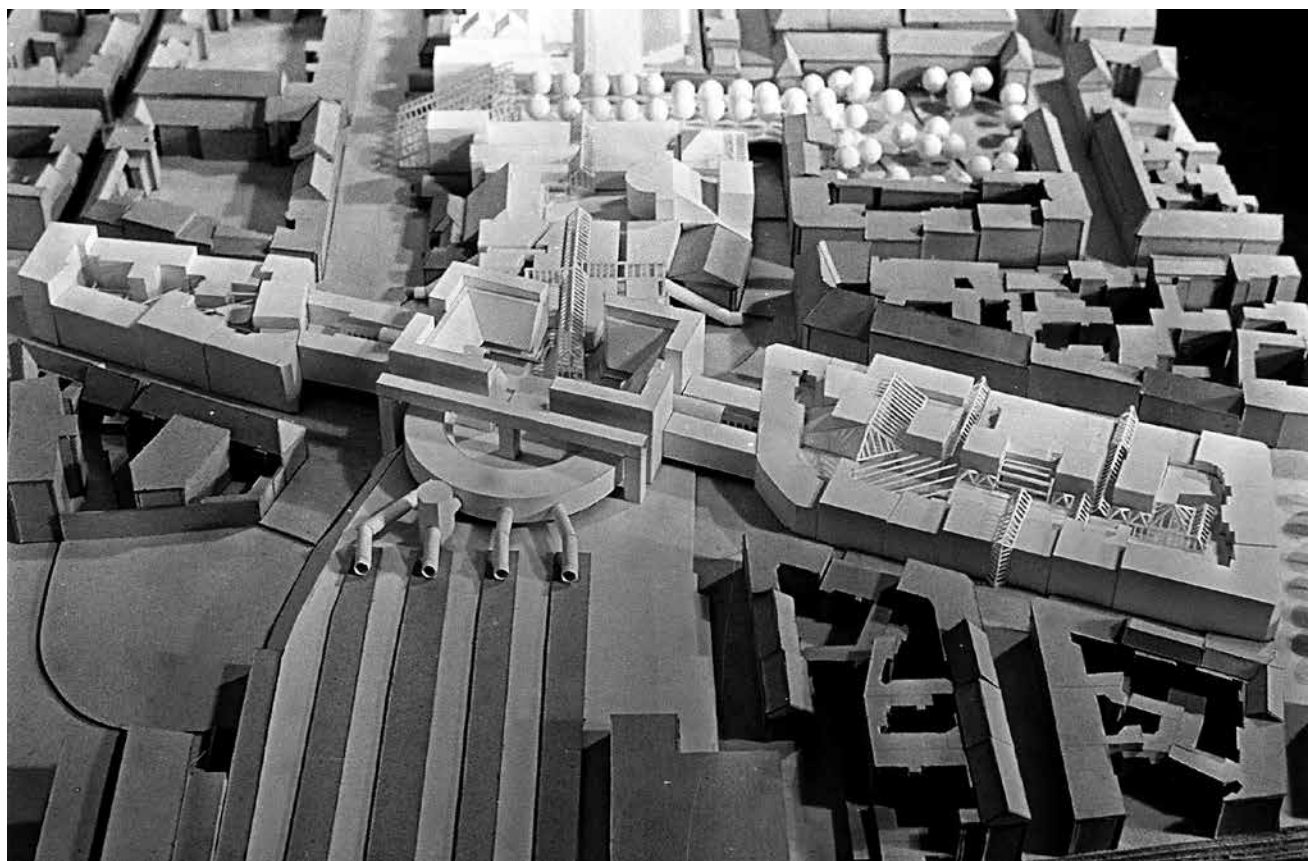


ul. Mariacka

Zestawienie różnorodnych form architektonicznych w projektowanych wnętrzach kwartałów, które we fragmentach są kontynuacją i rozwinięciem przypadkowych form, w innych świadomie wykorzystującymi napięcia pomiędzy nowoprojektowanym, a starym oraz współcześnie, konsekwentnie prowadzonych form na płycie centrum, było celowym zabiegiem mającym na celu uzyskanie niejednorodnego charakteru centralnej zabudowy miejskiej. Tak, by jej odbiór zbliżony był do percepcji centrum naturalnie, historycznie narastającego, tworzonego przez różnych architektów w róż-

nym okresie czasu. Zdaje się być takie kształtowanie centrum bliższe psychice człowieka, przyzwyczajonej do różnorodności, niejednorodności, do stref przejściowych, kontynuacji wątków architektonicznych i ścierania się rozmaitych tendencji. Celem było uzyskanie, mimo współcześnie tworzonego, to jednak wrażenia złożonej jedności historycznie rozwijających się miast europejskich. ■

Autorzy projektu i makiety: Mirosław Polak i Marek Skwara
Fotografie: Marek Skwara



Makieta — Centrum nad torami, bezpośrednio dostępne z końcówek peronów kolejowych

Stulecie śląskiej insurekcji cz. 1

Zanim wybuchło pierwsze powstanie

HENRYK SZCZEPAŃSKI

„Dlaczego Niemców nie lubią? ” W 1916 roku, z tym pytaniem do swoich niemieckich rodaków zwrócił się redakcyjny publicysta poczytnego „Frankfurter Zeitung” i przynaglał: „zaraz po wojnie musi się zebrać w Niemczech trybunał uczonych, celem zbadania niepokojącego zjawiska, że Niemcy są tak nie lubiani na świecie. Wykazała bowiem ta wojna, że cała chmara wrogów wydała im wojnę i coraz nowe narody do wojny się przyłączają. Jakaś musi być tego przyczyna.”

Dlaczego Niemców nie lubią?

Umieszczone w tytule pytanie niemieckiego dziennikarza skierowane do pobratymców brzmiało jak dzwonek alarmowy. Nie wiemy czy niemieccy intelektualiści w trzecim roku wielkiej wojny o wolność narodów wzięli je sobie do serca. 3 Lata później, na Śląsku musieli na nie odpowiedzieć Polacy, którzy zostali zmuszeni do dramatycznej konfrontacji z rzuconym na kolana, ale wciąż rozwścieczonym i na oślep kłającym pangermanizmem.

Pod specjalnym nadzorem

W 1919 roku militaryści i kapitaliści niemieccy przegrali wojnę, ale wciąż pozostawali właścicielami wielkich koncernów przemysłowych, krociovych majątków i niemrawo zredukowanej Reichswehry. Nie potrafili się wyzbyć maniackalnych

rojeń o ekspansji na wschód ani nawet o wasalizacji ziem polskich. Chwyтали się każdej sposobności by skrachowanej Rzeszy zapewnić korzystne wyniki plebiscytu. Za żadną cenę ze śląskiej matni nie chcieli wypuścić tysięcy górników i hutników — za garść fenigów od ponad stu lat harujących na chwałę despotycznych Hohenzollernów i wybranego narodu übermenschów, wciąż potajemnie wspieranego przez amerykańskich i angielskich imperialistów, przerażonych epidemią komunizmu ogarniającego Rosję, Węgry i Niemcy.

W dzień Nowego Roku 1919 prezydent rejencji opolskiej Walther von Miquel — mieszkańców swojej rejencji a przede wszystkim zadomowionych tu Polaków powitał kagańcowym obwieszczeniem o wprowadzeniu stanu wojennego.

„Wszelkie usiłowania, zmierzające do odłączenia Górnego Śląska od Rzeszy niemieckiej, są zbrodnią zdrady stanu. Zalicza się do tego przede wszystkim także ewentualny udział w wyborach do sejmiku polskiego, oraz każdą działalność przygotowawczą do nich, jak również pobieranie polskiego podatku narodowego i tworzenie „Straży Ludowej” w Prusiech. Władze policyjne jaknajenergiczniej wystąpią z wszelkimi dozwoleńmi środkami przeciwko tym usiłowaniom, przyaresztują natychmiast osoby winne i podadzą je do ukarania sądowego”.

Kości zostały rzucone. Przeciwnicy wkroczyli na wojenną ścieżkę.

Górnośląscy Polacy znaleźli się na celowniku prokuratorów, tajniaków, denuncjatorów i żandarmów. Od tej pory każdy obywatel niemieckiej rzeszy z powodu bylejakiego widzimisię mógł ich podejrzewać, oskarżać o „usiłowania” i domagać się ukarania przed pruskim sądem.

„Teraz zaczyna się systematyczna nagonka na legalny ruch polski na Górnym

Śląsku. W nocy z 2 na 3 stycznia 1919 napada oddział, składający się z 50 bawarskich żołnierzy, na składy i mieszkania polskich obywateli w Lublińcu, wybijają okna kamieniami i ostrymi wystrzałami, wdzierają się do pokojów, grozi, strzela, przeszukuje wszystko; szaleją tak przez trzy dni, przyczem obywatelstwo niemieckie albo się spokojnie przyglądało, albo ich jeszcze podburza. Tylko ucieczką niektórzy Polacy uratowali swoje życie. Miesiącami musieli potem unikać domu, bo im grozono śmiercią. Władze miejscowe, nawet komendant miasta, nie czynili nic przeciw napadom żołďactwa na Polaków. W dniu 12 stycznia zaczyna się terror niemiecki w Opolu. Żołnierze i cywiliści przemocą włoką dwóch poważnych obywateli polskich na zebranie socjalistyczne. Tam postawiono ich



Bronisław Koraszewski, lider opolskiej Polonii, w latach wojny 50-letniej wypowiedzianej Polakom przez kanclerza Bismarcka w 1871 roku

jako zbrodniarzy na stół, plwano na nich i naigravano się z nich. Słychać było głośnie: „Zabić ich, powiesić!” W końcu obu przywarto, wzięto „pod areszt ochronny” a na drugi dzień wymuszono na nich przyrzeczenie, że opuszczą Opole i odprowadzono ich aż na dworzec.”

Wiosną tego roku w Katowicach i w Zabrze przyciąły się dwie brygady niemieckiej policji bezpieczeństwa — „Sicherheitspolizei” — sipo, przez Ślążaków przewane „zycherką”. Razem pod jej rozkazami stało prawie 3 i pół tysiąca żandarmów.

Podczas akcji prewencyjnych brylowali w zielonych mundurach. Wykonując zadania specjalne występowali jako przebierańcy. Bezpośrednio podlegali dyrekcjom policji w Katowicach i w Zabrze. Katowicką brygadą dowodził płk Hoffmann, a zaborską — płk de le Roi.

Żandarm zycherki był uzbrojony w karabin, pistolet, szablę i 5 granatów ręcznych. Kompania miała na stanie 3 lkm i 2 ckm oraz 3 pistolety maszynowe.

W lipcu tamtego pamiętnego roku pograniczników Reichswehry i policjantów wzmocniły kolejne kontyngenty niemieckich sił zbrojnych. Na Śląsku zakwaterowały dodatkowe pułki piechoty, artylerii i kawalerii oraz organizacje ochotnicze



Junkier, bankier, prokurator i śląski robotnik, karykatura Antoni Romanowicz „Kocynder”

„Freikorpsu”; jego koszary wytresowały takich bohaterów nazizmu jak Ernst Röhm, przywódca terrorystycznych oddziałów szturmowych SA — „Sturmabteilung” oraz Rudolf Hess, komendant obozu koncentracyjnego Auschwitz. Swoją prawdziwą twarz pokazali kilkanaście lat później — pod protektoratem ludobójcy Hitlera.

Pogrzeb polskiej śpiewaczki

„W niedzielę 27 lipca byłem przypadkiem obecny w Katowicach. Naprzeciw Banku Ludowego, gdzie się zgromadzały Kółka śpiewackie na pogrzeb, przybyło kilku żołnierzy z »grenzschutzu«, i jeden z nich mówił: »Jetzt eine Handgranate in die verfluchten polnische Schweine« (Teraz rzucić granat ręczny pomiędzy te przekl... polskie św...!) Zaraz mu na to odpowiedziałem, co by z tego miał? A on mi na to, żeby to jego uciechą było, jakby te polskie św... w powietrze furgały. — Takie, uczucia żywi »grenzschutz« dla ludności naszej! Takie kulturalne ma su-

mienie i obyczaje.” — pisał pan Rybicki w liście, na początku sierpnia opublikowanym przez „Górnoślązaka” kolportowanego przez księgarnię Telesfora Nowickiego przy ulicy Poprzecznej 11 (obecnie: Staromiejskiej).

Przed kamienicą przy ulicy Beaty 16 (dzisiaj: Kościuszki) zgromadziły się tłumy Polaków, aby w ostatniej drodze towarzyszyć lubianej i popularnej artystce Janinie Szyperskiej, która przez ostatnie 3 lata pełniła obowiązki prezesa katowickiego chóru „Ogniwo”. Jej przyjaciółmi byli polscy śpiewacy z całego Górnego Śląska. W uroczystym orszaku pogrzebowym podążali do kościoła św. Św. Piotra i Pawła przy Mikołowskiej a potem na cmentarz parafialny przy ulicy Gliwickiej 32.

„Samych kółek śpiewackich i uczestników idących w pochodzie było conajmniej z jakie 15 000 osób, a po bokach ulic także najmniej co tyle postępowało z pogrzebem. „Katowicerka” pisała o »rzadkim pogrzebie«, a widziała na-

wet i jakież, jak się zdaje, niebezpieczne tablice! O zgrozo! Co też to ci Polacy za beczelni ludzie! Tak, były 4 tablice a napisy na nich były, do najokropniejszych gwałtów wzywające, a więc bardzo niebezpieczne, nosiły napisy: »Soprano, Alt, Tenor i Bas«.

— Niemiec jakiś, stojący na uboczu, a widząc tak wielką masę ludzi idących z pogrzebem, powiedział zaś: »Ponieważ nie mogli odbyć inaczej demonstracji, toż zebrali z sobą trumnę!»

W tym czasie gazety donosiły: „Katowice. Tutejsza policja zaopatrująca sprawy nie tylko tu w mieście, ale i w znacznej części obwodu przemysłowego, ma być o 230 chłopów pomnożona w celu wzmocnienia służby bezpieczeństwa tutaj i w całej okolicy.”

„Wzmocnienie służby bezpieczeństwa” potęgowało coraz bardziej nieznosne poczucie zagrożenia odczuwane przez Polaków. W połowie sierpnia niemieckie siły zbrojne na Górnym Śląsku liczyły około 80000 umundurowanych funkcjonariuszy.

„Rozpacзлиwa samoobrona — a więc żywiołowe powstanie, spowodowane nieznanym dotychczas terorem, wywieranym przez wojska i władze niemieckie na polskiej ludności O. Sl., stała się koniecznością, i to koniecznością nie tyle już polityczną, ile fizyczną, jako odruch obrony własnego życia i mienia” — pisał mjr J. Ludyga Laskowski, rodowity Ślązak z Rozbarku, oficer „Błękitnej armii” gen. Hallera następnie szef sztabu Dowództwa Głównego Polskiej Organizacji Wojskowej na Górnym Śląsku, dowódca 1 Dywizji Wojsk Powstańczych, a potem zastępca Naczelnego Wodza.

W cieniu pruskiej pickelhauby

W czasie wielkiej wojny światowej potomkowie Wincklerów, Grundmannów i Holtzego krzepili ducha widokiem żółtej cesarskiej limuzyny pomykającej do pałacu Hochbergów w Pszczynie, gdzie w latach 1915 – 1917 Wilhelm II zakamuflował kwaterę generalną niemieckich sił zbrojnych. Bliskość monarszego majestatu dodawała im otuchy w najtrudniejszych dniach żenującej katastrofy.

Narozne kamienice przy najważniejszych skrzyżowaniach miasta wienckrzyły okazałe hełmy w kształcie pruskiej pickelhauby. Ich projektanci i posesjonaci poczytywali sobie za honor możliwość eksponowania symbolu dyktatury Hohenzollernów. Baniastym i czubatym przyłbicom nad naroznymi wykuszami towarzyszyły gotowe do ataku, dwugłowe cesarskie orły z rozwartymi skrzydłami. Łącznie z portretami antypatycznego monarchy należały do żelaznego repertuaru ówczesnej nachalnej propagandy. Wbrew intencjom reżimowych agitatorów nie budziły sympatii a wręcz przeciwnie abominacje albo lęk.



Szyperska Janina nekrologi 27 07 1919



Pruski bocian kusi śląskie żabki — rysunek Stanisława Ligońa

Od 1903 roku, w czasie wojny i później – w fotelu nadburmistrza Katowic zasiadał gorliwy volkista Aleksander Pohlmann, poseł do prowincjonalnego Landtagu we Wrocławiu, partyjnie związany z drobnomieszczańskimi demokratami. Ten sam, który w 1903 roku celebrował oddanie do użytku wieży Bismarcka na Kamionce Katowskiej przez Niemców nazywanej Beateberg. Jako ojciec miasta wygłosił patriotyczne przemówienie. Zaraz po nim duchowni trzech Kościołów odmówili pacierze, a połączone chóry rekinów miejscowej finansjery i magnaterii odśpiewały gromkie „Deutschland, Deutschland über alles”. Ze względu na etylinowy znicz kopący na jej szczycie, Polacy ten paradny monument nazywali „najwyższym kominem Górnego Śląska”.

W kresowych Katowicach, nawet w przysłowiową świecę, nie można było się doszukać jakichkolwiek śladów demilitaryzacji rozgromionej Rzeszy. Tutaj panowały nastroje zupełnie różne od tych na pograniczu niemiecko-francuskim. Tam systematycznie ubywało żołnierzy i policjantów a na Śląsku – wręcz przeciwnie.

W katowickich koszarach przy obecnej ulicy Raciborskiej wciąż stacjonował stały garnizon Reichswehry; III batalion górnośląskiego pułku piechoty im. Jakoba Keitha. Sztab dowódcy dywizji gen. Karla Hoeffera i dwa inne bataliony kwaterowały w Gliwicach. Po reorganizacji wiosną 1919 – 117 dywizję piechoty przefasonowano na „Małą Brygadę Reichswehry Nr XXXII”. Wchodziła w skład wojsk ochrony pogranicza – Grenzschutzu.

Naprzeciw żołnierskich koszar przy ulicy Raciborskiej całą dobę czynne było kasyno oficerskie. W dwu dużych budynkach przy Francuskiej 49 i 51 znajdowała się siedziba dowództwa okręgu, z biurami, magazynami i mieszkaniami feldfebli oraz sierżantów sztabowych. Budyn-

ki pomiędzy dawnym placem Wilhelma (obecnie: Wolności) a ulicą Młyńską, zapewniały kwatery niemieckim bojówkom. Należały do Związku Górnośląskich Przemysłowców z Gustawem Willigerem na czele, wspierającym wszystkie antypolskie inicjatywy Freikorpsu.

Apartament dowódcy katowickiego okręgu wojskowego znajdował się vis a vis dawnego Marienhofu, w kamienicy przy dzisiejszej Piastowskiej, a dowódcy garnizonu przy późniejszym placu Rostka. Strategicznie ważnych kwater strzegli adiutanci i służby wartownicze.

Pogrobowcy wilhelmińskiego reżimu

Wkrótce po klęsce Rzeszy, zwolennicy nowego republikańskiego rządu w Weimarze już w listopadzie 1918 roku uwili sobie gniazdo w domu Tuchera przy dawnej ulicy Schneidera (obecnie: Mickiewicza 8).

Spotykali się w salach bankietowych piwiarni „Fürstenbräu”, które przed katastrofą heimat u słynęły z celebrowa-



Fürstenbräu 1919 piwiarnia H.Lamli

nia pompacyjnych uroczystości z okazji urodzin cesarza Wilhelma II przypadających na dzień 27 stycznia. Tutaj, tak jak dawniej, rodziły się nowsze pomysły i dojrzewały projekty polityczne. Rezonowały w tym towarzystwie gwiazdy pokroju Ulitza czy Hørsinga, krwawego kata polskich Ślązaków. 30 listopada 1918 r. Przewodniczący Katowickiej Rady Robotników i Żołnierzy Jaschke zwołał zgromadzenie marynarzy, a dzień później wachmistrz żandarmerii Simon

Maintok założył „Oberschlesischen Gendarmerie-Verein”. Pod koniec grudnia 1918 r. miejscowe „Stowarzyszenie Socjaldemokratyczne” zorganizowało walne zebranie członków. Zimą tamtego roku w swojskich zakamarkach Fürstenbräu odbyły się zgromadzenia ogólne niemieckiej Rady Robotników i Żołnierzy Miasta Katowice i powiatu. Na razie wspierali nowy rząd Republiki i tak jak zawsze byli wrogo usposobieni wobec Polaków i bolszewików.

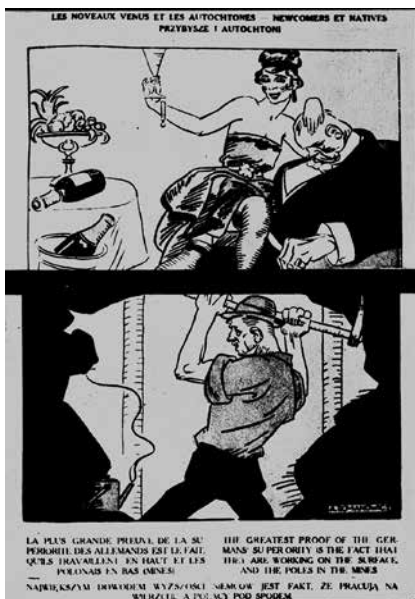
Od stycznia 1919. zarząd nad miastem znajdował się w rękach nienagannie germanofilnej katowickiej Rady Robotniczej i Żołnierskiej zdominowanej przez rozhisteryzowanych socjaldemokratów. Mimo wiele obiecujących szyldu, wbrew deklarowanym ideałom, przez ponad 10 miesięcy, aż do rozwiązania w listopadzie 1919., wspierała reakcyjne partie polityczne, odtwarzała stare struktury administracyjne a jako narodowego wroga numer 1 wskazywała Polaków i niemieckich komunistów „Spartakusa”. Pod sztandarami walki z polsko bolszewicką inwazją, zwierala szeregi heimatstreuerów – wiernych ojczyźnie patriotów.

Na jej czele stanął Otto Hørsing, z zawodu kowal, były pruski feldfebel i lider Soldatenratu w katowickim garnizonie Reichswehry, niebawem za zasługi dla Vaterlandu awansowany na stanowisko Komisarza Rzeszy i Prus dla Górnego i Dolnego Śląska. Ogłosił kolejny stan oblężenia. Jego zastępcą w Radzie Robotniczo-Żołnierskiej był A. Pohlmann, pierwszym doradcą Otto Ulitz, polakożerca, inspektor miejscowej Sicherheitsspolizei – SIPO. Ścisłe współdziałali z katowickim komendantem policji, a zarazem Landratem Gotfriedem Schwendym. Decyzje podejmowali wspólnie z dowództwem katowickiego garnizonu Reichswehry, szczytującego się największym stanem osobowym w okręgu przemysłowym. Na podporządkowaniu mieli niemieckie oddziały ochotnicze wspomnianego SIPO oraz Grenzschutz. Do Katowic zwoływali konferencje koordynacyjne niemieckich partii, władz i organizacji paramilitarnych.

Do najliczniejszych w Katowicach należały procesarskie i volkistyczne organizacje kombatanckie skupiające weteranów pruskich i niemieckich wojen ostatniego półwiecza.

„Kriegsverein” powstało w 1873. Na krótko przed I wojną światową liczyło ponad 1800 członków. Jego przewodniczącym był starszy nauczyciel Lullwitz. Podobną metryką legitymowało się „Landwehrrverein”, (Stowarzyszenie byłych żołnierzy Landwehry) założone 1879. — około 900 członków. Przewodniczył mu księgowy Jorster. Ich siedzibą była Hala Rzeszy.

Kombatanci byli też zorganizowani w: Verein ehem. preuß. Gardisten (102 członków); Pionierverein (98 członków); a także w Artillierverein — 202. Temu



Niemcy na wierzchu Polacy pod spodem. Karykatura, autor: A. Romanowicz

gremium przewodniczył Otto Ulitz, komisarz i szef inspektoratu katowickiej Policji, którego dewiza głosiła: „zawsze przeciwko Polsce”. To on, w ćwierć wieku później, we wrześniu 1939, z kwiatami i owacjami, na progu gmachu Urzędu Wojewódzkiego, przyjmował nazistowskich dygnitarzy i generałów.

Ponad 400 zdeklarowanych hakatystów gromadziło się pod sztandarem Ostmarkverein, gdzie przewodzili: nauczyciel gimnazjalny dr Knötel, radca sprawiedliwości Hugo Sachs (zięć zagorzałego germanizatora Holtzego) i okręgowy inspektor szkolny Rzeznitzek. Sekundowało im 100 wyemancypowanych politycznie katowiczaniek pod przewodnictwem córki R. Holtzego — pani Hedwig Sachs z Verein Frauenwohl.

„Grenzschutz oraz policja terrorowały ludność polską, korzystając z poparcia niemieckich władz i przedsiębiorców: przeprowadzano rewizycje, rewizje i aresztowania, rozbijano polskie wiecje i zebrania, utrudniano rozwój polskiego życia organizacyjnego, hamowano działalność polskich towarzystw kulturalno-oświatowych. Wszystko to wywoływało opór ludności polskiej i narzucało myśl o zbrojnym przeciwstawieniu się narastającemu terrorowi.” Zauważają historycy powstań śląskich.

Strach zaglądał Polakom w oczy w pracy i na ulicy. Niemcy na ich widok nie kryli złych twarzy, wrogich spojrzeń i pogardliwych okrzyków. Nocą pod oknami liderów propolskich organizacji rozlegały się wrzaskliwe pogroźki Finis Poloniae!

„Cały aparat administracyjny był i pozostał na wskroś niemiecki. Społeczeństwo niemieckie, żyjące de facto w ramach państwa niemieckiego było doskonale zorganizowane i cieszyło się oczywiście wszechstronnym poparciem swojej administracji. (...) Panami położenia w sensie politycznym i administracyjnym byli

Niemcy” – wspominał Jan Keller, jeden z katowickich powstańców i polski oficer alianckich służb specjalnych.

Pod egidą aliantów

„Wiedeńskie biuro korespondencyjne donosi z Paryża: Najwyższa rada ententy wezwała rząd niemiecki, aby zaniechał wszelkich aktów nieprzyjaznych względem ludności polskiej na Górnym Śląsku. (...) Na posiedzeniu 27 lipca uchwalili konferencja pokojowa w Paryżu wysłać armię ententy na Górny Śląsk w celu utrzymania tam porządku i niedopuszczenia do walk między Polakami a Niemcami.”

Następnego dnia w Warszawie podczas posiedzenia sejmku Rzeczypospolitej, premier Ignacy Paderewski ocenił sytuację Polski po ratyfikacji układu pokojowego z Niemcami.

„Wysoki Sejmie! Niech mi wolno będzie rozpocząć to sprawozdanie od radosnego okrzyku: Ojczyzna nasza wolna nareszcie! Traktat pokojowy, podpisany przez Niemcy, uznał niepodległość Polski. Główne sprzymierzone i stowarzyszone mocarstwa stwierdziły ją uroczyście, jeżeli plebiscyt na Warmii, Prusach Książęcych i na Górnym Śląsku wypadnie na naszą korzyść, to odzyskamy znaczny szmat ziemi, nawet tę część jej prastarą i drogocenną, która już za najświetniejszych Jagiellońskich czasów nie była w naszych rękach. I chociaż przy obejmowaniu w posiadanie odwiecznych ojczystych zagonów niemało jeszcze wypadnie ponieść ofiar, chociaż tam może jeszcze poleje się krew polska droga, to jednak dziś już śmiało rzecz można, że na zachodzie stanęła okazała i piękna część państwowego gmachu polskiego, stanęła mocno na prawnych podstawach, uznanych przez wszystkie rządy i narody, przez wszystkie największe świata potęgi.”

Tymczasem Polacy w Katowicach zrzeszali się we własnych organizacjach. Profilem działania przypominały inne, formalnie podobne związki społeczno-kulturalne, funkcjonujące na obszarze państwa niemieckiego. Sprzyjały utrwalaniu polskiej świadomości narodowej ale także i politycznej. Przewodowali w nich druhowie towarzystw śpiewaczych, gimnastycznych, czytelniczych, członkowie stowarzyszeń takich jak „Eleuzis”, „Towarzystwa Górnośląskich Przemysłowców” itd. Z tych kręgów wywodziły się panie – Bronisława Szymkowiakówna i Aleksandra Szyperska oraz kilku mężczyzn, którzy dopiero w listopadzie 1919 roku (już po krwawym stłumieniu pierwszego powstania) jako pierwsi polscy mandatariusze miejscowych rodaków zasiedli w ławach rady miasta. Do polskiej frakcji należeli także: dyrektor Banku Ziemińskiego Jan Piechulek, lekarz Andrzej Mielecki, redaktor Jan Brzeskot, Wawrzyniec Wiśniewski, kupiec Franz Maska i mistrz buciarski Leopold Dembiński.

Byli reprezentacją ponad siedmiotyściennej katowickiej Polonii.

Przygrywka do dance macabre

„Gazeta Robotnicza” tuba prasowa śląskich socjalistów poczuwających się do solidarności z Polską i Polakami, w dniu 12 sierpnia 1919 roku, zamieściła proroczą i demaskatorską publikację.

„Na horyzoncie Widzimy obecnie znów nowe chmury. Wiadomo powszechnie, że różni ludzie, którym się pracować nie chciało, poszli do „Grenzschutzu”. Tam dostawali wysoki żołd a kopalnie płaciły tym robotnikom tyle, jak gdyby tam pracowali. Ciężary te, które kopalnie dobrowolnie ponosiły, inni musieli zarabiać ci, którzy pozostali w kopalni, dlatego też wezwali załogi swych dawnych kolegów, aby do 15 maja powrócili do pracy i dodali, że kto powróci po 15 maja, z tem za żadną cenę pracować nie będą.

Obecnie rozwiązano pewną część tych sławetnych oddziałów „Grenzschutzu” a ci, którzy poprzednio pracowali nie chcieli i woleli zwalczać swych towarzyszy pracy, wtrącając teraz do kopalni. A ponieważ załogi z nimi pracować nie chcą, przeto wybuchają strejki a w następstwie tego, prześladowania i groźby pod adresem wydziałów robotniczych.

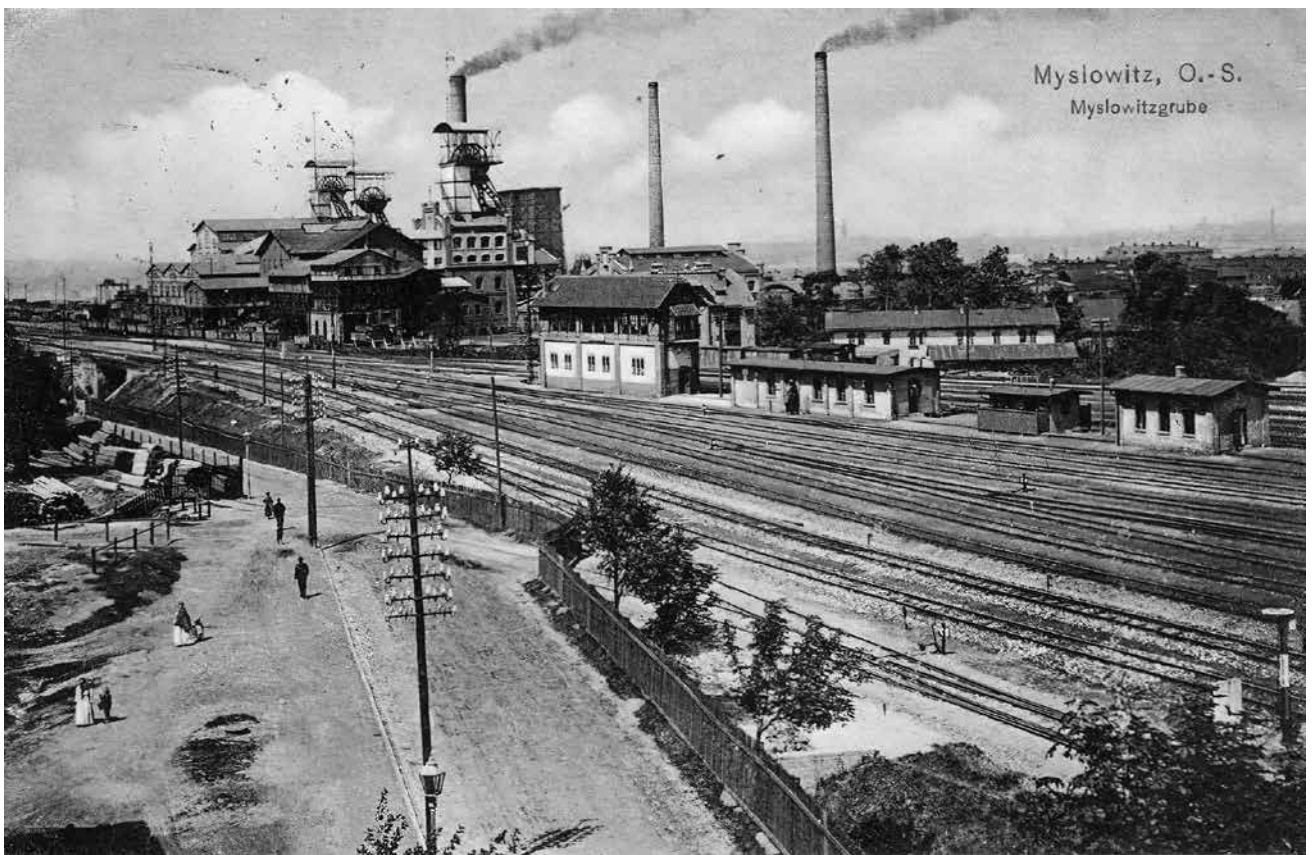
Z powodu tego odbyło się w ubiegły czwartek w Katowicach zebranie wydziałów robotniczych, przy udziale 200 przedstawicieli, na którym uchwalono jednogłośnie następujące ultimatum do dyrekcji kopalń górnośląskich:

„Zebrani domagają się wydalenia z kopalni wszystkich tych, którzy po 15 maju pozostawali przy „Grenzschutzu”, a teraz wciskają się do kopalni. Jeżeli żądanie to w 24 godzinach uwzględnione nie zostanie, natenczas rozpocznie się strejk generalny.”

Latem 1919 roku napięcie sięgało zenitu. Niebieskie ptaki i oprychy, które ochotniczo wstąpiły do służb specjalnych, oficjalnie „chroniących granicy państwa” a w rzeczywistości troszczących się wyłącznie o mienie i bezpieczeństwo miejscowych kapitalistów — właścicieli hut, kopalni i fabryk, po rozformowaniu zostały przyjęte do pracy w charakterze brygadzystów, wartowników i nadzorców swoich dawnych kolegów, których jeszcze wczoraj rozpedzali i lżyli podczas publicznych spotkań i strajków.

Polacy protestowali i żądali usunięcia z pracy weteranów pałkarskiego „Grenzschutzu”. Natomiast, z ojcowską obroną „dzielnych synów niemieckiego Heimatu” wystąpiły oficjalne władze Soldatenratu.

„W celu obrony powracających do życia cywilnego żołnierzy „Grenzschutzu”, komisarz państwowo Hörsing oraz komenderujący generał VI korpusu armji v. Friedberg na mocy prawa o stanie obłączenia wydali w dniu 8 sierpnia następujący rozkaz:



Kopalnia Mysłowice około 1918 karta pocztowa, zbiory SBC

§ 1. Kto byłych członków „Grenzschutzu” lub „Reichswehry” za powrotem do ich obywatelskich zajęć lży, grozi im, lub przeszkadza w wykonywaniu ich czynności, albo w inny jakiś sposób przyczynia im trudności i strat z powodu należenia ich przedtem do „Grenzschutzu”, lub „Reichswehry”, ten podlega karze do roku więzienia, o ile wedle ogólnych praw karnych, nie nastąpi wyższa kara.”

Krwawa sobota w Mysłowicach

Polscy robotnicy nie dawali za wygraną. Ich bronią była środowiskowa i związkowa solidarność. Odpowiedzieli strajkiem. 14 sierpnia na Śląsku strajkowało około 140 tysięcy górników, hutników i robotników innych branż.

Dwa dni później, w sobotnim wydaniu „Górnoślązak” informował:

„przed generalnym strejkem na Górnym Śląsku.

Strajk na kopalniach górnośląskich przybiera coraz to szersze rozmiary. Do strajkujących przyłączyły się kopalnie królowej Ludwiki pod Zaborzem, Kleofasa i Konkordia. Liczba strajkujących wynosi około 60 procent. Strajkujący żądają również wypuszczenia więźniów politycznych, oraz otwarcia granicy i zniesienia stanu obłężenia. — Dla braku węgla zatrzymały prace główne fabryki papieru na Górnym Śląsku, w Krapkowicach i Koziej Szyi.”

Jeszcze tego samego dnia, w sobotę 16 sierpnia 1919 roku do brutalnej konfrontacji doszło na fabrycznym placu

przed cechownią kopalni Mysłowitzgrube (po latach KWK Mysłowice).

(W licznych relacjach podawane są dwie daty tego wydarzenia – jedne jak na przykład „Górnoślązak” i wiele innych podają datę 16 sierpnia – sobota a w pozostałych oraz w lokalnej tradycji myśłowickiej, powtarzana jest — 15 sierpnia 1919 roku.) Podobnie różnią się autorzy historycznych opracowań dziejów powstania.

Dyrekcja zwlekała z wypłatą poborów. Przed zamkniętą bramą kopalni przy Sandstrasse (obecnie: Świerczyny) gromadził się tłum liczący 3 tysiące górników z żonami i dziećmi. Od wielu dni czekali na pieniądze. Zgodnie z wezwaniem ukrywających się dyrektorów stawili się na godzinę 9. Odesłano ich z niczym. Jakiś urzędnik z pruską arogancją rozkazał im przyjść o 11. Ostatecznie, dopiero po godzinie 13 na dziedziniec kopalni wartownicy wpuścili pierwszych trzydziestu górników — wierzycieli. Takie „wpuszczanie na raty” ludzie odebrali jako prowokację. Po przejściu kolejnej grupy, bezwiednie zaczęli wchodzić na plac.

Na komendę dowódcy „Grenzschutz Ost” pada salwa kulomiotu. Żołnierze strzelali bez ostrzeżenia. Zabili siedmiu górników, dwie kobiety i chłopca o nazwisku Ścierański. Miał 13 lat, przyszedł po wypłatę dla chorego ojca. Było wielu rannych.

Bezkarne uśmiercenie bezbronnych ludzi wywołało szok i oburzenie, także wśród niemieckich związkowców. Do historii przeszło jako „masakra myśłowicka”.

Relacja uzupełniająca wydarzenia z poprzedniego tygodnia wraz z imienną listą ofiar ukazała się na łamach Górnoślązaka nr 188 w czwartkowym wydaniu z dnia 21 sierpnia 1919 roku:

„Mysłowice. Zaburzenia.

W czwartek wieczorem zgromadziły się w rynku tłumy młodych ludzi. Policja starała się zebranych rozproszyć, atoli była bezsilną tern więcej, że z tłumu zaczęto strzelać. Z rynku udał się tłum na ulice Bytomską i Modrzejowską, gdzie został przez żołnierzy rozpuzczony. Raniono jednego cywilistę i jednego oficera. Około godziny dziesiątej był zupełny spokój.

— Podczas sobotnich zaburzeń na kopalni myśłowickiej zostały zabite cztery, a raniono pięć osób. Nazwiska zabitych są: Konrad Lis, Konrad Mehliś, Anna Urbańczyk i Wilhelm Ścierański. Ranni nazywają się: Alfons Więciorz, Karolina Kula, Oton Gąsiorczyk, Adolf Biczynsko i Wilhelm Moth. Rany, jakie ostatni odnieśli, są poważne.”

„Wszyscy, tak Polacy, jak i Niemcy, zdawali sobie sprawę z tego, że musi się stać coś stanowczego, coś, co usunie zmorę niepewności z powierzchni życia górnośląskiego.” – pisał Ludyga Laskowski.

Nazajutrz wybuchło powstanie — Ślązacy i Polacy wystąpili przeciw Niemcom. Rozpoczęła się batalia o przyłączenie Śląska do polskiej Macierzy – ostatni akt wojny 50-letniej uwieńczonej spełnieniem patriotycznych aspiracji ponad milionowej społeczności Ślązaków.

Ze starych i nowych przyokazyjek (3)

MAREK PIECHOTA

Jest raczej coś niż nic¹ i raczej gdzieś niż nigdzie

Mojej Małgosi i naszemu Kotu

Jest nic... – tak mi się napisało,
Miało być „Jest noc...” – literówka.
Teraz się trzeba zmierzyć z całą
Tą filozofią – słoń a mrówka,

Myśląca trzcina² o Wszechświecie...
Astrofizycy z Bożej łaski,
A cóż wy o wybuchu wiecie? –
Że wielki był? Kulisty? Płaski?!

Przestrzeń bezkresna (czy bezkresna?)
Mówi coś o nas, czy jest niema?
Myśl – to materii matka chrzestna?
Czy jest nic? Czy niczego nie ma,

A nam się tylko wszystko zdaje³?
Wszechświat apetyt ma na życie,
Pobrał inflację⁴, teraz zdaje
Do magazynu (patrz plik: „Bycie”).

Jest rytm – to pewne! – jest harmonia,
Co wszechświat wiersza ręco wspiera,
Bytu z niebytem eufonia,
Dylemat kota Schrödingera⁵.

Naszą domową galaktykę
Przez siedemnaście mgnień wiosennych
Rozświetlał Kot – a miał praktykę –
Uroczo senny i promienny.

Zgasł nagle, spoczął u podpłocia
W całun mgławicy zawinięty,
Ku kępom szalwii oraz mięty
Wiodła ostatnia ścieżka Kocia.

Nad byłym Kotem, co wszechświatem,
Iskierką życia był, badylek
Drży, drżenie wstrząsa większym bratem...
Jest raczej coś niż nic – i tyle...

Puenta na wyższym ciut rejestrze:
Cudem jest mieć i nie mieć racji,
Bledną materia, czas i przestrzeń...
(W przypiskach źródła inspiracji).

Tu trzecią puentę chętnie dodam,
O tym, że kocham Cię nad wyraz,
Szkoda, że krótka to przygoda,
Cieszymy się – wciąż dojrzewa *shiraz*.

Katowice – Warszawa, 8.05.2018 r.

Papier, kamień... zapalki

Panu Markowi Dziewulskiemu z Tczewa
w odwet za wzmiankę o spektaklu
Słoneczni chłopcy w Teatrze 6. piętro

Megalit kochał głązy, współczesność – kamyczki,
Cywilizacja wniosła różniczki i całki,
Cenzor cywilizację chwali za nożyczki,
Ponowoczesność wyżej ocenia zapalki.

„Rękopisy nie płoną” – w *Mistrzu i Małgosi*,
W rzeczywistości piękny optymizm odradzam,
Marzenie Pegazowym skrzydłem nas unosi –
Feniks wstawał z popiołów, tekst się nie odradza.

Tarnowskie Góry – Katowice, 26.05.2019 r.

rys. Bogna Skwara



1 L. M. Krauss: *Wszechświat z niczego. Dlaczego istnieje raczej coś niż nic*. Przeł. T. Krzysztoń, Warszawa 2014.

2 Blaise Pascal (1623–1662): „Człowiek jest tylko trzcina, najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myśląca.” (H. Markiewicz, A. Romanowski: *Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych*. Wyd. nowe poprawione i znacznie rozszerzone. Kraków 2007, s. 318).

3 Po szczegóły odsyłam do filozofii George Berkeleya (1685–1753) i jego idealizmu subiektywnego.

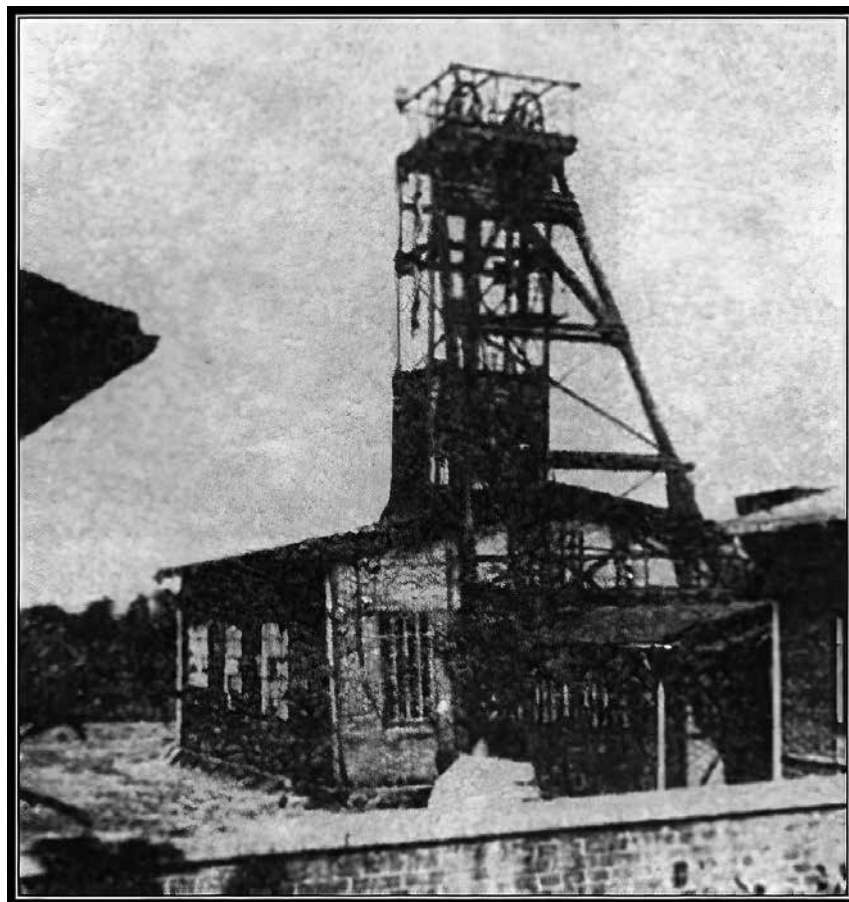
4 S. Hawking, T. Hertog: *Gładkie wyjście z wiecznej inflacji?* „Journal of High Energy Physics” 2018.

5 Eksperyment myślowy Erwina Schrödingera (1887–1961) o zderzeniu klasycznych intuicji z regułami fizyki kwantowej (kot równocześnie i żywy, i martwy...), niemal tak słynny w XX w., jak „uśmiech kota z Cheshire” z *Alicji w Karolinie* Czarów Lewisa Carrolla.

Nie trzeba szukać przygody. Nie znajdzie się jej, choćby pojechało się aż na koniec świata, przez siedem rzek i za siedem gór. Nie zjawi się, choćby czekało się na nią dzień i noc, prowokując ją i nastawiając na nią pułapki. Takimi słowami zaczyna się kilkustopięciodniowy cykl opowieści o Tomaszu NN., znanym szerzej jako Pan Samochodzik. Przywołuję tę postać nieprzypadkowo, bowiem ze świecą w rękę szukać należałoby pośród miłośników tajemnic i zagadek osób, których przygody z historią i poszukiwaniami nie zaczęły się właśnie od lektury którejś z części przygód Samochodzika. Powieści te do dzisiaj budzą autentyczne emocje, a ich wartka fabuła skłania coraz to nowych czytelników do pogłębienia wiedzy o kraju ojczystym, a przede wszystkim jego historii i tajemnic z nią związanych.

Od dziesięcioleci za krainę najbardziej obfitującą w tajemnice zwykło uznawać się w Polsce Dolny Śląsk. Nie ma w tym oczywiście niczego dziwnego, bowiem przez setki lat istniejące tam kultury przenikały się nieustannie, pozostawiając po sobie materialne i kulturowe dziedzictwo w postaci zabytków o niepowtarzalnym charakterze i bezcennej wartości historycznej. Tajemnicze zamki, zagadkowe podziemia, potężne klasztory, pałace i historie związane z tymi miejscami sprawiają, że region ten wciąż jest eksplorowany przez badaczy, poszukiwaczy i tropiciele zagadek z przeszłości. Jednak od pewnego czasu także Górny Śląsk powoli przebija się do czołówki tych regionów, które z uwagi na bogatą przeszłość, warto odwiedzić, aby poznać ich tajemnice. Na tym tle szczególnie widoczny jest Bytom, który jak się okazuje, jest miastem gdzie tajemnice można spotkać niemal na każdym kroku. Najciekawsza z nich rozpała wyobraźnię badaczy już od ponad pół wieku, a związana jest z wydarzeniami, jakie miały mieć miejsce przy Szybie Południowym ówczesnej kopalni „Prusy” w Miechowicach.

Prace przy jego budowie rozpoczęto w roku 1907, zaś do użytku oddany został w 1911 pełniąc rolę szybu wentylacyjnego i częściowo zjazdowego. W roku 1934 w wyniku wyczerpywania się pokładów węgla w polu południowym oraz wskutek uszkodzenia szybu wywołanego wybieraniem węgla z jego filara ochronnego został on, jako zbędny, otamowany i wyłączony z użytku. Stan taki trwał do roku 1944, kiedy to nieczynnym, położonym na uboczu i otoczonym lasem obiektem zainteresować się mieli przedstawiciele zbrodniczych Schutzstaffel czyli członkowie formacji bardziej znanej pod skrótem SS. Wówczas to pod nadzorem ściągniętej do Miechowic specjalistycz-



Jedynie znane zdjęcie archiwalne Szybu Południowego

Tajemniczy Bytom

MACIEJ BARTKÓW

nej firmy z Westfalii rozpoczęto prace zmierzające do rekonstrukcji Szybu i odbudowy jego podszybi. Działania te utrzymywano w ścisłej tajemnicy, czego potwierdzeniem może być dzisiaj fakt, iż w archiwum dawnej kopalni „Prusy” (późniejsza kopalnia „Miechowice”) nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące zakresu, przebiegu czy celu prowadzonych robót. Co w tej historii najdziwniejsze, po zakończeniu prac, na przełomie lat 1944/45, dopiero co odrestaurowany szyb został przez SS-manów... wysadzony w powietrze. Co mogło być powodem tego – wydawałoby się – logicznie niewytłumaczalnego czynu? Na pewno nie była nim chęć unieruchomienia kopalni. Szyb Południowy w żaden sposób nie był potrzebny dla zapewnienia normalnej pracy górniczej przedsiębiorstwa, zresztą, gdyby Niemcy chcieli na długi okres czasu wyłączyć kopalnię z użytkowania, to wysadzili by nie tylko ten jeden, peryferyjny szyb,

ale także wszystkie inne, z najważniejszymi na czele. Wyjaśnieniem zagadki są wydarzenia, jakie rozegrać miały się w okolicy Szybu Południowego tuż przed jego wysadzeniem. Wtedy to, jak na łamach „Życia Bytomskiego” pisał już w 1962 roku Jan Wyżgoł: *W ciszy nocnej nad gęstymi zaroślami za kopalnią stale rozlegał się szum i warkot motorów. W mroku docierały pod teren szybu kolumny transportowe samochodów ciężarowych. Z czym przyjeżdżały? Co wywoziły? Czas płynął w gorączkowej atmosferze. Mroźny styczeń 1945 roku spotęgował wśród hitlerowców popłoch i niepokój. Gdy ofensywa armii radzieckiej zbliżała się do granic Śląska – pod ciemnym niebem zaśniewionego „Szybu Południowego” zawisły groza i śmierć. Pewnej nocy styczniowej głucho detonacje przeszły ciszej i... szyb znowu zamarł. W swoich czeluściach pogrzebał tajemniczy, złożony z wielu różnej wielkości skrzyń ładunek, jaki Niemcy ukryć mieli w chod-*

niku na głębokości 370 m. Nigdy nie wyjaśniono co było ich zawartością, a temat ten z biegiem lat zaczął obrastać licznymi hipotezami, z których najpoważniejsze to te, według których w szybie ukryto nieodnalezione po dziś dzień archiwum katowickiego Gestapo, zrabowane przez Niemców dzieła sztuki lub również pochodzące z rabunku złoto i kosztowności. Nie brakowało także hipotez mówiących o ukryciu w czeluściach szybu części nowych broni, a nawet o funkcjonowaniu tam podziemnej fabryki zbrojeniowej. Zdaniem niektórych, w szybie znaleźli śmierć robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni wykorzystani do rekonstrukcji szybu i jego podziemi. W latach 1968 – 1980 śledztwo w sprawie możliwości popełnienia w tym miejscu zbrodni wojennej prowadziła pod kierunkiem prokuratora Zygmunta Brzyckiego Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach. Niestety podjęte przez nią działania nie przyniosły pożądaných rezultatów i nie przyczyniły się w żaden sposób do wyjaśnienia tajemnicy szybu. W 1980 roku, oficjalnie w związku z brakiem możliwości spenetrowania podziemi, śledztwo zostało umorzone, a jego dokumentacja trafiła na długie lata do archiwum, gdzie spoczęła obok wielu innych niewyjaśnionych do dzisiaj spraw.

Gdy wydawało się, iż wszystkie szanse na wyjaśnienie tajemnicy zostały już – nomen omen – pogrzebane, umorzone 30 lat wcześniej śledztwo, wobec zaistnienia nowych możliwości, podjął na nowo w październiku 2010 roku katowicki Instytut Pamięci Narodowej. Impulsem do wznowienia umorzonych w 1980 roku śledztwa było rozpoczęcie przez, sąsiadujący z opi-

sywanym miejscem, ZG „Siltech”, starych zmierzających do uzyskania koncesji na wydobycie węgla, prowadzone w kierunku dawnych wyrobisk kopalni „Miechowice”, w tym przede wszystkim do Szybu Południowego. Jak się okazało z archiwalnych planów górniczych, w tzw. filarze ochronnym szybu jest jeszcze węgiel, którego wydobycie i sprzedaż okazać się może solidnym zastrzykiem finansowym dla prowadzącego tzw. eksploatację resztkową przedsiębiorstwa. Prawdziwa bomba wybuchła, gdy właściciel tej prywatnej kopalni Jan Chojnacki, zapowiedział przebicie się do chodnika na poziomie 370m, a więc dokładnie do tego, w którym Niemcy mieli ukryć tajemnicze skrzynie. Zakład może do niego dotrzeć z poziomu 330 metrów. Chojnacki powiedział wówczas jednemu z lokalnych dzienników: *Zastanawiający jest fakt, że wycofujący się Niemcy zlikwidowali wieżę szybową i całą infrastrukturę na powierzchni. Wygląda to na dobrze przemyślaną robotę, zacieranie śladów i uniemożliwienie dotarcia do podziemi kopalni. Jeśli hitlerowcy rzeczywiście ukryli w tym rejonie cokolwiek, to z całą pewnością do tego dotrzemy.* Po uzyskaniu wszystkich koniecznych zezwoleń, „Siltech” – pod nadzorem katowickiego IPN – rozpocząć miał operację „Szyb Południowy”.

Pierwszym terminem dotarcia do podziemi Szybu Południowego i ostatecznego rozwiązania jego zagadki, o czym ogłoszono publicznie, był październik 2011 roku. Niestety, z wielu względów, przede wszystkim formalnych, data ta nie została dotrzymana. Jak wyjaśniał J. Chojnacki przeciągnięciu uległ termin wydania przez Ministerstwo Środowiska zezwolenia na wejście wyrobiskami „Siltechu” w teren nie ob-

jęty koncesją, a bez tego nie można było rozpocząć koniecznych prac rozpoznawczych. Także ówczesne władze Bytomia zwlekały z wydaniem stosownej opinii, a w związku z tym, iż wydobycie miało odbywać się na terenie naszego miasta, jej uzyskanie było nieodzowną częścią dokumentacji pozwalającej rozpocząć Zakładowi pracę. Przeciwności udało się jednak pokonać i w marcu 2012 roku prace górnicze ruszyły pełną parą. W ich trakcie nie obyło się bez sensacji. Już w maju środowisko badaczy tajemnicy zostało zelektryzowane informacją, jakoby już w tym miesiącu, dokładnie 4 maja udało się wydobyć z powierzchni cztery pochodzące z czasów II wojny światowej skrzynie, zawierające niezidentyfikowany, acz zapewne cenny ładunek. O zdarzeniu takim jednak nie posiada żadnej wiedzy katowicki IPN, sam J. Chojnacki zaś stanowczo temu zaprzeczył. Niemniej jednak niektórzy pracownicy „Siltechu” – anonimowo – komentując tę informację twierdzą, iż skrzynie faktycznie wydobyto w tym dniu, podając nawet czas – godzinę 14.00. Miały to być jednak nie skrzynie, ale pozostałości drewnianych kufrów. Nie można tego było nazwać skrzyniami ani nie było tam żadnych swastyk.

Jednocześnie podejmowano kolejne próby spenetrowania szybu z góry. W jednym z zimowych miesięcy 2012 roku przeprowadzono eksplorację obiektu, zakończoną ponownym dotarciem do poziomu 210m. W miejscu tym znajduje się pierwszy chodnik (szyb ma takich trzy, na poziomach: 210, 370 i 520 metrów), który po raz pierwszy zdobyty został w lutym 2011 roku przez trzech, pochodzących z różnych miejsc w kraju, eksploratorów. Tym razem zejścia dokonali mieszkańcy naszego województwa, potwierdzając ustalenia poczynione przez swoich poprzedników. Jak mówi jeden z nich: *To wyprawa naprawdę ekstremalna. Poniżej pewnego poziomu woda leje się niemal wszędzie, a nad głowami znajdują się elementy obudowy i gruzu, które przy jakimś nieostrożnym ruchu w każdej chwili można strącić.* W wyniku oględzin wnętrza szybu i chodnika stwierdzono także, iż dotarcie z góry do poziomu 370 m., a więc tego gdzie najprawdopodobniej został ukryty tajemniczy ładunek jest niemożliwe ze względów bezpieczeństwa.

Tymczasem ze strony „Siltechu” pada kolejna data Po terminie wiosenno – letnim 2012 roku okazuje się, iż możliwość rozwiązania tajemnicy przypaść może najwcześniej latem 2013 roku. Rodzą się także wciąż nowe niejasności, i co w tej sytuacji naturalne – plotki. W styczniu 2013 r. okazu-



Wnętrze Szybu Południowego



Wnętrze Szybu Południowego

je się, iż pracownicy Siltechu przejechali przez stare zroby i przedostali się do pokładu 504, znajdującego się w rejonie Szybu Południowego. Jak powiedział wówczas J. Chojnacki jednemu z lokalnych tygodników branżowych: *To jest głębokość 330 metrów, zaś domniemany skarb może się kryć na poziomie 370 metrów. Ten poziom wykonany jest w wyrobisku kamiennym. Teraz, po wykonaniu wyrobiska w pokładzie 504, spróbujemy wykonać odwiert do przekopu na poziomie 370 metrów i specjalistyczną kamerą spenetrować to wyrobisko.* Wśród mieszkańców Zabrze niemal natychmiast zaczyna krążyć informacja, przekazana rzekomo przez jednego z młodych górników zatrudnionych w „Siltechu”, jakoby odwiert został już wykonany, a szyb spenetrowany za pomocą kamery dostarczonej przez IPN. Co w tej sprawie najciekawsze, taką informację otrzymałem około 2 tygodnie przed przywołanym powyżej artykułem, w którym Chojnacki zapowiedział przeprowadzenie takich prac, przy czym mój „informator” twierdził, iż w wyniku przeprowadzenia tej swoistej wizji lokalnej, po obejrzeniu widoku, jaki zarejestrowała kamera, prokuratorzy Instytutu Pamięci Narodowej zdecydowali o przerwaniu prac i zamurowaniu powstałego w wyniku wiercenia otworu. Czy tak było naprawdę? Nie wiem. Indagowany przeze mnie w tej sprawie prokurator Dariusz Psiuk zaprzeczył jakoby takie prace zostały wykonane, a tym bardziej, aby katowicki IPN podjął decyzję o zaprzestaniu prac dążących do wyjaśnienia zagadki. *Sledztwo w chwili obecnej jest zawieszona i cały czas czekamy na zakończenie prac „Siltechu”.* Dyrektor Chojnacki ma powiadomić IPN, gdy tylko pojawi się możliwość bezpiecznego wejścia do interesującego nas chodnika — powiedział Psiuk.

Z kolei w lipcu 2013 okazało się, iż w wyniku niewiadomych działań, diametralnie zmieniła się wentylacja w szybie. *Albo zaciąga, albo wieje tak, iż roślina wokół dziury niemal kładą się na ziemię* mówi M., który kilkakrotnie uczestniczył w eksploracjach w głąb szybu, i sprawy związane z jego wentylacją zna jak mało kto. Według niego najbardziej prawdopodobnym powodem takiej zmiany jest nic innego jak tylko przebicie się na dole do interesującego nas chodnika. Następnego dnia, wespół z eksploratorami z Bytomia, jedziemy sprawdzić te niepokojące informacje. Faktycznie, „cug” w szybie jest taki, jakby na dole ktoś włączył potężny odkurzacz. Aby zobrazować siłę ciągu postanawiamy rozpaść przy otworze, nazwijmy go umownie „wejściowym” do szybu, małe ognisko. Niemal natychmiast po rozpaleniu ogień ogarnia ułożony stosik drewna, a jego języki znikają w szybowym otworze. Po kilku chwilach zgromadzone drewno spala się na bielutki popiół. Pod betonową płytą czopującą szyb, w okolicy drabinki prowadzącej w celuświe już tak, jakby tam na dole ktoś uparł się, by w ekspresowym tempie zobaczyć nas na dole. Czyżby więc faktycznie udało się przebić do szybu od dołu? Postanawiam sprawdzić to u źródła, czyli u Dyrektora „Siltechu” J. Chojnackiego. *Cały czas dążymy do celu – mówi Chojnacki — W chwili obecnej przejechaliśmy w okolicy Szybu Południowego, ale nie na tej głębokości. Jesteśmy na pokładzie 504 na poziomie 330 metrów, aby dostać się do interesującego wszystkich chodni-*

ka, który z kolei znajduje się na poziomie 370 m, musimy wykonać wyrobisko, drążąc w kamieniu. To bardzo kosztowna inwestycja, której koszt szacuję nawet na pół miliona złotych. Pojawiające się informacje o zakończeniu robót i przebicie się do Szybu to plotki, na pewno dotrzemy tam w tym roku, ale kiedy dokładnie nie wiadomo. Wszystko zależy od tego jak pójdą nam roboty, jak pójdzie praca przy tym kamiennym wyrobisku, które jak wiadomo nie przynosi żadnego zysku, pochłania za to ogromne pieniądze. Poproszona o komentarz osoba od wielu lat związana zawodowo z górnictwem, po wysłuchaniu relacji z przebiegu wizyty przy szybie, mówi: *Możliwości są dwie. Pierwsza to ta, że na dole rzeczywiście przebito się do nieczynnego chodnika, udroźniając w ten sposób wentylację w szybie. Pamiętać trzeba, że Szyb Południowy jest praktycznie wyrobiskiem pustym. Przy likwidacji nie zasypano go podsadzką piaskową lub kamienną, ani żadnym innym materiałem wypełniającym, a jedynie zniszczono częściowo obudowę w strefie przypowierzchniowej i zaczopowano prowizorycznie wlot do szybu betonową płytą. Ale możliwe także, iż ciąg powietrza spowodowany został w zdecydowanie mniej tajemniczy sposób. Może to być efektem np. tego, iż prace „Siltechu” odbywają się w niewielkiej odległości od szybu. To wystarczy, aby aktywnie zaczął „pracować” układ spękań i szczelin, jakich w tego typu obiektach jest nadzwyczaj wiele. Depresja wentylatora głównego, przy nieszczelnym zamknięciu szybu, może spowodować dokładnie takie zjawisko, o jakim mówimy, gdyż w starych, kilkupoziomowych, naruszonych wielopokładową eksploatacją kopalniach — szczelny górotwór faktycznie nie istnieje.*

Dopiero rok później, w październiku 2014 roku, szef „Siltechu” przyznaje, iż przebił się do chodnika na poziomie -370m. Ja twierdził, miał go spenetrować specjalistyczną kamerą i stwierdzić, że jest on zawalony. Jak jednak było naprawdę, na razie, wie tylko on.

Tajemnica Szybu Południowego nadal więc pozostaje nierozwiązana. Zdaniem znanego śląskiego historyka prof. Ryszarda Kaczmarka, jeśli kiedykolwiek dojdzie do zmiany takiego stanu rzeczy i korytarze do których prowadzi Szyb Południowy ujawnią swe tajemnice, to to co tam znajdziemy może okazać się „bombą na skalę światową”. ■

Maciej Bartków, publicysta i badacz wojennych tajemnic Górnego Śląska. Autor książek poświęconych przeszłości Śląska „Tajemnica Szybu Południowego”, „Werwolf na Górnym Śląsku”, „Strażnicy IV Rzeszy” oraz artykułów publikowanych m.in. w miesięczniku „Odkrywca” i tygodniku „Do rzeczy”. Koordynator projektu „Tajemniczy Bytom”, radny Rady Miejskiej w Bytomiu.



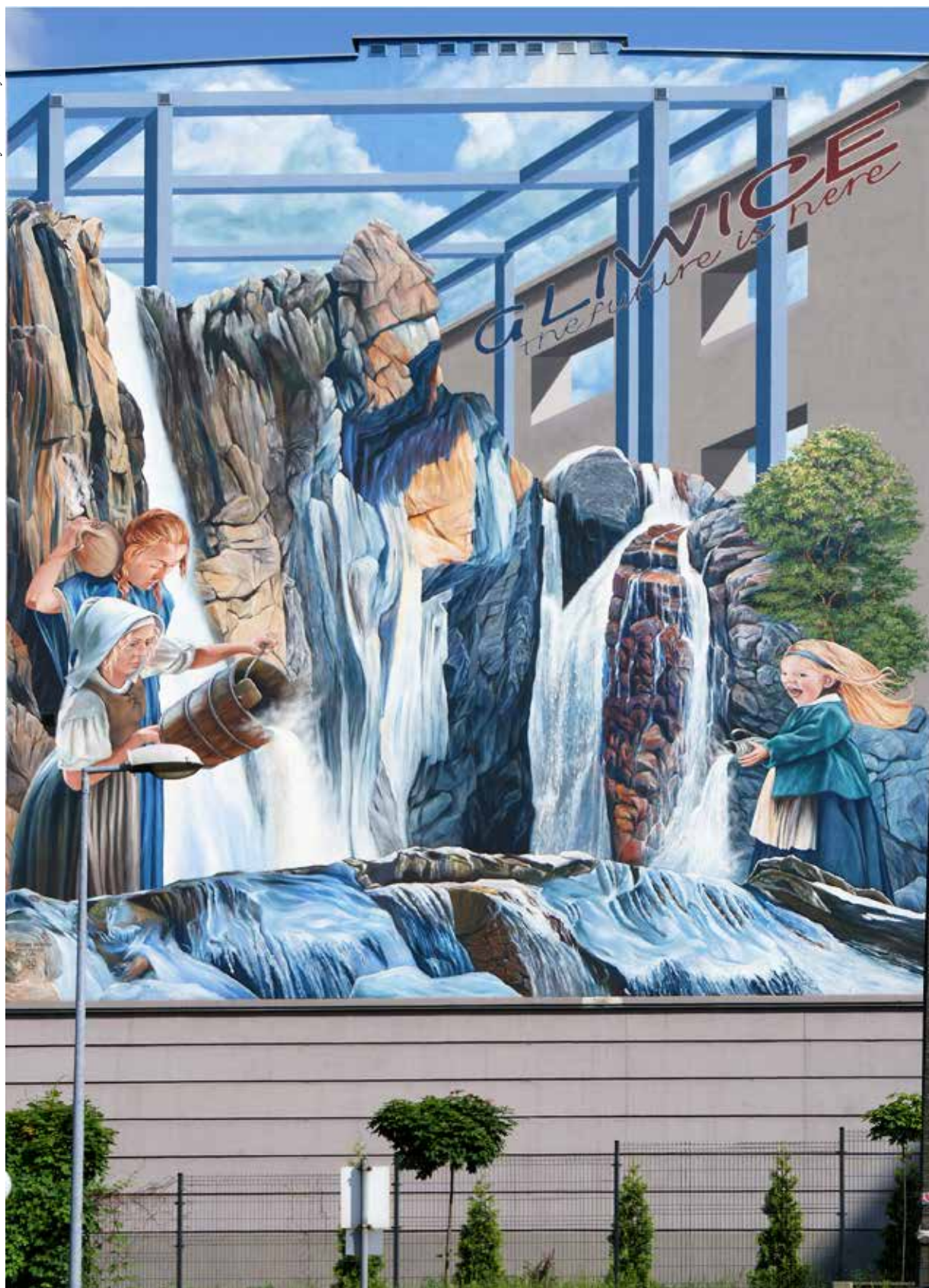
fot. Maciej Bartków

Szyb Południowy obecnie – na zdjęciu betonowa płyta zabezpieczająca wylot szybu.



fot. Maciej Bartków

Odsłonięte wejście do Szybu Południowego



Legenda gliwicka na ścianie

MAŁGORZATA LICHECKA

Mural z Pszczyńskiej 44 jest dziś stałym elementem gliwickiego krajobrazu, choć kiedy zadebiutował, budził kontrowersje. Części mieszkańców nie podobała się zbyt jarmarczna kolorystyka czy infantylna forma ujęcia postaci; inni zachwycali się pionierskim pomysłem artystycznym. Muralowi nie można jednak odmówić rozmachu: robi wrażenie zarówno ze względu na format, jak i zastosowaną metodę. Gdy w 2014 roku udostępniono go w miejskiej przestrzeni, był jedynym tego typu malowidłem w Polsce. Miejsce jest przypadkowe i nie ma związku z wykorzystanym tematem. Ten rejon Gliwic w czasach, do których odwołuje się mural, był ugięciem poza murami miejskimi.

Oblężenie

Gdyby wykonano podobny mural w roku 2016, wiązałyby się to z 390. rocznicą wojny trzydziestoletniej i oblężenia Gliwic przez wojska dowodzone przez Ernsta von Mansfelda. Bo do tych historycznych wydarzeń odwołuje się dzieło Ryszarda i Wiktora Paprockich. Wzięli oni na artystyczny warsztat jedną z popularniejszych gliwickich legend. Jej kanwą są wydarzenia z lat 1626–27, gdy wojska duńskiego hrabiego Mansfelda łupiły tereny Śląska, niebezpiecznie zbliżając się do Gliwic, które w tamtych latach były katolicką wyspą, zatopioną w morzu protestantyzmu. Kiedy w lipcu 1626 roku mansfeldczycy otoczyli miasto, zażądali kapitulacji, stawiając groźne ultimatum. Rajcy z burmistrzem na czele nie poddali się i czekali, gotując się na wszelki wypadek do walki. Wojska nie przpuściły jednak szturm, a mieszkańcy uznali, że ocalanie wymodlili. Przez lata przekaz nieco ubarwiano, czego efektem stała się miejska legenda o dzielnych kobietach z Gliwic, które nie dopuściły wroga do miasta, lejąc gorącą wodę na zamarzającą fosę.

Unikat

Mural jest – widoczną z daleka – kolorową wyspą wśród nijakiej miejskiej zabudowy. Zwraca uwagę przede wszystkim ze względu na nowatorską technikę. Paprocky, jako pierwszy w Polsce, zastosował mural anamorficzny. Wymagało to od artystów nie tylko przygotowania szczegółowego projektu, ale też specjalnego rodzaju nakładania farb i pokrywania nimi powierzchni ściany. Celem tej unikatowej metody było uzyskanie trójwymiarowości: obraz nie jest płaski, postaci „ożywają” i niejako wychodzą z ram. Żeby zobaczyć efekt 3D należy oglądać mural z odpowiedniego punktu, inaczej całość wygląda jak w krzywym zwierciadle.

Tajemnica

Prace nad wielkoformatowym malowidłem trwały miesiąc, lecz Ryszard (ojciec) i Wiktor (syn) Paprocky dużo wcześniej przygotowali plan pracy, materiały, wstępne plansze oraz grafiki. Odwiedzali też Gliwice, by zorientować się, z jakim wyzwaniem mają do czynienia. Obaj wiedzieli, że będą musieli pracować w tajemnicy: do momentu zakończenia prac ścianę przykrywała półprzepuszczalna, oddychająca płachta, uniemożliwiająca podglądanie artystów. Takie okoliczności wymusiły też nietypowy system artystycznej działalności: Paprocky malowali w bliskim planie, nie mogąc zobaczyć rezultatu pracy z perspektywy.

Dzieła

Legenda gliwicka nie była pierwszym tego typu dziełem Ryszarda (Ryha) Paprockiego. Ten artysta z dyplomem krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych nie lubi rutyny i jest zafascynowany przestrzenią. Od roku 2011 realizuje wielkoformatowe kompozycje anamorficzne. Jest autorem *Mocy żywiołów*, uwiecznionej na koronie zapory wodnej w Niedzicy (2011), *Solnego świata* na rynku w Wieliczce (2012), kompozycji *The underglass* w Centrum Dziedzictwa Szkoła w Krośnie (realizację malowidła transmitowano on line) czy *Gry* w pasażu Schillera w Łodzi.

Twórcy

Ryszard Paprocki (rocznik 1963) pochodzi z Podkarpacia. W latach 1983–89 studiował architekturę na wydziale architektury Politechniki Krakowskiej, w 1989 podjął studia na wydziale malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom z wyróżnieniem w 1993 roku w pracowni malarstwa sztalugowego prof. Juliusza Joniaka oraz w pracowni malarstwa ściennego prof. Józefa Ząbkowskiego). Zajmuje się malarstwem sztalugowym, malarstwem monumentalnym, architekturą wnętrz, rzeźbą i architekturą ogrodów. Uprawia abstrakcjonizm, tworzy instalacje przestrzenne. W dorobku ma ponad 20 wystaw indywidualnych i 30 udziałów w wystawach zbiorowych. Zajmuje go wzornictwo przemysłowe. Od roku 2006 współpracuje z firmą Hybner SA w Środzie Wielkopolskiej. Jest założycielem krakowskiego Stowarzyszenia Ogrody Sztuki, skupiającego artystów i ludzi związanych z kulturą. W grudniu 2007 roku wspólnie z Ewą Sadowską, Iwoną Grdeń-Korzeniowską i Piotrem Korzeniowskim założył nieformalną grupę artystyczną: PI_ER, będącą jednym ze współorganizatorów krakowskiego festiwalu „Święto Ogrodów”.

Przyszłość jest tu

Mural *Legenda gliwicka* zapoczątkował modę na ten rodzaj sztuki. Po Gliwicach podobne realizacje pojawiły się w innych miastach, stając się ich wizytówkami oraz nośnikami idei. Odwoływały się do nurtu eko, legend i baśni, a także wskazywały na ważne postaci historyczne, na bohaterów i bohaterki, które należało wydobyć z niepamięci.

foto. Andrzej Jarczewski





Między
nutami

MAGDALENA DZIADEK

Słownik muzyków kościelnych

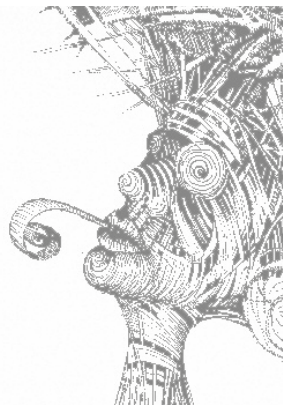
Śląska historiografia muzyczna wzbogaciła się ostatnio o niezwykle ważną pozycję. Nakładem Księgarni Św. Jacka w Katowicach ukazał się *Słownik biograficzny muzyków kościelnych i twórców religijnej kultury muzycznej na Górnym Śląsku w XIX i XX wieku*. Autorem jest ks. Antoni Reginek, działający od lat na rzecz owej kultury jako muzykolog i opiekun śląskich chórów kościelnych. We wstępie wyłożono założenia słownika, dotyczące ram geograficznych haseł (objęły teren byłej pruskiej części Górnego Śląska i Księstwa Cieszyńskiego), jak i doboru ujętych osób. Ów dobór był wielkim wyzwaniem – po raz pierwszy bowiem zdecydowano się uwzględnić nie tylko twórców muzyki liturgicznej i religijnej oraz ludzi zawodowo związanych z Kościołem, ale także księży, siostry zakonne i osoby świeckie, które chociaż czasowo miały związek z muzyką kościelną jako organizatorzy ruchu chóralnego, pedagodzy itp. W myśl powyższych założeń wyselekcjonowano 531 osób z grona, które jest oczywiście o wiele większe. Należy nadmienić, że publikacja jest częścią realizacji pomysłu, który wyszedł w 1995 roku od ks. Ireneusza Pawłaka – ówczesnego przewodniczącego Sekcji Wykładowców Muzyki Kościelnej. Był to niezwykle ambitny pomysł stworzenia słownika biograficznego muzyków kościelnych z całej Polski, niestety, bardzo trudno do zrealizowania ze względu na rozproszenie lub brak źródeł. Wiemy dobrze, jak trudno jest zdobyć informacje na temat organistów i chórmistrzów, którzy działali w naszych kościołach choćby pokolenie wstecz, nie mówiąc o postaciach z odleglejszej przeszłości. Kroniki parafialne z reguły nie notują nazwisk tych osób. Dopiero zaczyna wchodzić gdzieniegdzie w życie zwyczaj podawania na tablicy świetlanej podczas nabożeństw nazwiska osoby, która przygrywa do mszy; na stronach internetowych naszych parafii nie ma jednak informacji o organistach czy kierownikach chóru. A przecież dziś nie

są to już ledwie znające nuty „dławidudy” (mówiąc językiem Reymonta), lecz muzycy po wyższych studiach, często równolegle uczący w szkołach i uczelniach muzycznych.

Wracając do słownika, ma on jeszcze dwa bardzo istotne założenia: wbrew tradycji tego rodzaju publikacji, uwzględnia zarówno muzyków z kręgu katolickiego, jak i ewangelickiego, jak również zarówno osoby identyfikujące się z polskością, jak i niemieckością. W ten sposób ominięto dwie wrażliwe rafy, które dotąd uniemożliwiały stworzenie syntetycznego obrazu historii muzyki, nie tylko kościelnej, na Górnym Śląsku. Można by oczywiście iść jeszcze dalej, biorąc pod uwagę krąg prawosławny i inne wyznania chrześcijańskie oraz tradycję żydowską. Tu trzeba by jednak przewyciężyć znacznie silniej działające hamulce poczucia wspólnoty – kwestie Wschodu i Zachodu, tzw. sekt, a także silnie utrzymującą się gdzieś niedługo tendencję do sytuowania wyznania możeszowego w kręgu „pogańskim” (przedemną leży *Przewodnik po Wilnie* Władysława Zahorowskiego – wydanie z 1921 roku – gdzie informacje o synagodze umieszczono właśnie w dziale „Świątynie pogańskie”). Co do spuścizny muzycznej górnośląskich Żydów – do rekonstrukcji skutecznie zniechęca trudny dostęp do źródeł; kościołów prawosławnych nie jest u nas wiele; natomiast co do „sekt” – przebadany w tym zakresie przykład Krakowa przypomina o istnieniu chórów wykonujących muzykę gospel. Funkcjonują one na ogół poza kościołami: przy domach kultury bądź jako samodzielne stowarzyszenia. Przykład chórów gospel przypomina, że niektóre przejawy muzyki religijnej mogą „wyskakiwać” poza ramy wyznaczone przy konstruowaniu zakresu *Słownika*.

Omawiana publikacja jest dziełem jednego autora. Większość haseł w niej zawartych stanowi wyciąg z już istniejących opracowań słownikowych. Wykorzystał m.in. *Słownik kompozytorów polskich*

XX wieku przygotowany pod redakcją Marka Podhajskiego (który uwzględnił wiele tzw. „drugorzędnych” biogramów), prace leksykograficzne Rajmunda Hankego dotyczące amatorskiego ruchu śpiewaczego na Górnym Śląsku od XIX do XXI wieku, monografię górnośląskiej muzyki ewangelickiej autorstwa Ewy i Henryka Orzyszków, a ponadto liczne artykuły naukowe i popularnonaukowe, prace licencjackie i magisterskie, wreszcie – archiwalia. Ogromna większość źródeł i opracowań będących podstawą *Słownika* to materiały w języku polskim. Układ haseł jest alfabetyczny. Jest on zarazem poręczny i niewygodny – można od razu znaleźć poszukiwane nazwisko, ale trzeba przejrzeć całą książkę, aby wyodrębnić grupę kompozytorów, organistów, chórmistrzów, organistrów itp. Być może w kolejnym, uzupełnionym wydaniu (jesteśmy już przecież u progu trzeciej dekady XXI stulecia, a *Słownik „dociągnięty”* jest jedynie do roku 2000) warto pokusić się o sporządzenie indeksów tematycznych haseł. I oczywiście dołączyć biogramy pominięte w obecnym wydaniu. W tym celu można by zwołać ogólnośląskie „pospolite ruszenie” – bezinteresowną akcję przekazywania źródeł i informacji. Niechby sami muzycy zgłaszali informacje o sobie w umówionym miejscu, niechby znalazło się dla nich miejsce na stronach internetowych parafii. Może „Śląsk” mógłby być taką „skrzynką kontaktową” dla informatorów? Ze swej strony mogę już teraz zaproponować omówienie działalności co najmniej trzech ważnych, a nie uwzględnionych w *Słowniku* ks. Reginka postaci: Leona Kubicy – organisty, chórmistrza i kompozytora z Zaborza, wywodzącego się z tejże zabrzańskiej dzielnicy Jana Witta (dyrygenta i redaktora pisma „Przyjaciół Pieśni”, w którym ukazało się wiele cennych artykułów na temat muzyki religijnej), Henryka Tondery – organisty i chórmistrza z Kościoła św. Kamilla w Zabrzu. A zatem, do roboty! ■



ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Onę chcę miłować

Tarnogórski kościół św. Anny, ufundowany przez ówczesnego burmistrza Jakuba Grzelkę, zbudowany został jako obiekt cmentarny w latach 1617–1619. Służył najpierw ewangelikom – tak jak farny kościół pod wezwaniem św. św. Piotra i Pawła z początków XVI wieku. Oba ostatecznie zostały przejęte przez katolików: pierwszy z nich w roku 1630, drugi – w roku 1653. W latach międzywojennych kościół św. Anny pełnił funkcję świątyni garnizonowej stacjonujących w Tarnowskich Górach 3. Pułku Ułanów i 11. Pułku Piechoty (w którym służył mój Ojciec). I choć długo po wojnie pełnił funkcję tylko placówki filialnej dużo większego kościoła św. św. Piotra i Pawła (samodzielnym kościołem parafialnym został dopiero 3 maja 1981 roku), to największy odpust w mieście obchodzono właśnie u św. Anny – 26 lipca.

Uroczysta suma zaczynała się niezmiennie popularną na Śląsku pieśnią poświęconą Świętej Patronce, według tradycji chrześcijańskiej matce Marii, której synem był Jezus: „Ja sobie wybrałem za obronę Babkę Chrysta Pana – Świętą Annę. Ja Onę oddaję duszę, ciało, Onę chcę miłować jak przystało. Niech się co chce ze mną dzieje, w Tobie, Święta Anno, mam nadzieję”. Komputer podkreślił mi natychmiast czerwonym wężykiem zarówno formę *onej*, jak i *onę*. Podobnie w drugiej zwrotce: „Ja onej swe nędze opowiadam”, niczego natomiast nie zaznaczył w pierwszym wersie teźże drugiej zwrotki: „Ja się Jej polecam dnia każdego”. Bo też postać celownika *jej* jest obiegowym brzmieniem standardowej współczesnej polszczyzny, podczas gdy *onej*, *onę* – to głębokie archaizmy, żywe jednak w gwarach śląskich: „Ja Onę oddaję duszę, ciało”, „Onę chcę miłować”, „Onej opowiadam” – tak jak w używanych do dziś w naszym regionie konstrukcjach „dej to onymu”, „dej to onej”, „onego se wzięła za męża”, „z onym poszła”, „z oną wzięli ślub”.

To śląskie deklinowanie polega na podtrzymaniu postaci tematu fleksyjnego we wszystkich przypadkach gramatycznych i we wszystkich rodzajach (męskim, żeńskim i nijakim): *on*, *onego*, *onymu*, *onym* – *ona*, *onej*, *onę*, *oną*

– *ono*, *onego*, *onymu*, *onym*, podczas gdy w języku ogólnym od dopełniacza pojawiają się postaci *jego*, *jemu*, (*z*) *nim*, *o* (*nim*) – *jej*, *ją*, (*z*) *nią*, (*o*) *niej* – *jego*, *jemu*, (*z*) *nim*, (*o*) *nim*. Te ostatnie wzięto na pewnym etapie dziejów polszczyzny z odmiany dawnego zaimka wskazującego *j* w rodzaju męskim (*z* półsamogłoską-*jerem* miękkim na końcu), *ja* (w rodzaju żeńskim), *je* (w rodzaju nijakim). Sam zaimek *j*, *ja*, *je* odszedł w językową przeszłość, zachował się natomiast jego ślad w odmianie *jego*, *jemu* – *jej*, gwary śląskie natomiast – powtórzymy – podtrzymują pierwotne deklinowanie z tym samym tematem fleksyjnym *on-* we wszystkich przypadkach i rodzajach gramatycznych.

Słyszysz się też w naszym regionie postaci *nij ma ji w doma*, *jeji pióro*, *jejich sómsiadka* – „nie ma jej w domu”, „jej pióro”, „ich sąsiadka”. W nich z kolei zachowało się prymarne deklinowanie owego archaicznego zaimka wskazującego *j*, *ja*, *je* – znaczeniowo tożsamego z formami *ten*, *ta*, *to* czy – bardzo już dziś rzadkimi – *ów*, *owa*, *owo*.

Wracając zaś do św. Anny, trudno nie powiedzieć, że najsłynniejszym miejscem jej kultu na Śląsku jest Góra Świętej Anny – znana powszechnie także dzięki walkom powstańczym. Jej nazwa została też przeniesiona na miejscowość *Górę Świętej Anny* – początkowo *Górę Chełm*, *Górę Chełmską* (por. tytuł poematu Norberta Bończyka z roku 1886: „Góra Chełmska”), następnie *Świętą Annę* i ostatecznie – po roku 1945 – *Górę Świętej Anny* (po niemiecku *Annaberg*, *Sanct Annaberg*).

W tamtejszym sanktuarium znajduje się piękna figurka Świętej Anny Samotrzeciej – najprawdopodobniej z II połowy XV stulecia. *Samotrzeciej*, bo centralnej postaci ujęcia – Świętej Annie – towarzyszą córka Anna i wnuk Jezus. Funkcjonował w dawnym języku polskim zaimek *samokilk* o znaczeniu „ktoś z kilkoma towarzyszącymi osobami”. Miał on swoje uściślające warianty: *samowtór* – „ktoś i osoba towarzysząca” (razem dwie osoby), *samotrzcę* – „ktoś i dwie osoby towarzyszące” (razem trzy osoby) – jak w ujęciu malarskim czy

rzeźbiarskim: Święta Anna z Marią i Jezusem, *samoczwór* – „ktoś i trzy osoby towarzyszące” (razem cztery osoby), *samopiąć* – „ktoś i cztery osoby towarzyszące” (razem pięć osób) itd.

Zawsze ilekroć ów szereg *samokilk*, *samowtór*, *samotrzcę* przywołuję, staje mi przed oczami babcia, która o jednej ze swoich wnuczek, a moich kuzynek, mówiła: „Z niej to taki *samojednik*” (bo jako małe dziecko najlepiej się czuła w pojedynkę). A i wspominam Tadeusza Różewicza, który o pewnym znajomym unikającym większego towarzystwa powiedział: „On jest taki *samoswój*”. Kiedy – zaskoczony – spytałem, skąd w jego języku ów archaiczny zaimek *samoswój*, odpowiedział mi, że tak się czasem jeszcze w jego rodzinnym domu w Radomsku mówiło.

Wracając zaś do *Anny*, trzeba też wskazać jej hebrajski rodowód – słowo *hannah* „pełna łaski, łaskawości, wdzięku” (por. *Johohanan* – „Jahwe (Bóg) jest łaskawy”, od niego *Jan*). Imię *Anna* zawsze należało w Polsce do najpopularniejszych. Poświadczone jest od XIII wieku jako *Anna* (1229) i *Hanna* (1311) – z tzw. „h protekcyjnym, przydechowym” oraz w licznych, znanych do dziś wariantach zdrobniałych, takich jak *Anka*, *Hanka*, *Ania*, *Hania*, *Anula*, *Hanula*, *Anulka*, *Hanulka*, *Anusia*, *Hanusia*, *Aneczka*, *Haneczka*, *Andzia*, *Handzia*. Na Śląsku słyszy się również warianty *Ana*, *Hana* – z jednym „n” (np. w popularnej piosence: „Ana, Ana, Ana, Ana, jo cie zół wi zół dostana, choćbys wlaźła i pod stół, jo cie chyca (znořda) zół wi zół!”).

Według tradycji chrześcijańskiej mężem św. Anny i ojcem Marii był św. Joachim, którego Kościół katolicki od roku 1969 wspomina razem ze św. Anną w dniu 26 lipca. Imię *Joachim* też się wywodzi z hebrajskiego – od postaci *Jehojachim* „Bóg wzmocni, podniesie”: *Jeho* – „Jahwe, Bóg” + *jaqim* „podnieść”. Było to imię na Śląsku dość popularne, a ja przechowuję jego postaci zdrobniałe, kojarzone z kolegami i ze znajomymi z dawnych lat, takie jak *Achim*, *Chimek* czy *Asio*, *Asiu* (Asiem był na przykład dla kolegów z drużyny Joachim Marx – słynny bombardier chorzowskiego Ruchu z lat 70. ubiegłego wieku). ■

Myśli

KONFUCJUSZ

sparafrazował Marian Kisiel

Trzy są drogi do wiedzy:

Droga rozmyślań
jest szlachetną drogą.

Droga naśladowań
jest najłżejsza z wszystkich.

Droga doświadczeń
jest najbardziej gorzka.

Jeżeli nienawidzisz,
wiedz, że cię zwiędziono.

Zanim się pomścisz,
wykop dwie mogiły.

Szczęściem jest, gdy cię rozumieją,
wielkim szczęściem, gdy cię kochają
prawdziwym szczęściem, kiedy kochasz ty.

W kraju, gdzie jest porządek,
bądź śmiały w czynach i mowie.

W kraju gdzie nie ma porządku,
bądź śmiały w czynach,
lecz powściągaj mowę.

Rady przyjmujemy kroplami,
rady wylewamy wiadrami.

Nie ten jest wielki,
kto nigdy nie upadł.

Ale ten wielki,
kto pada i wstaje.

for. M. Korisiewicz





Kiedy nadchodzi chłód,
staje się dla nas jasne,

że sosny i cyprysy
tracą ubranie ostatnie.

Można całe życie
przeklinać ciemność.

Można też zapalić
mały ogarek.

Kiedyś się uczono,
żeby się poprawić.

A dzisiaj się uczą,
by zadziwić innych.

Dawniej ludzie
nie lubili dużo mówić.

Wstydzi się,
że nie nadążają za słowami.

Nie martwię się,
gdy ludzie mnie nie rozumieją.

Zły jestem,
gdy ludzi nie rozumiem.

Konfucjusz (551–479 p.n.e.), Kong Zi lub Kong Fuzi. Wielki filozof, uczyony, polityk, twórca systemu filozoficzno-religijnego, zwanego konfucjanizmem. Urodził się z drugiego małżeństwa sześćdziesięcioletniego Shulianga He, podrzędnego urzędnika wojskowego i siedemnastoletniej nałożnicy Yan Zhengzai. Wychowany przez matkę, w dzieciństwie doznał dotkliwej biedy. Początkowo nosił imię Qiu, zwano go także Zhongni. Jego biografia jest pełna zagadek. Był założycielem szkoły dobrego wychowania, mądrości i moralnych reguł. Jego uczniowie zdobywali zaszczytne stanowiska w cesarskich Chinach. Podobno w połowie swojego życia spotkał Laozi, który w jakimś sensie wpłynął na jego system filozoficzny. Umarł jako skromny nauczyciel, lecz otoczony wielkim kultem swoich uczniów. Pochowany został w Qufu. Nie jest do końca pewne, czy myśli, które są przypisywane Konfucjuszowi, są jego autorstwa.

Prof. zw. dr hab. Józef Bańka

*7. lutego 1934 roku — †7. lipca 2019 roku

Wspomnienie o myślicielu i autorze

TADEUSZ SIERNY

Był niewątpliwie człowiekiem myśli, słowa i czynu. Skupiony na własnych ścieżkach i tropach zajmujących go idei, niechętnie zajmował się krytyczną analizą innych ofert intelektualnych. Co nie oznacza, że je ignorował lub ich nie znał. Czytał właściwie wszystko co dotyczyło myśli filozoficznej zarówno tej klasycznej jak i współczesnej. Ale inspirowały go te propozycje, które pojawiły się po 2000 roku. Sugerował przewartościowanie, by nie tracić czasu na czytanie tego, co opublikowali współcześni mu filozofowie przed końcem XX wieku.

Jego twórczość przenika — nie do końca spełnione — marzenie o zrozumieniu istoty, natury i sensu współczesnej nam *cywilizacji cyfrowej*. Jego zdaniem w dotychczasowej historii cywilizacji przeszła ona etapy: *cywilizacji diatymicznej* (jej wyznacznikiem był **strach**), *diafonicznej* (siłą napędową jest **zysk**) i *cywilizacji eutyfonicznej* (jej ludzkim wyznacznikiem jest **lęk** oraz **anty-nomia rozumu i godności**). We współczesnej nam *cywilizacji cyfrowej* dostrzega wiele poważnych defektów i schorzeń, a zwłaszcza różnorakich, nie dających się zaakceptować, szkodliwych oddziaływań na człowieka, o których pisali także tacy badacze, myśliciele społeczni i teoretycy kultury jak: E. Fromm, E. Bloch, H. Marcuse, H. Arendt, D. Riesman, A. Schaff, L. Kołakowski i inni. Odnotowuje więc krytycznie wszechwładne procesy alienacyjne i reifikacyjne, nagminne sytuacje zagubienia, osamotnienia oraz bezradności człowieka czasów współczesnych, stałe manipulowania nim, często ujawniające się utratą umiejętności rozumienia siebie, innych i całego

otaczającego świata, ograniczenie możliwości skutecznego sterowania techniką i opanowania narastających lawinowo informacji. Pozostawienie człowieka w egzystencjalnej pustce z poczuciem niedopełnienia, postępującą polaryzacją społeczeństw na sferę biedy i bogactwa, oziębłość w relacjach międzyludzkich i obyczajach, dominantę wartości utylitarnych nad autotelicznymi, materialnych nad duchowymi, komercjalizmu i konsumeryzmu nad bezinteresownością i zainteresowaniami dla wartości wyższych, stopniową degradację moralną i duchową człowieka. Szczególną reakcją krytyczną J. Bańki wywołują te czynniki, które alienują człowieka prostomyślnego od jego naturalnej i spontanicznej moralności prostomyślnej, tożsamości i godności, subiektywności i podmiotowości, osobistych wartości i szczęścia indywidualnego, nade wszystko zaś — od sensu i smaku życia; życia przepelnionego emocjami i nie odartego ze swego naturalnego wyposażenia.

Głębokie studia historyczne oraz analizy współczesnych zjawisk społecznych i kierunków rozwoju techniki prowadzą go do na wskroś humanistycznych, pozytywnych konstatacji o przewadze rozumu ludzkiego nad gloryfikowanym przez technokratów rozumem „cyfrowym”. Jego fundamentalna *Krytyka rozumu cyfrowego*, czyli owe swoiste wyznaczenie wiary katowickiego myśliciela (tak sobie życzył, by go nazywać) w możliwość realizacji prostomyślnego ideału człowieka *homo eutyphronicus*, człowieka — jak określił to prof. Jan Szymd — „odpornego na alienacyjny, frustracyjny wpływ dynamicznie rozwijającej się techniki, odwołują-

cego się do systemu normatywnego składającego się ze wskazań ciepłych, poszukującego zaspokojenia swych pragnień w możliwie prosty i bezpośredni sposób, opierającego się na wartościach odczuwanych jako oczywiste ze względu na towarzyszące im poręczenie moralne osób, które opierają swoje postępowanie na tych wartościach etyki, której dyrektywa naczelna brzmi: Szanuj w drugim te wartości, którymi jest on ożywiony i które przeżywa jako swoje wartości osobiste, mające dla niego największe, subiektywne znaczenie”. Stworzył system filozoficzny, ale z owej kompletnej ontologicznej, epistemologicznej i etycznej konstrukcji, pewnie wbrew pozorom to nie ontologia ale etyka i.. estetyka pozostaną jego trwałą wartością w historii filozofii.

Był miłośnikiem słowa, czytał, znał, z zamiłowaniem powracał do lektury poezji klasyków i współczesnych poetów, fascynował się Leśmianem, Przybosiem, Szekspirem. Tworzył utrudniające kontakt z jego tekstami nowatorskie kategorie słowne, wyrażenia, neologizmy zbudowane na podstawach wziętych z łaciny, greki, języków nowożytnych, wyrażenia zupełnie nieznanne w wypowiedziach innych filozofów, formułach właściwych tylko dla jego wykładu. Jego teksty są natychmiast rozpoznawalne po owej, typowej tylko dla niego stylistyce i leksyce, wymagającej od czytelnika wręcz nauczania się języka jego wykładu. Ta odmienność jest fascynująca, lecz pewnie dla niektórych czytelników i frustrująca lub irytująca. Ale jak sam Autor *Hodiogetyki* czy *Soliloquiów* mówił — to nie są teksty z zakresu literatury popularnej.

Był także człowiekiem realizującym się w konkretnej, konsekwentnej działalności organizacyjnej, administracyjnej, środowiskowej. Wydział Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego pamiętać będzie — swego Honorowego Profesora Uniwersytetu — jako dyrektora Instytutu Filozofii i wieloletniego dziekana, a środowiska PAN-u w Katowicach jako uczestnika licznych sporów naukowych i dyskusji.

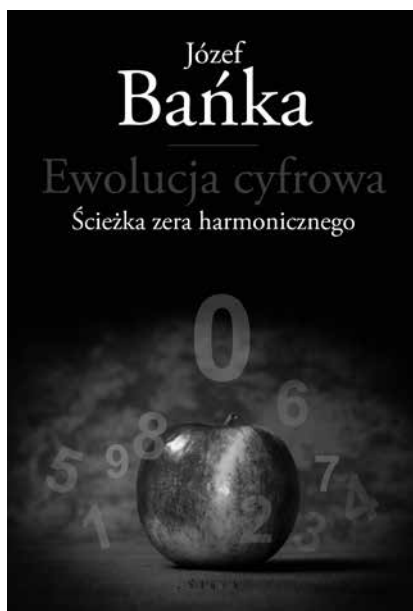
Był częstym gościem w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”. Popijając kawę lub herbatę dywagowaliśmy o rynku książki, o autorach, o sennie studiowania i o koniecznych do napisania oraz opublikowania książkach. Był surowym, chociaż wielkodusznym krytykiem naszych programów wydawniczych, miał do tego uprawnienia jako Przewodniczący Rady Nadzorczej Wydawnictwa. Pamiętać go będziemy jako wielkiego humanistę i przyjaciela wszystkich tych, *których nawiedza myśl niepokorna, refleksja przekorna i wiara w człowieka prostomyślnego*.

W tym roku ukaże się w naszym Wydawnictwie jego ostatnia książka pt.: *Ewolucja cyfrowa*. ■

Józef
Bańka
Ewolucja cyfrowa
Ścieżka zera harmonicznego



• S l a s k •





Profesor Józef Bańka

MARIAN KISIEL

Biografia uczonego zawsze tworzy historię jednostek naukowych. I chociaż – jak w drugiej *Elegii duinejskiej* Rainera Marii Rilkego – „domy jeszcze trwają”, a tylko „my mijamy obok wszystkiego jak fala powietrza”, „i sprzysięga się wszystko, by nas przemilczeć”, to przecież widać wyraźnie, że „jeszcze trwające” domy/instrukcje ziejają pustką bez owych biografii, nadających im koloryt, powagę i sens. „Co nie jest biografią – nie jest w ogóle”. Te słowa Stanisława Brzozowskiego z jego *Pamiętnika* trzeba przypominać wszystkim, którym zdaje się, że ich obecność w instytucji starczy na więcej niż na lakoniczny przypis.

Współczesne śląskie szkoły filozoficzne, idące od półwiecza myślą prof. Józefa Bańki lub wbrew niej, nie byłyby tym, czym są, gdyby nie jego twórcza obecność. Był kreatorem świetności Instytutu Filozofii Uniwersytetu Śląskiego i przez 23 lata jego dyrektorem. Profesorem nadzwyczajnym został w 1985, zwyczajnym w 1993 roku. Karierę organizacyjną zakończył jako dziekan Wydziału Nauk Społecznych, ale nie był – jak wielu innych – akademickim urzędnikiem kurczowo trzymającym się zarządzeń, okólników i nowelizacji owych zarządzeń i okólników.

Osobisty urok sąsiadował u niego ze stałą gotowością do intelektualnej

rozmowy, a ciekawość świata wiązała się z ciekawością drugiego człowieka. Rolę filozofa, czyli miłośnika mądrości, łączył z rolą mądrego interlokutora. Niewiedzy rozmówcy nie łączył z jego ignorancją, bo pierwsza jest polem do zapełnienia, a druga – odmową zapełnienia pola. Stale w twórczym uniesieniu, a jednocześnie w wielkiej przyjaźni i sprzęgu z rzeczywistością, która tak szybko biegła w jego życiu, jak nigdy wcześniej, był tytanem pracy – szybciej wydawał książki niż nadążaliśmy je czytać. Napisał ich ponad siedemdziesiąt, zredagował pięćdziesiąt.

„Nie ma Platona i Arystotelesa, nie ma Aureliusza Augustyna, Tomasza z Akwinu, Kartezjusza, Kanta, Hegla, Marksa, Husserla, Sartre’a – czy zatem grozi nam pustka w zakresie filozofii fundamentalnej? Otóż nie. Twórczy mózół zbudowania takiej filozofii dla końca wieku XX i dla wieku XXI, epoki dominacji techniki i cyfryzacji, podjął Profesor Józef Bańka”. Tymi słowami, pięć lat temu, prof. Dionizy Tanalski zaczął swoją recenzję *Krytyki rozumu cyfrowego* Józefa Bańki. Studium to – o charakterystycznym podtytułe: *Recentywnizm i wielka metamorfoza XXI wieku* – było konsekwencją wcześniej obranej drogi filozoficznej uczonego o niebywale barwnej osobowości i niezliczonych pomysłach, którymi zaledwie w części zdążył się podzielić.

Urodził się 27 lutego 1934 roku w Nieszkwie, wiosce w powiecie miechowskim. „Ojciec mój był obrotnym kupcem i przedsiębiorcą, toteż matka mogła się całkowicie oddać wychowaniu rodzeństwa. A było nas sześcioro” – wspominał Profesor. Wojnę spędził w pobliskich Działoszycach, po wojnie przeniósł się wraz z rodziną do Bytomia. Uczył się w szkołach jezuickich, najpierw w Nowym Sączu, a potem w Starej Wsi koło Krosna. „Jedną z pozostałości, obok dyscypliny i ćwiczenia pamięci (tzw. *exercitium memoriae*), po pobycie w szkołach jezuickich, było zamiłowanie do tekstów łacińskich i greckich” – mówił po latach w wywiadzie dla „pisma filozofów krajów słowiańskich” – „Sofia”/„Σοφία”.

W 1958 roku zaczął studiować filozofię teoretyczną na KUL, tam słuchał wykładów Mieczysława Krąpca, Stefana Świeżawskiego, Stanisława Kamińskiego, Józefa Pastuszki, Karola Wojtyły, Antoniego Stępnia, Mieczysława Gogacza. Pracę magisterską pt. *Metoda filozofowania Jean-Paul Sartre’a* obronił w 1962 roku na seminarium o Krąpca. Wtedy też znalazł się w Poznaniu, gdzie trzy lata później przedstawił doktorat w klasie prof. Stefana Karczmarska. Zajął się wówczas polską filozofią XIX wieku, stąd temat rozprawy: *Stanowisko społeczne i poglądy filozoficzne Michała Wiszniewskiego*. W 1969

roku złożył kolokwium habilitacyjne na podstawie dysertacji *Narodziny filozofii nauki o pracy w Polsce. Studium o ergonomii humanistycznej Wojciecha Jastrzębowskiego*. Miał wówczas 35 lat.

Szybko odszedł od filozofii polskiej na rzecz bardziej globalnych rozważań. Zaczął zastanawiać się nad filozofią techniki, a konkretniej nad oddziaływaniem techniki na osobowość człowieka. W 1971 roku wysunął ideę stworzenia „eutyfroniki”, czyli – jak definiował to pojęcie – „nauki o ochronie człowieka przed skutkami cywilizacji w sferze psychiki”, albo: „nauki zajmującej się zagadnieniami ochrony podstawowych wartości ludzkich w świecie cywilizacji technicznej”.

Dowodził: „Eutyfronika zmierza do zhumanizowania człowieka i utrzymuje, że człowiek powinien coś zrobić ze swoją cywilizacją. Główną cechą cywilizacji technicznej jest to, że staje się coraz bardziej skomplikowana. A tymczasem człowiek w swoich zewnętrznych czynnościach jest jej odwrótnością. Technika wymaga więc dostosowania do niekomplikujących się sytuacji w organizmie i psychice człowieka. Takiego właśnie człowieka, o którym mówi eutyfronika, nazywamy *homo eutyphronicus*. O takim człowieku niektórzy autorzy chcą powiedzieć: »koniec człowieka«, a o takiej filozofii, która go preferuje – »koniec filozofii«. Jeszcze raz okazuje się, że filozofia za każdym razem grzebie swoich grabarzy”.

Tej kwestii poświęcił dwie książki: *Współczesne problemy filozofii techniki. Studium z zakresu eutyfroniki* (1971) oraz *Technika a środowisko psychiczne człowieka. Wprowadzenie do zagadnień eutyfroniki* (1973), broszurę *Filozofia techniki a życie praktyczne. Z zagadnień eutyfroniki* (1974), a także kilka innych rozpraw publikowanych w latach 1976–1983, m.in. *Humanizacja techniki. Główne zagadnienia i kierunki eutyfroniki* (1976), *Przeciw szokowi przyszłości* (1977), *Filozofia techniki. Człowiek wobec odkrycia naukowego i technicznego* (1980). Do tych zagadnień powrócił też w trzecim tomie *Filozofii cywilizacji*, zatytułowanym *Cywilizacja eutyfroniczna, czyli świat jako rozum i godność* (1991).

W 1974 roku prof. Józef Bańka zakończył poznański etap swojej kariery naukowej i przeniósł się do Katowic. Od razu wszedł do wąskiego grona współtwórców nowego sposobu uprawiania „ogrodu nauk”, alternatywnego do – jak to określił prof. Ryszard Dyoniziak – „rygoryzmu ideologicznego marksizmu”: „nie wybrał tej drogi sekiarskiej i stworzył własny typ twórczości filozoficznej, wykorzystującej dorobek historii filozofii, socjologii i psychologii społecznej”. Przez kilka

następnych lat pisał głównie o filozofii techniki i – szerzej – filozofii cywilizacji, ale myślą wybiegał już w stronę recentywizmu i etyki prostolinijności.

Prof. Józef Bańka był filozofem dążącym do zbudowania własnego systemu, a choć głęboko odczytany w dziejach myśli od starożytności po współczesność, nie chciał przyjąć roli historyka filozofii. Tłumaczenie myśli innych wydało mu się marnotrawieniem siebie. Mówiąc o „o dobrym samopoczuciu współczesnego filozofa-historyka”, który kłopoty współczesnej filozofii tłumaczy odsłanianiem jej problematyczności, twierdził, że „samopoczucie to zwalnianie z filozofowania oraz z funkcji bycia myślicielem”.

Tak to tłumaczył: „Jest charakterystyczne, że wymyślono ideę »końca filozofii«, ale zauważono, iż rzekomy koniec filozofii nie oznacza »końca nauki«. Toteż filozofowie ludzą się postęпами nauki i kryją za ich parawanem, uprawiając tzw. filozofię naukową, tj. filozofię wypowiedzianą w języku nauki. Jednakże złudzenie postępu, które daje nauka, polega nie na jej osiągnięciach, lecz na przenoszeniu tych osiągnięć w przyszłość, co w prostej linii prowadzi do antynomii prognostycznej, polegającej na tym, że im więcej faktów przenosimy z naszej teraźniejszości w przyszłość, tym bardziej wypaczamy obraz przyszłości. Odwrótność tego mechanizmu stosują dzisiejsi filozofowie-historycy, którzy ulegają tzw. echolalii historycznej, zgodnie z którą każdy pogląd stworzony w przeszłości znajduje swoje echo w kształcie poglądu realnego, mającego miejsce w teraźniejszości. Tymczasem nie da się wytłumaczyć przyszłości przez teraźniejszość, ani teraźniejszości przez przeszłość: teraźniejszość interpretuje się przez samą siebie, dokonać zaś tego może przez wysiłek myśli systematycznej”.

Swoje rozważania o filozofii techniki zawarł na dwóch tysiącach stron trzynomowej *Filozofii cywilizacji* (1986–1991). Tak ją streszczał: „Materiał całej historii ludzkości uporządkowałem w niej za pomocą pojęć własnych: »identyfikacji kulturowej«, »mutacji kultury« oraz trzech typów cywilizacji: diatymicznej, diafronicznej i eutyfronicznej. Wszystkie niemal zagadnienia tej książki obracają się wokół jednego pytania: czy uda się wytłumaczyć różnorodność kultur i cywilizacji poprzez zastosowanie tylko jednego mechanizmu wyjaśniania – identyfikacji człowieka jednopojawieniowego [narodowego] z kulturą człowieka wielopojawieniowego [Europy]? Czy uda się w oparciu o tę właśnie zasadę – z grubszą choćby, lecz przejrzystością – usystematyzować olbrzymie bogactwo zagadnień, które stanowią rezultat mutacji

wielu typów kultury i cywilizacji? Pisząc to dzieło, dawałem wielokrotnie wyraz przekonaniu, że możliwa jest odpowiedź pozytywna”.

Odpowiedź ta możliwa jest na gruncie cywilizacji eutyfronicznej, będącej syntezą *thymos* (spontaniczności, uczuć) i *phronesis* (racjonalności, rozumu), ponieważ cywilizacja diatymiczna odwołuje się do instynktu i przymusu fizycznego, a diafroniczna zagroża wartościom duchowym. Filozof zauważył: „Cywilizacja europejska, która przeszła przez trzy etapy cywilizacji diatymicznej, diafronicznej i wkraça w okres cywilizacji eutyfronicznej, nadal – jak się zdaje – pozostaje w dużym stopniu cywilizacją diatymiczną, a więc cywilizacją strachu. Nadal rewolucja jest wyrazem strachu przed głodem, pokój jest strachem przed wojną, Bóg jest strachem przed nicością, a państwo jest wyrazem strachu władzy przed utratą władzy”.

Swoje rozważania snuł prof. Józef Bańka z pozycji recentywistycznych, tj. filozofii teraźniejszości (łac. *recens* – „teraźniejszy”). Autor *Traktatu o czasie* tak ją objaśniał: „Jeśli chodzi o przyjęcie tego a nie innego systemu, to dokonuje się to w polu reakcji emotywnej. Przynajmniej ja tak uważam. Dlatego najchętniej definiuję filozofię jako sposób odczuwania i konceptualizowania ludzkiego losu. Los odsyła do *eschatonu* i ma rejestrować wpływ obiektywnych sił zewnętrznych na życie człowieka, które toczy się w czasie i wraz z czasem. Słowu »los« przeciwstawia się tu inne słowo – »szczęście«, pytając zarazem, jakie usposobienie więcej szczęśliwości pozwoli człowiekowi wydobyć z życia: czy usposobienie kierujące jego myśl ku przyszłości, czy też to koncentrujące jego uwagę na teraźniejszości. To drugie usposobienie zdefiniowałem jako recentywizm, dający się zawrzeć w maksymie: życie człowieka jest ważne bezpośrednio teraz, a nie jako środek do osiągnięcia czegoś w przyszłości. To emocjonalne usposobienie daje się zobiektywizować i ująć w pogląd, iż nasz świat rodzi się za każdym razem na nowo (*a recentiori*) wraz z doświadczeniem, pomimo iż już raz w jakimś sensie (gramatycznym) istniał. Wszystko bowiem, co pojawia się w naszym życiu – każde doświadczenie, zdarzenie, dzieło lub odczucie – pojawia się zawsze po raz pierwszy. Nic nie jest powtarzalne, bo każda chwila jest inna. Nawet opis jakiegos zjawiska może być dokonany we wszystkich czasach gramatycznych, ale prawdziwie pozostanie tylko w czasie teraźniejszym. Czas realny niszczy czas gramatyczny. Podstawową kategorią recentywizmu jest zdarzenie (*eventus recens*), czyli to, co dzieje się tu i teraz. Zdarzenie jest jednak czło-

wiekowi dane tylko intuicyjnie, ponieważ w procesie poznania dostrzeżę on jedynie zjawiska, stanowiące już efekt zdarzeń. Zdarzenie posiada tylko terażniejszość, to istnienie pozbawione trwania, byt, który prawdziwie »jest«. Zjawisko odwrotnie – ma przeszłość i przyszłość, a nie ma terażniejszości; zjawisko »jest«, jeśli jest pochodną zdarzenia. Zdarzenia więc znikają, a zjawiska – czyli to, co spostrzegamy wokół siebie – są ich obrazem. Nie potrafimy jednak uchwycić zdarzeń inaczej jak intuicyjnie – poprzez zjawiska. Podobnie jak dźwięku nie można sformułować w kategoriach dźwięku, lecz jedynie poprzez zapis nut na pięciolini.

„Istnieje jedna najkrótsza definicja reentywizmu – czas – kryterium prawdy” – napisał filozof w drugim tomie *Ojciec nasz, któryś jest teraz* (2001). „W tym sensie – dowodził Adam A. Dura – reentywizm [...] przyjmuje za zasadę, że opis zjawiska jest możliwy gramatycznie w każdym czasie, ale prawdziwy jest jedynie w czasie terażniejszym. Nie mamy zatem możliwości identyfikacji i opisu zdarzeń przeszłych. Nie można też przewidywać zdarzeń przyszłych” (*Wprowadzenie do reentywizmu*, „Pholia Philosophica”, 2004, z. 22).

„Tak, jestem autorem reentywizmu, ale jego założeń nie podzielam.” – to ulubione powiedzenie Józefa Bańki przypomniał prof. Władimir A. Koniew z Uniwersytetu w Samarze. I tak je tłumaczył: „Co najmniej w jednym Profesor rzeczywiście nie podziela reentywizmu – jako prawdziwy zwolennik klasyki i oświecenia tworzy system filozoficzny, który zgodnie z tradycyjną logiką systemów filozoficznych, przedstawia swoją ontologię, epistemologię, etykę, estetykę, antropologię itd. Prawdziwy reentywista nie może tak postąpić, ponieważ żadna chwila obecna nie wynika z chwili poprzedzającej, a tylko dokonawszy się, buduje swe peryferia i znajduje swe źródło. Tego uczy systematycznie zbudowany reentywizm! I oto mamy – aby pojawiło się reentywistyczne postrzeganie świata, ten, kto je pierwszy wymyślił, sam nie może się nim posługiwać”.

W systemie filozoficznym prof. Józefa Bańki, określanym jako reentywizm, znajdziemy eutyfronikę, filozofię techniki i filozofię cywilizacji, antropologię, ontologię, epistemologię, metafizykę, estetykę, euroreentywizm i ekoreentywizm, etykę prostomyślności. Właśnie kategoria prostomyślności spaja wszystkie do obszary filozofii. „Naczelna dyrektywa etyki prostomyślności – twierdzi Adam A. Dura – brzmi: szanuj w drugim te wartości, którymi jest on ożywiony i które przynoszą mu największą satysfakcję. Nie są to wartości przypadkowe, lecz takie, które w obiektywnym prawie na-

turalnym określone zostały jako dobro”.

Redaktorzy książki ofiarowanej prof. Józefowi Bańce na siedemdziesięciolecie jego urodzin, Piotr Skudrzyk i Grzegorz Mitrowski, napisali: „Wypracowując system filozoficzny, Autor ma poczucie przeciwstawiania się »chorobie rozdrobnienia nauki«, dotyczącej środowisko »filozofii karzełkowej«, tworzonej przez »autorów prac filozoficznych (niesłusznie uchodzących za filozofów)«. Dominującej atmosferze prze»ciwstawia swe przekonanie, że »reentywizm jest przewrotem poglądowym, który zmusi naukę do ponownego przeanalizowania poglądów odrzuconych uprzednio w imię nauki. Widząc XXI wiek jako wiek systemów filozoficznych, Autor u jego początków dokonał podsumowania »stanu filozofii przed powstaniem reentywizmu i po jego sformułowaniu«. O tym, czy wiek XXI rzeczywiście stanie się wiekiem systemów filozoficznych z dominantą reentywizmu, przekonają się nasze prawniki”.

Zapewne, z bliskiej perspektywy – a tym bardziej filozofii terażniejszości – nie da się tego przewidzieć. Prof. Józef Bańka myślał jednakże o „filozofii nowego okresu” z pozycji reentywistycznych. Sformułował siedem postulatów, które powinny przyświecać takiej filozofii. Oto one:

„Postulat 1. Nowa filozofia powinna się cechować nową metodą, metodą *a recentiori*. Chodzi o to, że żadne poznanie nie wyprzedza w nas doświadczenia, lecz wraz z nim rozpoczyna się tak jakby świat naszych przedstawień rodził się po raz pierwszy (właśnie *a recentiori*), stając się światem pierwszego dnia, w którym nie występuje różnica między zdarzeniami terażniejszymi, przeszłymi i przyszłymi, wycinki czasu natomiast, sukcesywnie pojawiające się w doświadczeniu człowieka, muszą być traktowane jako współwystępujące w postaci refleksy zdarzeń.”

Postulat 2. W definicji prawdy trzeba uwzględnić duży udział czasu. Postulat ten prowadzi do neosemantyzacji klasycznej definicji prawdy w duchu reentywizmu, tj. poglądu, że opis jakiegos zdarzenia, choć jest możliwy we wszystkich czasach gramatycznych, to jednak prawdziwy jest tylko w czasie realnym – terażniejszym. Kluczowe znaczenie ma tu łacińskie słowo *adaequatio*, które w nowej definicji zamieniamy na słowo *adaequans*. Prawda zamiast być sądem zgodnym z rzeczywistością, zamienia się na sąd zrównujący się z aktualnym stanem rzeczy, istniejącym w aktualnym dla wypowiedzi świecie.

Postulat 3. Należy dążyć do przywrócenia idei oryginalności w sposobie filozofowania. Koncepcja *adaequans* nie akceptuje »stałej« prawdy,

którą można by wzbogacać, ponieważ proces wzbogacania będzie przebiegał w różnych czasach, w których tzw. »stała« prawda utraci swą identyczność. Jeśli na taki proces wzbogacania się zdecydujemy, to będziemy zwiększać już inną prawdę, a w konsekwencji nie będziemy jej zwiększać, lecz mieć całkiem nową prawdę.

Postulat 4. Należy bronić wielkie systemy filozoficzne przed nadinterpretacją. Hermeneutyka, która tłumaczenie dzieł znanych filozofów stawia sobie za cel sam w sobie, prowadzi do całkowitego zaciemnienia tekstów oryginalnych.

Postulat 5. Należy dążyć do ugruntowania nowej antropologii filozoficznej, która byłaby osnuta na tle zjawiska techniki wirtualnej, ale nie wywodziłaby się przede wszystkim z niego. Takim rodzajem antropologii filozoficznej byłaby eutyfronika, która zajmuje się oddziaływaniem techniki, zwłaszcza internetowej, na osobowość ludzką.

Postulat 6. Istnieje potrzeba powiązania estetyki z koncepcją czasu terażniejszego, czyli uprawiania teorii piękna w świetle ontologii *recens (ens et pulchrum convertuntur)*. Estetyka ta opierałaby się na inscenizacji epistemologicznej zdarzeń niezaistniałych. Gdyby bowiem w sztuce chodziło o kreowanie zjawisk dla zaistniałego zdarzenia, a więc o konkretny przypadek, to możliwości inscenizowania wokół niego różnych peryferiów byłby ograniczone.

Postulat 7. Epoka nasza stoi u progu nowej teorii kultury, opartej na identyfikacji częściowej z tradycją i projekcji całkiem nowej świadomości człowieka współczesnego. Nowe mutacje kultury rozpadną się na te zmutowane przez przeszłość, terażniejszość lub przyszłość. Epoka nasza wymaga kultury zmutowanej przez terażniejszość.”

Co z tego wynika? Prof. Józef Bańka tak to ujął, i niech to będzie podsumowanie jego krótkiego „portretu trumiennego”, wykonanego niezdarą ręką filologa, a nie filozofa. W oficie tu cytowanym wywiadzie do „Sofii” powiedział: „Na tle tych postulatów reentywizm wprowadza do filozofii człowieka dwa motywy – motyw życia i myślenia o życiu. Jedną jego tezą jest to, że życie moje jest terażniejszością i toczy się realnie tylko w terażniejszości. Drugą – że należy go zmieniać i zależy to ode mnie. A trzecią, że myślenie o życiu zależy zarówno od tradycji, którą jesteśmy obciążeni, jak i od prognoz, w których wybiegamy przed siebie. Z tym łączy się pewna koncepcja praktyczna: aby życie zmieniać, trzeba pozbyć się obciążenia tradycją i nie sugerować się wątpliwej wartości prognozami”.

Loże Bnei Brith i Concordia, hotel Welt, Pałac Goldsteinów, pierwsza i druga synagoga, młyn Fieldera i Glasera, mykwy, Talmud Tora, szkoła hebrajska i szkoła im Berka Joselewicza. Dom Henryka Sławiaka i noblistki Marii Goeppert-Mayerowej. Cmentarz przy Kozielskiej. Tak wygląda fragment istniejącej i niewidzialnej mapy Katowic (niewidzialnej topografii miasta, według określenia Włodzimierza Goldkorna).

Archiwa miejskie, a tym bardziej pamięć ludzka nie są zbiorami nieograniczonymi, prawo entropii jest nieublagane, nawet jeśli znajdują się ludzie i instytucje próbujący temu prawu stawić opór. Miasto, w którym żyjemy, jest w zasadzie wielkim żarłocznym palimpsestem, trzeba dokonać sporego wysiłku, żeby przeniknąć do niższych, głębszych warstw i móc je odczytać. Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy jest to ruch ku jakiemś dołowi – w tym regionie i miejscu byłby to ruch zupełnie naturalny – może wszystkie znaki, te którym mamy nas współczesność i te nadpisane znajdują się na jednym poziomie, są równoległe wobec siebie. Wystarczy zetrzeć gęsty kurz znajdujący się na witrynie, na której ktoś napisał REMONT, żeby wejść do innego wymiaru. W wersji graficznej można to, o czym piszę, przedstawić za pomocą slashu albo lustrzanego odbicia. I ktoś to zrobił. Tak właśnie wygląda logo, identyfikacja wizualna wydarzenia, w którym nie tak dawno uczestniczyliśmy.

„My/Wy Katowiccy Żydzi” wpisuje się w instytucjonalną, ale i oddolną inicjaty-



„Szwendanie miejskie” śladami katowickich Żydów

fot. Radosław Kazmierczak

SZEMA POLIN

RADOSŁAW KOBIERSKI

wę od lat już obecną w wielu miastach regionu i najbliższego naszego sąsiedztwa. O krakowskim Festiwalu Kultury Żydowskiej wiedzą chyba wszyscy. Tradycja polskiego sztetla jest generatorem spotkań wokół kultury żydowskiej i polskiej w Lelowie (Festiwal Ciulim/Czulent) i Szczekocinach.

O ile ten pierwszy musiał z pewnych ambicji zrezygnować (wciąż jednak zachowując wielokulturowy charakter), festiwal szczekociński i publikacje mu towarzyszące (m.in. krakowskiej Austerii) to poważne wydarzenia zogniskowane wokół mikrohistorii i historii ratowniczej. Obie inicja-

fot. Radosław Kazmierczak



tywy łączy osoba Mirosława Skrzypczyka. Nauczyciel, polonista, a zarazem historyk, pedagog i społecznik, lider dialogu polsko-żydowskiego w regionie, laureat Nagrody Ireny Sendlerowej. Jeśli jeden człowiek tyle może, to jaki efekt uzyskamy, jeśli zaangażujemy – jak to się stało w przypadku Katowic – władze miejskie, media i instytucje kultury? Tym bardziej, że odzew ze strony mieszkańców miasta przerósł wszelkie symulacje i oczekiwania.

Potencjał jest znaczny. Sto pięćdziesiąt osób – licząc ostrożnie – zebrało się przy siedzibie Gminy Żydowskiej na pierwszym spacerze, który poprowadził Paweł Graja. Przeszkadzało wszystko: upał, uporczywe reklamy Skarbk (który nadpisał Delikatesy Boryńskiego, a idąc w głąb czy wszcz – pierwszą karczmę żydowską w Kato) i głośne tramwaje. Niewiele mniej chętnych zapisało się na spacer niedzielny, nad którym pieczę sprawowała Zofia Kusztal, archiwistka a zarazem kuratorka wystawy „Synagogi Katowickie”. Liczba zgłoszeń stale rosła, więc z jednego przewidzianego w programie spaceru zrobiły się trzy. O ile Paweł Graja wybrał szlak bardziej spektakularny, czy może ikoniczny dla obecności Żydów w Katowicach, Zofia Kusztal zorganizowała trasę mniej oczekiwaną, ale bliższą „żydowskiego krwioobiegowi”, bliższą codzienności życia w przemysłowym i wielokulturowym mieście. Dowiedzieliśmy się, gdzie znajdowała się żydowska mleczarnia i przedszkole, pracownie gorsetów i sklepy koszerne, księgarnia i warsztaty rzemieślnicze. Kuratorka wykorzystała również historie i anegdoty z przedwojennej, lokalnej prasy oraz fakty z dokumentów urzędowych.

Dziesiątki zainteresowanych brały udział w rodzinnych warsztatach plastycznych (Hamsa) Julii Krzyśków i lekcjach hebrajskiego, które poprowadził Wojciech Ciuraj z Domu Pamięci Żydów Górnośląskich w Gliwicach. Pełną frekwencję zgromadziły dwa wydarzenia muzyczne. Występ Sylwka Szwedy w kompletnym, rodzinnym składzie odbył się w Strefie Centralnej i dość luźno, przynajmniej na początku nawiązywał do programu. Owszem, temat pojawiał się w opowieściach o synagodze, transkrypcjach z polskiego na hebrajski i odwrotnie, ale instrumentarium (gitara klasyczna, harmonijka, perkusjonalia) i repertuar raczej kojarzył się z bluesem i piosenką studencką niż tradycją klezmerów. Później okazało się, że standardy klezmerskie i pieśni żydowskie, takie jak Havana Nagila, Ajde Jano, Miasteczko Belz można grać bez przypisanych im tradycyjnie skrzypiec i klarnetów, ba – nawet bez tradycyjnego aranżu – i wychodzi to tylko z korzyścią dla tych utworów. Inny charakter miał występ Kwartetu Piotra Steczka i Uriela Hermana w Rialcie. Zostawiliśmy za sobą zaklęty krąg nostalgii, polsko-izraelska kooperacja muzyczna to już dzieło współczesne, w którym wybrzmie-



Wernisaż wystawy, *Katowickie Synagogi*

fol. Radosław Kaźmierczak



Koncert: Uriel Herman i kwartet smyczkowy Piotra Steczka

fol. Arkadiusz Ławrywianiec



„Tajemnicze Alef, czyli uczymy się hebrajskiego od podstaw” – warsztaty z podstaw języka hebrajskiego. Prowadzenie Wojciech Ciuraj (Dom Pamięci Żydów Górnośląskich)

fol. Arkadiusz Ławrywianiec

wała zarówno tradycja jazzowa (w jakimś wymiarze bliska stylowi Keitha Jarretta), jak i klasyczna. Uriel Herman zagrał

dwie własne kompozycje „Winter Light” i „The was a Time”, Kwartet Steczka – aż cztery, długą i wspólnie zaaranżowaną



„Od powojnia do dziś – o współczesnym życiu żydowskim na Górnym Śląsku”. Panel dyskusyjny z udziałem reprezentantek i reprezentantów górnośląskich środowisk żydowskich oraz instytucji zajmujących się dziedzictwem żydowskim na Górnym Śląsku

„Rapsodię”, oraz „Favele”, „W Zamyśle-niu” i „Hello, Hello”.

Bardzo ważnym elementem My/Wy był blok wizualny. W dwóch galeriach IKKMO zostały otwarte wystawy, zupełnie różne w charakterze i wymowie, oraz ilościowym i jakościowym wymiarze: Na ekspozycji „Katowickie synagogi” złożyło się przeszło dwadzieścia wielkoformatowych wydruków, które przedstawiły archiwalne dokumenty, piśmienne i fotograficzne, kluczowych dla topografii Katowic miejsc związanych ze społecznością żydowską, w znacznej mierze – dotyczących przestrzeni kultu, ale i również z budynków użyteczności publicznej zaprojektowanych przez rodzinę Grunfeldów. „Oczy niebieskie – życie królewskie, oczy czarne – życie marne” to z kolei tytuł dyptyku, który w Galerii Pojedynczej przestawiła Krystyna Piotrowska, wieloletnia kuratorka *Projektu Próżna*. Pracę Piotrowskiej przedstawiającą podwójny portret matki – w wersji semickiej i aryjskiej – cechuje skrajny minimalizm, ale to właśnie ta forma (i treść, którą komunikuje) oddziałuje najmocniej. Oto Derridiański szibbole – w micie biblijnym różnica w artykulacji głoski decydowała o życiu lub śmierci. W czasach nowożytnych stał się nią kolor oczu. Tą dyskretną nicią obie wystawy w IKKMO zostały ze sobą powiązane.

W Mieście Ogrodów odbyły się również trzy wykłady niezwykle ważne dla objasnienia wielokulturowej historii miasta, ale również opowiadające losy katowickich i szerzej – górnośląskich – Żydów w perspektywie mikrohistorycznej. Simo Muir zrelacjonował powikłane tropy, które naprowadziły go na temat książki „No more letters from Poland” i opowiedział o tragicznych losach jej bohaterów, wykorzystując do tego celu listy (i fotografie), które krążyły między Polską (Zagłębie, Koziegłowy, Zarki) a Finlandią. To historia, która rozgrywa się między miejscem

stracenia helsińska wiedziała, czym w istocie są „obozy pracy”), historia o Zagładzie i o ocalonych, którzy po wielu latach próbują się skonfrontować z traumą przeszłości. O zajętych mieszkaniach i ulicach. Spotkanie z Włodzimierzem Goldkornem, autorem „Dziecka w śniegu” poszerzyło kontekst żydowski na Śląsku o lata powojenne, a w szczególności o perspektywę marca 68. Niedzielne popołudnie otwarły dwa panele dyskusyjne, pierwszy z udziałem środowisk żydowskich oraz instytucji zajmujących się dziedzictwem żydowskim na Śląsku i drugi – bodajże najważniejszy – o roli/pozycji kobiet (Zuzanna Hertzberg i Gabi von Seltmann) w procesie historycznym (m.in. wobec Shoah) i tożsamościowym.

Co ważne – bo przecież to nie pierwsze wykłady czy konferencje na temat przeszłości miasta – dotarło do mnie wyraźnie, że bez opisanie i przedstawienie losów ro-

dzin żydowskich w Katowicach, ich wpływu na rozwój miasta (kulturowy, ekonomiczny i przemysłowy), każda próba opisu i syntezy będzie niepełna. Niepełna w rażący sposób. Jesteśmy zgodni co do tego, że kultura Galicji i Kongresówki w dużej mierze kształtowana była przez *shtetl* i ruch chasydzki, zgodni co do tego, że industrialną Łódź i wielkomiejski pejzaż Warszawy w dużej mierze tworzył zasymilowany, ale również konserwatywny żywioł żydowski. Ale nie nawykliśmy raczej do przypisywania jakiejś znaczącej roli Żydom zamieszkałym w Katowicach. Być może dlatego, że wymyka się ten obraz stereotypom i rdzennie polskiej nostalgii (w istocie wykoślawiającej rzeczywistą historię *shtetla*). Z pewnością z powodu przynależności katowickich Żydów do kultury języka niemieckiego (warto jednak zwrócić uwagę, że po powstaniach śląskich nastąpił ogromny przepływ ludności żydowskiej na tereny administracyjnie niemieckie i odwrotnie – z terenów byłej Kongresówki do polskich już Katowic) a po wojnie – przynależności do struktur komunistycznych.

Wydaje się, że po tym trzydniowym, spektakularnym wydarzeniu nie ma już odwrotu. Należy o tym dalej mówić. Nie tylko z powodu olbrzymiego zainteresowania tematem, ale również – z drugiej strony – w związku z antysemickimi wypowiedziami i hejtem, który rozlał się w sieci w związku z organizacją tego projektu (zamknięcie Gminy Żydowskiej dla odwiedzających ze względów bezpieczeństwa przez ABW to nie przypadek, ale pokłosie nieodpowiedzialnej polityki historycznej i politycznej polaryzacji). Może z czasem uda się przemeblować mentalność. Albo przynajmniej odnowić miejsca szczególne dla naszej kulturowej koegzystencji i pamięci. A już na pewno uchronić przed dewastacją (cmentarz na Kozielskiej). Biermy przykład nie tylko z Krakowa, ale również Tarnowa i Warszawy. ■



Koncert wieńczący „Szwendanie miejskie” z udziałem katowickiego barda Sylwestra Szwedę z zespołem



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Piękne miasto, a my coraz gorsi....”, czyli inne Katowice.

Dziś żyjemy w „dziwnych” czasach, ale przynajmniej, tak było zawsze. Bo zawsze terazniejszość krytykujemy — zwłaszcza starsi — a przeszłość często wręcz apoteozujemy. Terazniejszość niepokoi, drażni, zaskakuje. Wiele spraw jawi się nam jako niezrozumiałe i groźne. W efekcie, to co nowe, to nieomal jakieś demony. Teraz świat jest jeszcze bardziej niezrozumiały, wręcz groźny. To demon globalizacji. O tym mówi nam nauka i literatura, w tym choćby twórczość francuskiego pisarza i eseisty Michela Houellebecqa. Ale też niezbędna jest refleksja nad jutrem o czym pisze wielu współczesnych myślicieli, m.in. izraelski historyk Yuval Noah Harari. To są dylematy świata globalnego, ale to samo dotyczy też naszych najbliższych przestrzeni, regionu, miasta czy tego, co niezapomniany śląski pisarz Bolesław Lubosz określał jako „sercu najbliższą okolicę”. Co zatem — my mieszkańcy Katowic, Chorzowa, Bytomia, i w wielu innych przestrzeni górnośląskich — mówimy o swoich miastach, o ich problemach, o nas samych? O czym rozprawiamy, co nas intrzyguje, a co fascynuje, a może po prostu zwyczajnie drażni? A może po prostu milczymy zanurzeni jedynie w nurtach popkultury, w ploteczkach sensacjach, pochylając się nad internetowymi wypowiedziami nasycenymi zwyczajem jadem, nienawiścią, konfrontacją. A może zastanawiamy się nad wypowiedziami zadekretowanych autorów? A do tego dochodzi jeszcze bogata „literatura” fake newsów. Zatem coraz bardziej tęsknimy za spokojem, równowagą, optymizmem, nadzieją. Ale *Zło* tworzymy my sami, a nie owi

oni”. Często upajamy się tandetną i kłiwą literaturą.. Mój sąsiad, sędziwy były górnik z zachwytem patrzy na dzisiejsze coraz piękniejsze Katowice. Mówi o pięknych, „po naszymu piykných Katowicach”; zachwyca się okolicami Muzeum Śląskiego, budynkiem NOSPR-u, także „Gwiazdami”, Spodkiem; i wieloma innymi miejscami. Zarazem boleje, że są jednak „inksze Katowice” — czyli inne — które, niestety na co dzień tworzy wielu z nas. To współczesny świat międzyludzki relacji, świat przepojony niechęcią do innych, nawet członków rodziny; nienawiścią, wrogością. Świat w którym ludzie są sobie obcy, a nawet coraz częściej są wrogami.. Stary górnik rejestruje owe zjawiska, podaje różne przykłady. Ze smutkiem mówi: „*Jak to jest? Ludzie teraz źli. Nawet przy stole na święta się wadzom (...)* Boga wyciepli, naszo ślonsko tradycja tyż nic nie znaczy (...). *Brat siostrze na komórka przysyła zdjęcia pornograficzne, a syn do matki pisze: Bredzisz. Do tego wszyscy obgadują, co dawnij było nie do pomyslenia*”. Tacy są wszyscy, i ludność rodzima i przybysze, z każdej strony Polski choć z domu wynieśli wspaniałe tradycje. Boleje nad stanem własnej kultury. Dowodzi, iż dawniej w tradycji górnośląskiej obowiązywał określony konwenans, normy moralne, zakazy i nakazy na straży których, trwały sankcje kontroli społecznej. Tłumaczy, że dawniej ludzie byli religijni i bogobojni. Lecz zaraz dodaje, że dawniej panowała „*taka śląsko ewangelia porządnego życia*”, co w języku scjencyjnym można określić terminem systemu aksjo-normatywnego. To decydowało o „normalnych”, „dobrych” i „szczyrych” relacjach między-

ludzkich. W tym systemie był zawarty, przekazywany z pokolenia na pokolenie, akceptowany i przestrzegany wzorzec „dobrej, porządnej kobiety”, „robotnego i dobrego ojca”, „tego jak trza żyć w familoku, czy w robocie”. Mój rozmówca — a znamy się od ćwierćwiecza — mówi, że człowiek przez to „*wiedział skąd jest, jaki jest i gdzie idzie?*”. Niczym w przesłaniu alegorycznym zawartym w obrazie Paula Gauguina: „*Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?*”. Dziś zdaniem mojego rozmówcy tamtego „*dobrego*” świata już nie ma. A nowy piękny jeszcze się nie narodził. Są piękne Katowice i „*ludzie, co już dobrzy nie są*”. Z zachwytem mówi też minionym etosie „*dobrej roboty*”. W pełnym zakresie ten model dawnej górnośląskiej kultury plebejsko miejskiej prezentują prace historyczne, socjologiczne, etnologiczne. To wszystko rejestrował lokalny folklor słowny, co tak przekonująco opisywali w swoich pracach choćby Józef Ligęza i Dorota Simonides. Owe samorodne teksty ludowe są skarbnicą wiedzy o istocie minioniej kultury. A przede wszystkim o ludziach, o ich poglądach na świat, o potrzebie szacunku dla drugiego człowieka. O tym co dziś zwiemy empatią. To był czas rozmów i prawdziwego dialogu, kiedy człowiek nie tylko słyszał drugiego, ale go również słuchał. Tak było, ale tak nie jest. Odchodzą nosiciele dawnych tradycji, mój sąsiad zadaje pytanie: „*dlaczego?*”; i zaraz dodawał: „*Ludzie opamiętajcie się*”. No cóż Katowice nam pięknieją, ale jest też inny — mniej optymistyczny — obraz naszego miasta i społeczeństwa.

Dobieszowice – nasze pierwsze dziecko

DARIUSZ PIETRUCHA



Polski schron bojowy nr 52 w Dobieszowicach.

Grupa ludzi poznała się i podjęła wspólne decyzje. Mieli te same zainteresowania i cele. Bardzo chcieli, aby jeden z polskich schronów wchodzących w skład Obszaru Warownego Śląsk został wyremontowany i udostępniony do zwiedzania. Dzisiaj na taki pomysł nikt nie patrzy już dziwnie. W tamtych czasach postrzegano ich jak szaleńców. Tym bardziej, że nikt nie wiedział, czyje te schrony są...

Geneza

Niczego nie da się zrobić bez ludzi, bez ich zaangażowania i pasji. Tego chyba nie trzeba nikomu tłumaczyć. Ogromna w tym zasługa Waldka, założyciela i pierwszego prezesa Pro Fortalicium, który umiał takich ludzi zebrać wokół siebie. Wiodącą rolę w tej grupie odegrali dwaj bracia – Zbyszek i Adam, którzy wspierali Waldka w jego poczynaniach. Tak rozpoczęło się dzieło, które trwa do dnia dzisiejszego. Tak narodziło się Pro Fortalicium i idea reprezentowana przez stowarzyszenia, realizowana do chwili obecnej.

Wybrano schron nr 52, polski ciężki schron bojowy wchodzący w skład Grupy Bojowej „Wesoła”. Ta dziwna nazwa pochodzi od pobliskiej kolonii. W sumie to specyficzne miejsce. Po pierwsze, to już nie jest Śląsk. Sąsiednie Pie-

kary Śląskie położone na Górnym Śląsku oddziela od Dobieszowic rzeka Brynica, która przez wiele, wiele lat była rzeką graniczną pomiędzy państwem pruskim i zaborem rosyjskim. Historycznie rzecz biorąc schron bojowy w Dobieszowicach leży na terenie Zagłębia Dąbrowskiego, czyli historycznie w Małopolsce.

Właściwie nie wiadomo było, do kogo się zwrócić. Do władz wojskowych? Kiedyś owe obiekty były pod ich jurysdykcją (tak naprawdę nie wszystkie), ale wtedy, w drugiej połowie lat 90-tych, po przełomie dokonanym w 1989 r. straciły one swoich formalnych opiekunów. Mówiąc najprościej, wojsko ich nie chciało. Gminy też nie, bo „bunkry” stały się ich utrapieniem. Dobrze, że ich wtedy masowo nie wyburzono. No i tak sobie trwały, zarastając dziką roślinnością, zasypywane śmieciami, dewastowane i rozkradane

ze stalowych elementów wyposażenia. A nagle ktoś przychodzi i mówi, że chce jeden z nich wyremontować, udostępnić do zwiedzania. Za własne pieniądze. Do tego jeszcze twierdzi, że będzie to sporą atrakcją. Bunkry atrakcją? Szaleńcy.

Po latach to wszystko okazało się prawdą. Poza naszym szaleństwem...

Pierwsze prace

Najpierw prace ziemne. Nie było mnie wtedy w stowarzyszeniu, ale patrząc na archiwalne zdjęcia kolegów z tamtych dni musiała to być dla nich ogromna frajda. Każde zagłębienie się łyżki koparki w ziemi, każda wyszarpana bryła gleby i roślinności odsłaniała obiekt, który był niewidoczny od lat. Pojawiły się znów groźne strzelnice ckm-ów. Pod jedną z nich odsłoniła się płyta detonacyjna, częściowo jeszcze wyposażona w stalowe ogonki do rozpinania drutu kolczastego. To tak, jakby odkopywać pograżony w ziemi czołg – w całkiem dobrym stanie. Betonowy skarb ukazywał się kolejnymi fragmentami.

Później czyszczenie wnętrza obiektu. Było, jak wszędzie. Sterta śmieci (niektóre z nich do dzisiaj mnie zadziwiają – np. wciągnięta do wnętrza schronu popsuta lodówka), gruz, odpadki i wszechobecne wypatroszone osłony kabli, gdyż schrony stanowią doskonałe ukrycie dla złomiarzy, którzy z owych kabli wyciągają miedź. Niestety, czasami w tym celu dokonują opalenia kabli, co powoduje ogromne zanieczyszczenia ścian. Czasami zdarzy się również, że tak dla hecy ktoś podpali w „bunkrze” starą oponą. Wyobraźcie sobie, jak wyglądają później stropy i ściany.

Później przyszedł etap czyszczenia ścian obiektu i wewnętrznych, stalowych stropów. Dzisiaj robimy to za pomocą piaskowania – szybkiego i skutecznego sposobu na czyszczenie wiekowego betonu i stalowych stropów. Ale wtedy mało się o tym słyszało, a poza tym było to bardzo drogie. Więc w ruch poszły stalowe szczotki kierowane przez pełne pasji ręce. Czasami używano specjalnych nakładek do wiertarek. Udało się – wieloletni brud ustąpił. Ściany zewnętrzne można było zagruntować, podobnie, jak wnętrze obiektu. Stalowy strop wyglądał zupełnie inaczej. Później przyszedł etap malowania – chyba najprzyjemniejszy. Choć znam jeszcze bardziej przyjemny – wyposażanie obiektu. Sam wyremontowałem trzy, więc dobrze wiem, co mówię.

Moi koledzy wszystkiego uczyli się na tym schronie. Metod renowacji, rozpoznawania znaków na ścianach informujących, co gdzie było zamontowane, sposobów zabezpieczenia i malowania tego typu schronów. Wszystkiego, co później zastosowano na innych obiektach. Już podczas prowadzonych prac odwiedzali ich ludzie. Byli ciekawi, co tam się dzieje. Czasami oferowali

swoją pomoc. Nagle okazało się, że szaleńcy mieli rację. Ludzie naprawdę tym się interesowali.

Cel budowy

Grupa Bojowa „Wesoła” — sens jej istnienia — był nierozdzielnie związany z budową pobliskiego zalewu wodnego „Kozłowa Góra” i tamy zalewowej nr 3. Pierwotnie owa tama wraz z sąsiednim systemem polskich umocnień (Grupa Bojowa „Wymysłów”) miała być ostatnim punktem oporu na północnym krańcu Obszaru Warownego Śląsk. Jednakże w 1939 r. dobudowano kolejne obiekty — na północ od owej tamy, na terenie miejscowości Niezdara, Tąpkowice i kilku innych. Co więcej, w sezonie budowlanym w latach 1937–1938 dobudowano dwa kolejne obiekty — ciężki schron bojowy nr 53 oraz obiekt pozorno-bojowy. Na krótko przed wybuchem wojny pomiędzy Grupą Bojową „Wymysłów” a Grupą Bojową „Wesoła” wybudowano jeszcze schron wsparcia nr 53a.

Zadaniem Grupy Bojowej „Wymysłów” było zablokowanie drogi wiodącej groblą przez tamę zalewową i tym samym uniemożliwienie ewentualnego wyjścia przeciwnika na tyły polskiej pozycji obronnej. Załogę tych schronów stanowili żołnierze z kompanii fortecznej „Bobrowniki”. Należy pamiętać, że już w 1931 r. linię nadgranicznych umocnień obsadzono żołnierzami z 23 Dywizji Piechoty (dowódca gen. bryg. dr Józef Zajac). Dowódca tej dywizji przygotował plan budowy na tych terenach stałych fortyfikacji, który później został przyjęty przez polski Sztab Generalny. Gen. Zajaca w pewnym sensie można uznać za ojca Obszaru Warownego Śląsk.

Grupa Bojowa „Wesoła”, mająca za zadanie obronę zalewów na rzece Brynica, powstała dokładnie w rejonie kolonii Wesoła w Dobieszowicach. Składa-



Ta sama strzelnica w szerszej perspektywie

ła się z kilku obiektów wybudowanych na południe od zalewu „Kozłowa Góra”. Dokładnie były to cztery obiekty. Był to schron-strażnica wybudowany wraz z jazem wodnym „Józefka”, schron pozorny, schron pozorno-bojowy i ciężki schron bojowy nr 52. Prace budowlane rozpoczęto w 1936 r. od usypania grobli przez rozlewisko Brynicy, nad którą wybudowano most z jazem, przygotowane do wysadzenia (w filarach mostu znajdują się komory minowe). Wtedy też przy jazie wybudowano niewielki schron bojowy, którego uzbrojenie stanowił tylko jeden rkm. Jedną ze strzelnic tego obiektu flankowała ogniem jaz zalewowy, a druga przedpole terenów przygotowanych do ewentualnego zalania.

Rozbudowa Grupy Bojowej

W 1938 r. na szczycie pobliskiego wzniesienia, nieco górującego nad okolicą, wybudowano schron pozorny. Był to bardzo dziwny obiekt, prawdopodobnie pełniący funkcję punktu obserwacyjnego. Za drzwiami mieściła się jedynie ziemianka, a fałszywa kopuła pełniła rolę stanowiska obserwatora. Na linii przebiegu Obszaru Warownego Śląsk nie ma drugiego takiego obiektu. Niestety, od dawna już nie istnieje, gdyż w 1945 r. ten dziwny obiekt został wysadzony w powietrze. Dzisiaj świadkiem jego istnienia jest tylko betonowe gruzowisko. Wzniesiono również schron pozorno-bojowy.

Głównym obiektem Grupy Bojowej „Wesoła” był jednak ciężki schron bojowy nr 52, wybudowany w latach 1937–1938. Posiada on kopułę pancerną sygnowaną Z.O.1938.145.N1076. Niestety, podczas jego budowy popełniono sporo błędów, zarówno na etapie projektowania, jak i podczas betonowania. Dla przykładu — źle osadzono kopułę pancerną. Popełniono błąd przy projektowaniu wentylacji, gdyż nie uwzględniono rur

do wyrównywania ciśnienia między pomieszczeniami. Błędnie też zamontowano zrzutnię łusek z ckm-u. Część tych usterek doraźnie poprawiono już po oddaniu schronu do eksploatacji, czyli najprawdopodobniej w 1938 r.

Jego uzbrojenie miały stanowić 3 ckm-y. Jeden z nich umieszczony był w kopule pancernej, a dwa pozostałe w pionowych strzelnicach ściennych. Na wyposażeniu schronu były również 1–2 rkm-y, które mogły prowadzić ogień ze strzelnicy obrony wejścia oraz z wyjścia ewakuacyjnego. Całość obiektu osłonięto nasypami ziemnymi (zachowanymi do dzisiaj) wzmocnionymi płaszczem kamiennym. Podczas bardzo rzadkich wylewów rzeki Brynica, których w ciągu ostatnich kilkunastu lat byliśmy naoczniymi świadkami, widać było sens istnienia tego założenia obronnego. Schron nr 52 stał jak wyspa wśród wodnych zalewów, która wydawała się pozycją nie do zdobycia. Celem istnienia tam i jazów zalewowych było, aby w razie ewentualnej agresji przeciwnika spiętrzyć wodę i doprowadzić do jej wylania na okoliczne pola. To miało uniemożliwić przemieszczanie się piechoty i pojazdów.

Ludzki zapal godzien podziwu

Wydawało się, że na dobieszowickim schronie się skończy. Ludziom zabraknie sił do dalszej pracy. Nie tylko sił. Także chęci. Ale dołączyli się kolejni. Bunkrowa gorączka rozeszła się jak dżuma. Grupa ludzi z Piekar Śląskich i Dobieszowic zaczęła się rozrastać. Pro Fortalicium poszerzało swoje szeregi. Przybył schron nr 5 w Chorzowie i schron „Sowiniec” pod Wyrami. Po czasie opiekunowie schronu nr 52 przekształcili się w Koło Terenowe „Dobieszowice”, które zajęło się nie tylko wyremontowanym schronem, ale wzięło się za renowację kolejnych. Został wyremontowany schron przy jazie, później „Kwadra-



Kopuła pancerna uratowana z Niezdary



Adam, a w tle betonowe jeże przeciwpancerne

ciok” i schron pozorno-bojowy z Grupy Bojowej „Wymysłów”.

Następnie przyszła kolej na schrony polowe z 1939 r. tworzące Grupę Bojową „Kozłowa Góra”. Dwa kolejne wyremontowane wchodzą w skład fortyfikacji okalających „Wzgórze 310” w Bobrownikach. Do tego dochodzi schron znajdujący się w stanie stałej ruiny – ciężki tradytor z Grupy Bojowej „Wymysłów”, o którym pisałem w poprzednim artykule – rozslawiony próbami niemieckich spadochroniarzy w 1940 r. Gdzie te czasy, gdy wszystko sprowadzało się do jednego obiektu? Ci sami ludzie obecnie opiekują się 9 obiektami, a gdzieś w perspektywie jawi się przejęcie budynku dawnych koszar na „Wzgórzu 310”.

Chwała im za to...

Początki fortecznych imprez plenerowych

W 2004 r. w pobliżu schronu bojowego nr 52 w Dobieszowicach zorganizowano pierwszy piknik forteczny, któremu towarzyszyła inscenizacja walki o schron. W tym samym roku nasi koledzy zorganizowali podobną imprezę koło schronu „Sowiniec” w Wyrach. Te dwie imprezy dały początek podobnym inscenizacjom, których dzisiaj jest naprawdę wiele. Nie tylko przy obiektach, którymi opiekujemy się nasze stowarzyszenie. W różnych miejscach. „Bitwa Wyrska” stała się już imprezą kultową o 15-letniej już tradycji. Natomiast każdego roku przy schronie w Dobieszowicach odbywa się impreza historyczno-plenerowa, niekoniecznie w formie inscenizacji, ale głównie ekspozycji i pokazów rekonstruktorów historycznych, jak i pojazdów wojskowych. Przyjęło się, że owa impreza jest organizowana w „okolicy” 15 sierpnia, czyli Święta Wojska Polskiego. Pod takim również hasłem się odbywa.

Każdego roku – zazwyczaj w dniu 15 sierpnia – okolice schronu ożywają gwarem głosów, odgłosem silników, wystrzałami i i dźwiękiem wojskowej muzyki. Odbywa się piknik forteczny, który zawsze przyciąga wielu zainteresowanych. Przychodzą całe rodziny, aby zwiedzić schron (dla niektórych po raz kolejny), obejrzyć przygotowane ekspozycje, skorzystać z atrakcji i zapamiętać. Zapamiętać owo miejsce, ludzi z nim związanych, dźwięk i obraz, których niełatwo odnaleźć gdzie indziej. Zresztą, schron nr 52 to osobliwe miejsce. Niepowtarzalne. Jedyne. Ukochane, bo pierwsze. Stworzone przez szaleńców.

Dzień dzisiejszy

Pierwszym sprowadzonym w pobliże polskiego schronu bojowego nr 52 gościem był niemiecki schron betonowy zwany „Kochbunkrem”, który stanowił wsparcie budowanej w 1944 r. w pobliżu tamy zalewowej „Kozłowa Góra” niemieckiej pozycji obronnej „B-2 Stellung”. Niemcy do owej linii „wpleli” nawet niektóre przedwojenne polskie obiekty. Niemiecki betonowy „grzybek” miał zostać zniszczony, więc koledzy przywieźli go w okolice schronu nr 52. Od tego momentu wraz z wykopanej koło niego fragmentem tranzei strzeleckiej stanowi uzupełnienie samego schronu.

Nieco później z jednego ze znajdujących się na północy schronów wchodzących w skład Obszaru Warownego Śląsk koledzy przywieźli kopułę pancerną. Pamiętam okoliczności tego wy-

darzenia. Ludzie mieszkający nieopodal tego obiektu dali nam znać, że kopuła jest dziwnie przechylona, a wokół niej kręcą się obcy ludzie i najprawdopodobniej kombinują, jak ją wywieźć i dostarczyć na złomowisko. Nie było czasu. Kopuła mogła zniknąć. Przy pomocy ciężkiego sprzętu została podniesiona i przewieziona do Dobieszowic, gdzie stała obok schronu nr 52. Obecnie jest odpowiednio opisana, aby każdy zwiedzający wiedział, skąd pochodzi. Do tego wszystkiego doszły jeszcze polskie betonowe jeże przeciwpancerne przywiezione z częstochowskiego poligonu, a także fragment pobliskiego jazu wodnego.

Nie tak dawno na szczycie wzniesienia za schronem jeden z kolegów wybudował stanowisko ziemne. Co prawda mamy z tym nieco problemów, ale Grzesiu zrobił to własnymi siłami, zgodnie z przedwojenną instrukcją saperską, aby wszystkim zwiedzającym pokazać, jak takie stanowisko wyglądało. To fragment wzmocnionych drewnem tranzei strzeleckich oraz schron-ziemianka. Istnieje również plan przewiezienia w pobliże schronu innych, mniejszych, pomniejszych obiektów, które bardzo często są zagrożone zniszczeniem i dewastacją. Mowa o schronie typu „Einmannbunker”, których w okolicy jest naprawdę sporo. Podobnie zresztą, jak schronów typu „Kochbunker”. Będziemy się starali, aby tak właśnie było. W ten sposób schron nr 52 stał się rodzajem skansenu fortecznego prezentującego różnego typu fortyfikacje.

Obiekt udostępniony jest do zwiedzania. Poza tym, wszystkie obiekty Grup Bojowych „Wymysłów” i „Wesoła” zostały wysprzątane i odnowione przez Pro Fortalicium. Udostępniane są w ramach ścieżki dydaktycznej przygotowanej we współpracy z gminą Bobrowniki. Zwiedzanie schronu nr 52 jest możliwe w sezonie (od maja do września) prawie w każdą sobotę miesiąca od godz. 14:00 do 18:00. Ale nie jest to jedyna możliwość. Dla osób indywidualnych (pomiedzy kwietniem a wrześniem) możliwe jest osobne zwiedzanie po wcześniejszym umówieniu telefonicznym bądź mailowym. Dla wycieczek szkolnych i zorganizowanych istnieje możliwość otwarcia schronu przez cały rok po indywidualnym umówieniu. Najprostszy sposób – obserwować flagę (maszt flagowy) obok schronu. Jeśli na jego szczycie powieja flaga narodowa, schron jest otwarty. Warto przyjść, bo to przypomina wehikuł czasu. Przekraczacie stalowe drzwi i ponownie jesteście w 1939 roku. ■

Dariusz Pietrucha – historyk z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Śląskiego, wieloletni nauczyciel historii, od urodzenia związany ze Śląskiem, miłośnik i badacz historii regionu, autor wielu książek i artykułów, prezes Stowarzyszenia na Rzecz Zabytków Fortyfikacji „Pro Fortalicium”.



Schron nr 52 w Dobieszowicach



Polski schron bojowy nr 52 w Dobieszowicach, jedna ze strzelnic ckm.



Śląskie tajemnice cz. 18

Pałac w Rogowie Wołowskim

JULIA MONTEWSKA

Niespełna cztery kilometry od Wińska w Rogowie Wołowskim znajduje się zrujnowany już dziś majątek ziemski. Dwór, jaki w nim wybudowano pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku. Na przestrzeni lat nieznacznie go przebudowano, pierwszy raz miało to miejsce w II połowie XIX, a kolejny na początku XX wieku. Jest to budynek parterowy z częściowo użytkowym poddaszem, złożony na planie prostokąta. Główne wejście umieszczono w werandzie zwieńczonej balkonem. Dwór od północy zamyka dziedzińiec folwarczny, który otaczają częściowo zachowane zabudowania gospodarcze.

Dziś dawny blask przeminął, oczodoly wybitych okien zabito deskami, spośród lizajów odpadającego tynku wystają zmuszające cegły. Dachówki, które jeszcze na dachu trzyma chyba jakaś nadprzyrodzona siła przypominają pióra nastroszonego w mroźny zimowy poranek wróbla. Dworskie wnętrza nie wyglądają wcale lepiej, zaniedbane, odarte z wszystkiego, co przedstawiało sobą jakąś wartość powoli znikają. Wielkie, kilkumetrowe dziury w stropach świadczą o tym, że obiekt jest zalewany przez deszcze, a kawałki tynku, belek i trzciny, jaka znajdowała się na sufitach zalegają wymieszane z tym, co zostawili po sobie dawni lokatorzy. Wszędzie panuje nieład, któremu towarzyszy zapach zbutwiałego drewna.

Po drugiej wojnie światowej folwark wraz z dworem znalazł się pod zarządem Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Wińsku z przeznaczeniem na mieszkania pracownicze. U schyłku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku dworek remontowano, naprawiono między innymi przeciekający dach oraz wyremontowano wnętrza. Po upadku PGR obiekt opustoszał, prywatnego właściciela znalazł w 1995 jednak ten po zakupem obiektu tak naprawdę nic nie zrobił. Z dnia na dzień, z roku na rok dworek popadał w coraz to większą ruinę.

Ostatnim przedwojennym właścicielem majątku Albert Hoffmann, był to człowiek tajemniczy i zamknięty. Tak do końca nie wiadomo, czym się zajmował, rzekomo był konstruktorem wynalazcą. Przed wybuchem wojny pobudował pod Berlinem fabrykę produkującą podzespoły do samolotów. W Berlinie posiadał też dom, w którym spędzał większość czasu, dwór w Rogowie traktując jako wiejską rezydencję. Dodajmy - rezydencję na miarę tamtych czasów, która to urzędzona została z wielkim przepychem. Stylowe meble, kryształ, przepiękne perskie dywany czy choćby oranżeria z palmami podkreślały zamożność Alberta i Emmy Hoffmann. Dziś trudno uwierzyć w ten opis spoglądając na stan wnętrza, jednak tak opisywali je świadkowie tamtych dni.

Z całą pewnością nigdy się nie dowiemy, nad czym konkretnie i przy jakich projektach Albert pracował jednak produkcja w fabryce Hoffmanna musiała być ważna dla przemysłu zbrojeniowego, dlatego na początku lat 40-tych w obawie przed nalotami alianckimi przeniesiono ją i ukryto.

Historia ta, jak wiele innych zapewne nigdy nie ujrzałaby światła dziennego gdyby nie wspomnienia slu-

żącej Hoffmanna Weroniki Jakubowskiej, którą w ramach przymusowej pracy w Niemczech skierowano do majątku Emmy i Alberta Hoffmann w Rogowie Wołowskim (dawniej Froschroggen). Wynalazek Alberta Weronika opisuje: „Pan mi je pokazywał. To były takie małe okrągłe talerzyczki, koloru brązowego, a jak człowiek wziął w rękę, to były takie lekkie, że nie czuło się, czy mam coś na ręce, czy nie.” Pierwsze skojarzenie, jakie przyszło mi do głowy to scena z „Lalki” Bolesława Prusa, a może.. były to prace nad wunderwaffe i opisane przez prostą dziewczynę właśnie w ten sposób? Tej tajemnicy rozwiązać się nie uda, faktem jest, że odkrycie Alberta przyniosło mu bardzo dużo pieniędzy.

Na niewielkim wzgórzu za posiadłością dla ukochanej córki Marii zmarłej w młodym wieku Albert kazał wybudować mauzoleum. Nie było to jednak zwykle miejsce pochówku w formie rodzinnego grobowca. Do dużej niszy grobowej prowadziły schody, za podwójnymi dębowymi drzwiami pod ścianą umieszczona była trumna z ciałem córki. Wieko trumny wykonano z grubego matowego szkła, obok niewielka ławeczka, na której Albert w samotności przesiadywał długie godziny. W centralnym miejscu krypty, w suficie znajduje się prostokątny otwór, prawdopodobnie to nim opuszczono ciężki sarkofag, otwór krypty przykryty był grubą dębową klapą obitą blachą. Krypta posiadała też system wentylacji oraz odwodnienie. Natomiast naziemna część była okazałym pomnikiem z miedzianym dużym krzyżem w centralnej części, pod którym rosły białe lilie. Cały teren wokół był cmentarzem ewangelickim.

Gdy w styczniu 1945 było już wiadome, że Niemcy nie zdołają powstrzymać nadciągających wojsk Armii Czerwonej, Albert zmuszony został do podjęcia decyzji czy opuścić Rogów i udać się do Berlina czy w nim pozostać. Wybrał tę drugą możliwość, najwyraźniej nie potrafił opuścić miejsca, gdzie stało mauzoleum z



Mauzoleum Marii – córki Alberta Hoffmanna, stan obecny.

ciałem jego córki. Dalsze wydarzenia potoczyły się według schematu znanego z zachowań czerwonarmistów. Po wejściu do krypty rozbili szklane wieko trumny poszukując kosztowności. Kości córki porzucali po całym pomieszczeniu. Pozbierane zostały przez polskich robotników, powtórnie pochowane w prowizorycznej trumnie gdzieś z boku mauzoleum, w miejscu, którego już dziś nikt nie pamięta i nie potrafi wskazać.

Dziś mauzoleum jest puste; jedynie wiatr porusza zalegające w nim liście, po przeszkłonym sarkofagu Marii Hoffmann nie ma śladu, miedziany krzyż został skradziony - pozostały po nim tylko otwory w granitowym bloku. Zniknął też cmentarz ewangelicki a miejsce popadło w zapomnienie. Nie zmieniło się jednak jedno - białe lilie posadzone lata temu pod krzyżem mauzoleum kwitną jak co roku przypominając, że ta historia wydarzyła się naprawdę. ■

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

„Mam dziesięć nóg”

Figury nadmiaru i wielości pełnią niezwykle ważną funkcję w poezji Anny Świrszczyńskiej. Dzięki nim poetka jest w stanie wyrazić intensywne, często skrajne, emocje. Podstawowym przeżyciem opisywanym za ich pomocą jest stan szczęścia, czasem wręcz euforii. Co istotne, źródłem impulsywnego i nieokiełznanego uniesienia niejednokrotnie są drobne, prozaiczne elementy, składające się na życie codzienne.

Ekspansja nadmiaru często wyraża u poetki także kobiecą energię seksualną, obecną nie tylko podczas miłosnych zbliżeń. Z jej udziałem bohaterki wierszy odbierają wrażenia z otaczającego świata i przekazują swoje emocje. To ich najlepszy „nośnik” ze względu na jego organiczność, somatyczność. Przeżywane w ten sposób wzruszenia ogarniają zarówno umysł, jak i ciało, umożliwiając głębszą percepcję przyjmowanych bodźców.

Związek między ciałem a tekstem, a więc ujawnienie płciowości podmiotu mówiącego, jest typową cechą literatury kobiecej. Za pomocą nadmiaru Świrszczyńska próbuje oddać to, co jest – jak zauważyła Grażyna Borkowska – „intuicyjnie wyczuwalne, ale trudne do precyzyjnego uchwycenia”. Erotyka staje się więc sposobem zilustrowania kobiecej energii i temperamentu. „Kobiecość nie polega na dawaniu miłości, ani nawet na jej braniu, ale na odczuwaniu czystej (tj. bezprzedmiotowej) seksualności. Stąd bierze się poczucie nadmiaru: z pragnienia, które jeszcze (tęsknota) lub już (śmierć tęsknoty, która nazywa się spełnieniem), nie ma swego obiektu” – konstatuje Borkowska.

Nadatek kobiecej energii życiowej często zostaje opisany jako sfera, nad którą nie można zapanować – to ona „steruje” bohaterkami wierszy. W utworach determinowanych przez kobiecy witalizm Świrszczyńska chętnie stosuje metafory. Stanowią one rdzeń tekstów – umożliwiają językowi częściowe oddanie tego, co niewypowiadalne: „Drgam jak ciało w rozkoszy,/drgam jak skrzydło,/jestem wybuch,/przekraczam siebie,/jestem fontanna,/mam jej sprężystość./Nadmiar,/tysiąc nadmiarów,/siła,/śpiew tryskającej siły” (*Dytyramb kobiety szczęśliwej*).

Wybuch, siła, nadmiar – to słowa określające energię życiową kobiety, to nimi opisywany jest jej ogrom. Czasowniki wykorzystane w wierszu dodatkowo podkreślają dynamizm sytuacji oraz uwypuklają przepełniające, wręcz rozsadzające bohaterkę uczucia („drgam”, „przekraczam”). Przywołana w wierszu forma dytyrambu nie wydaje się bezzasadna, wszak był on niegdyś pieśnią pochwalną skierowaną do Dionizosa. Bóg sił natury, witalności i radości zdaje się uzasadniać wybór tego



fol. arch. red

„Moje ciało musuje” O poezji Anny Świrszczyńskiej

KONSTANCJA SŁOPCZYŃSKA

właśnie rodzaju literackiego. Bohaterka odczuwa zachwyty związane z biologicznym istnieniem i skorelowane z nim niepokoskromione szczęście i uniesienie.

Niewysłowiona radość często opisywana jest w wierszach Anny Świrszczyńskiej zaskakująco, wręcz absurdalnie. Dzieje się tak ze względu na brak możliwości wyrażenia gwałtownych emocji za pomocą „codziennego” języka. Czyście szczęście zobrazowane jest poprzez silne odczucia, dodatkowo zwielokrotnione lub wyolbrzymione. W *Czterech nogach bardzo grubych* można zauważyć duplikację i „przerost” kończyn, przez które przepływa „usomatyzowana” radość: „Jestem wesoła, jakbym była/bardzo gruba./Jakbym miała cztery nogi/bardzo grube”.

Wysoko skaczące i głośno szczekające „cztery nogi bardzo grube” stają się niekonwencjonalną parafrazą euforii istnienia. To zaskakujące porównanie podkreśla niezwykłość przedstawionych emocji. Przyczyna szczęścia nie jest w wierszu ujawniona, nie ma jednak – jak się wydaje – głębszego znaczenia – nieuzasadniona, nie-

umotywowana radość jawi się jako objaw szaleństwa czy wręcz amoku, który dodatkowo potęgują ekscentryczne refleksje bohaterki. Szczekanie i skakanie – czynności charakterystyczne dla zwierząt – ilustrują pierwotny charakter przedstawionych emocji, a uczynienie z nóg głównego ośrodka sensorycznego demonstruje, jak ważny dla poetki jest kontakt z naturą i światem: kończyny stanowią punkt przyływu i odpływu mocy czerpanej z ziemi. Surrealistyczny, absurdalny obraz zawarty w wierszu sugeruje swego rodzaju „portret psychologiczny” Anny „Świr”, jest kwintesencją jej poetyki i sposobu odbierania rzeczywistości.

Drugim obliczem nadmiaru, stojącym w opozycji do cielesności, jest bezkres przestrzeni, dla którego z kolei charakterystyczna jest „dematerializacja” ciała („nie mam skóry,/żeby mnie zamknęła,/żeby mnie oddzieliła/od tego, co jest wkoło”): „Jestem w środku/Szeroka, bardzo szeroka./Bo mnie nie ma,/bo jestem przestrzeń (*Chwila relaksu*).

Wolność nie tylko od problemów otaczającego świata, ale przede wszystkim

od „samej siebie” jest warunkiem osiągnięcia stanu równowagi oraz dojścia do największej prawdy. Kobieta stapia się z kosmiczną energią, staje się elementem większej całości; zanika jej indywidualność. Przedstawiony w wierszu obraz przypomina medytację, poprzez którą bohaterka wprowadza się w odmienne stany świadomości, przekraczające granice ludzkiego poznania i doświadczenia. Anna Węgrzyniakowa pisze: „Oto próba nazwania tego, co nie poddaje się definicjom pojęciowym, bo wymyka się kontroli *cogito*. To Świrszczyńska w najlepszym feministycznym wydaniu, szukająca języka dla treści niewyrażalnych, bo płynących od doznań psychosomatycznych, amplifikowanych stosowaniem różnych praktyk dyscyplinujących (jak joga) lub otwarciem się na kosmiczny solaryzm w jakiś inny, ruchowy sposób”.

Kobieta uwolniona z cielesnej powłoki zanurza się w bezkresie przestrzeni. Potrzeba wolności, która umożliwia kontakt z tym, co transcendentne, zobrazowana jest figurą boga Hermesa, a skrzydełka u nóg (stanowiące w innych wierszach kontakt z ziemią, naturą) podkreślają całkowite oderwanie bohaterki od tego, co prozaiczne, przyziemne.

Innym przykładem, w którym bohaterka wiersza doświadcza ponadzmysłowej, metafizycznej sytuacji jest *Pieśń pełni*. Otwarcie mówi, jakie jest źródło niecodziennych emocji, skąd wzięła się „sytuacja nieprzyzwoicie mistyczna”: „Z cierpienia wyszła radość, /cierpiałam, dlatego mam prawo istnieć tak mocno.” Osiągnięcie pełni możliwe jest tylko wtedy, gdy człowiekowi objawi się prawda, ta z kolei zarezerwowana jest dla ludzi doświadczonych przez życie, tych co widzą i rozumieją więcej. Świrszczyńska parafrazuje słowa Kartezjusza: cierpię, więc jestem. Ból sprawia, że bohaterka trafia na drogę prowadzącą – paradoksalnie – do osiągnięcia szczęścia i spokoju. Kobieta zapada się w niebyt: „To jest śmierć i nieśmiertelność, /to jest chyba nirwana. /Przepraszam za słowo, ale to naprawdę/ona.” Roztopienie, rozsnuć i rozpuszczenie w przestrzeni umożliwiają harmonijne współistnienie ze wszystkim, co istnieje. Świrszczyńska ma na myśli nie tyle porozumienie czy przymierze z naturą, co „bytność”, „trwanie” w każdym jej elemencie.

Co interesujące, *Pieśń pełni* została napisana w czasie transu. W opisywanym przez poetkę mistycznym doświadczeniu można zauważyć równorzędną obecność duszy i ciała. Jedno bez drugiego nie może istnieć, bowiem stan ekstazy objawia się poprzez jedność *psyche* i *somy*. Obfitość, zbytek, naddatek i przesyć oddają pełnię przeżyć bohaterki Anny Świrszczyńskiej. Zatapiają

się one w tym błogim nadmiarze, który stanowi jądro ich energii życiowej.

„Bieg po zdrowie”

Czynnikiem, wpływającym na kształt późnej poezji Świrszczyńskiej, jest obecność szeroko pojętej aktywności fizycznej, która nierozzerwalnie wiąże się z opisaną wcześniej figurą nadmiaru. Żywiłowość i energiczność bohaterki, znajdującej się w ciągłym ruchu, są o tyle zaskakujące, że pojawiają się w utworach pisanych przez zaawansowaną wiekiem Świrszczyńską. Wiersze z tomu *Jestem baba* poetka pisała mając 63 lata, ostatnie, z tomu *Cierpienie i radość* powstały, gdy ich autorka miała lat 76. Anna Węgrzyniakowa, zestawiając poezję Świrszczyńskiej z twórczością senilną innych poetów, zauważa: „W porównaniu z innymi wierszami leciwych poetów późna liryka Świrszczyńskiej zaskakuje młodością, adoracją ciała, zupełnym brakiem geriatrycznych akcentów. Wbrew powiedzeniu ‘starość nie radość’, siwa bohaterka tomu biega, tańczy, pęka od nadmiaru istnienia, kocha, śpiewa, tryska wigorem”.

Zgodnie ze słowami Węgrzyniakowej późna twórczość poetki nie jest więc budowana na kształt „trumiennego autoportretu”, ale stanowi pochwałę somatycznego istnienia, w którym przeżycia duchowe odbijają się w cielesności i odwrotnie – aktywność fizyczna wpływa na stan wewnętrzny bohaterki: „Kiedy biegnę, /śmieję się nogami. // Kiedy biegnę, /połykam świat nogami. // Kiedy biegnę, /mam dziesięć nóg. // Wszystkie moje nogi /krzyczą. // Istnieję tylko wtedy, /kiedy biegnę” (*Mam dziesięć nóg*).

Bieganie to jeden z podstawowych rodzajów aktywności, który wyraża uczucia i emocje bohaterki. Pozwala ono na intensywniejsze odczuwanie bodźców płynących ze świata, a także wpływa na ich ekspresję. Ruch jest uzależniający, ma właściwości „psychoaktywne”, które pobudzają układ nerwowy i wywołują stan euforii.

Właśnie te ekstatyczne stany stanowią cel, do którego dąży Świrszczyńska. Granica między fizycznością a duchowością zanika – jedność duszy i ciała sprawia, że bohaterka zyskuje „szósty zmysł”, który umożliwia pogłębiony odbiór doznań, niemal słowne podniesienie ich do potęgi. Integralność wymienionych elementów sprawia, że nie wiadomo, czy w wierszach następuje somatyzacja uczuć, czy raczej uduchowienie ciała.

Somatyczna filozofia bytu Świrszczyńskiej głosi przede wszystkim pochwałę intensywności istnienia: „Po co mówić, /kiedy można krzyczeć. /Po co iść, /kiedy można biec. /Po co żyć, /kiedy można płonąć.” Gwałtowność uczuć może być przyczyną spalenia, ale namacalne odczucie życia w każdym jego aspekcie

zdaje się warte ryzyka (a może nawet brawury). Agnieszka Stapkiewicz notuje: „Retoryczny pytańnik „po co” sugeruje, że życie warto przeżywać jedynie w jakiś krańcowy (ekstatyczny?) sposób. Takie przeżywanie szczęścia ewokuje jednak adekwatne odczuwanie rozpaczy. Jeśli bowiem „żyć” oznacza „płonąć”, to życie ociera się o śmierć”.

Ogień jest zarówno niszczącą siłą, jak i oznaką energii witalnej i potęgi. Bohaterka wiersza świadomie igra z niebezpieczeństwem, bowiem to, co może zyskać, jest warte największych poświęceń. Zamieszczając na końcu wiersza ironiczną puentę: „Gwałtowne uczucia/podobno dobrze działają na zdrowie”, Świrszczyńska sama ze sobą polemizuje. Ostatecznie jednak jej bohaterka decyduje się na przyjęcie życia takim, jakie jest i podjęcie ryzyka somatycznego, gwałtownego odczuwania wszystkich emocji, zarówno pozytywnych, budujących, jak i tych dezintegrujących.

Leciwa bohaterka – nazwana bezceremonialnie „siwą babą” – również bierze udział w aktywnościach fizycznych. To nie wiek stanowi granicę „dopuszczalności” do ruchu i ćwiczeń, ale chęć życia po swojemu. Kobieta (alter ego Świrszczyńskiej) ucieka od marazmu i apatii, a dzięki wysiłkowi fizycznemu zachowuje wigor i krzepkość oraz żywiołowy temperament: „Biegam po plaży. /Ludzie się dziwią. /- Siwa baba i biega. // Biegam po plaży /z beczelną miną. / Ludzie się śmieją. /- Siwa i beczelna. / Aprobują” (*Biegam po plaży*).

Poprzez aktywność fizyczną bohaterka Świrszczyńskiej wyraża protest przeciwko normom i wzorcom, które skazują starszych ludzi na izolację. Bronią przeciwko ich schematycznemu postrzeganiu są nonszalancja i beczelność, które mogą przeobrazić kobietę ze „starej wariatki” w budzącą aprobatę ekscentryczkę. Nonkonformizm bohaterki sprawia, że nacechowany pejoratywnie obraz obłąkanej staruszki zostaje zastąpiony pozytywnym wizerunkiem osoby niepokornej, oryginalnej, łamiącej konwenanse.

Sama poetka dbała o swoją kondycję, uprawiała sport (bieganie i jogę). Poza aktywnościami *stricto* ruchowymi, Świrszczyńska przywiązywała duże znaczenie do śpiewu – czynności tej niegdyś oddawali się jej rodzice, następnie ona przejęła po nich tę pasję. Poetka mówi: „Kiedy śpiewam, /jestem wodotrysk” (*Kiedy śpiewam*). W śpiewaniu również odnaleźć można figurę nadmiaru – trzy razy powtórzone w wierszu słowo „wodotrysk”, którego dynamizm dodatkowo podkreśla czasownik „wyskakuje” („z którego wyskakuje / drugi wodotrysk”) sprawia, że bohaterka zostaje przedstawiona jako wulkan, źródło energii. Jest to strumień, któ-

rego nie można zatamować, który porywa swym wartkim nurtem i zmusza do podporządkowania się chwili.

W aktywnościach fizycznych opisywanych przez Świrszczyńską szczególną rolę odgrywa także „krząctwo”, które – jak pisze Jolanta Brach-Czaina – „należy do naczelných kategorii ujmujących obecność w świecie. Jest sposobem bycia w codzienności. [...] Celem wysiłków krzątających jest właśnie walka o codzienne istnienie tworzone i odnawiane z każdą drobną czynnością”.

Świrszczyńska nie tylko zwraca uwagę na drobne, pozornie niewiele znaczące aspekty codziennej egzystencji, ale zatracca się w nich, odnajduje w nich istotny sens życia. Przykładem prozaicznych doznań, poprzez które bohaterka może odczuć pełnię istnienia, jest pograżanie się we śnie lub jedzenie truskawek: „Kiedy jem truskawki,/moja tragiczna koncepcja świata/unicestwia się w zachwycie./że jem truskawki”. Podobny zachwyt budzi grabienie siana, czynność, gloryfikowana przez poetkę: „Jeśli w raju są zajęcia fizyczne/to ja poproszę/o robotę przy sianie”; (*Grabie siano*). Krząctwo – pisze Brach-Czaina – „osadza codzienność w metafizycznym porządku rzeczy, w którym istnienie konfrontowane jest z nicością”. Ten szczególny stan „zaangażowania w codzienność” w twórczości Anny Świrszczyńskiej wywołać mogą także kopanie ziemniaków czy robienie prania.

Poetkę fascynują codzienne, rutynowe czynności, które stanowią fundament ludzkiego życia. Stara się ona odnaleźć pozytywne aspekty we wszystkim, co ją otacza, czerpać korzyści z sytuacji pozornie niemających wiele do zaoferowania. Aktywność fizyczna jest czynnikiem, który pozwala na intensywniejsze przeżywanie tej (nie) codziennej radości istnienia.

„Mówię do siebie: ty ścierwo”

Ciało w poezji Anny Świrszczyńskiej nie jest traktowane jedynie jako obiekt uwielbienia i fascynacji. Poza funkcją „wzmocnienia poznawczego”, która umożliwia intensywniejszy odbiór emocji, pełni ono także rolę więzienia „zabitego na głucho gwoździami”. Ciało, odpowiedzialne za uwolnienie energii życiowej bohaterki, pod pewnymi względami wspomnianą wolność ogranicza. Ten paradoks stanowi charakterystyczny komponent poezji Świrszczyńskiej, w której nieczęsto rzeczywistość jest czarno-biała. Poetka, nie chcąc upraszczać codzienności, dokładnie analizuje każdy jej element i wyciąga ze swoich rozważań niecodzienne wnioski.

Cielesność – zwłaszcza kobieca – stanowi pierwiastek, wobec którego trudno się jednoznacznie ustosunkować.



rys. M. Korusiewicz

Determinuje on życie bohaterek, stanowiąc fundament ich egzystencji, ale także wpływa na duchowość, która jest od niego zależna. Niedoskonałości ciała stają się zarazem słabymi punktami świadomości.

Renata Inbrant zauważyła: „Utożsamienie się ze swoim ciałem jest o tyle skomplikowane, że jest to ciało kobiece, czyli od początku należące do sfery obiektu, który jak wiemy nie ma stałego miejsca w porządku symbolicznym. Kobiecość jest niejasna i wieloznaczna. W odróżnieniu od męszczyzny, którego ciało jest znakiem człowieczeństwa, kobieta jest definiowana raczej przez swoją cielesność niż mimo swej cielesności”.

Kolosalny wpływ, jaki ciało wywiera na życie kobiety, sprawia, że bohaterka stara się je ujarzmić. Nie chce być zależna jedynie od instynktów i popędów, ale świadomie decyduje o swoim życiu, dostąpić tego, co pozazmysłowe.

O bezskutecznych próbach zapanowania nad cielesnością i związanej z tym frustracji Świrszczyńska pisze w wierszu *Genialne ciało jogi*. Ciało zo-

staje tu potraktowane jako zbędny balast. Jest „tępe”, pozbawione „wyższych aspiracji”, a jego bylejałość kontrastuje z ambicjami duszy, która stawia sobie cele i stara się je konsekwentnie realizować. Bohaterka podkreśla brak związku z cielesnością, mówiąc o nim pogardliwie w trzeciej osobie: „Znudziło mnie już moje ciało”. Nie jest ono częścią „ja” kobiety, ale własnością świadomości, która stara się je tresować na własny użytek: „Na próżno przez tyle lat/staram się je wytresować./głodzę, polewam lodowatą wodą,/bicząc pracowicie/ironią”.

Brak możliwości wpływu na ciało i jego sprzeciw wobec narzuconych mu zobowiązań skutkują procesem sądowym i wyrokiem skazującym. Z tej perspektywy wina ciała nie budzi wątpliwości, a jego czyny zostają uznane za szkodliwe i niebezpieczne. W wierszu *Zgrzebło z żelaza* szorowanie ciała zgrzebłem porównane jest do wielkich porządków, „remanentu” i „kapitalnego remontu”. Ciało, szorowane przedmiotem służącym do pielęgnacji zwierząt, niechętnie poddaje się aktowi oczysz-

czania, konieczna jest zatem obecność „wysoco wysokiego trybunału”, który wyciągnie konsekwencje wobec jego wykroczeń: „Sądzi mózg i oczy wyjęte z czaszki,/grzeszną nagość miednicy/i zębów bez dziąseł,/płuca nieczyste, leniwe golenie.”

Jednym z przewinień ciała może być niechęć do spełniania narzuconych kulturowo wzorców. Anna Filipowicz zauważa: „Oidium moralnego potępienia dotyczy [...] nie tylko sfer związanych z seksualnością, ale i dziedziny somatycznego wnętrza, które zostaje w całości objęte jego konsekwencjami. W całości podlega także bezwzględnej waloryzacji kultury (dotyczy to nawet zębów i płuc), która naznacza kobiecość stałym domniemaniem winy i wrzuca ją w dialektykę zbawienia czy potępienia („Wszystkie wyroki/skazujące”). [...] Sąd na „mózgu” czy „leniwych goleniach” stanowi tu czytelną aluzję do przewidzianego tradycją miejsca kobiety w patriarchalnym modelu świata i społecznych naukach Kościoła, potępiających jej intelektualną aktywność (mózg) czy niechęć do domowego krzątania (golenie). „Wysoco wysoki trybunał” przywodzi natomiast na myśl niepodważalność religijnych dogmatów i opresywność wyroków forowanych przez mizoginiczne autorytety [...]”.

Co interesujące, w sądownictwie do rąny trybunalski wyrok jest dopuszczalny jedynie w wypadku spraw naruszających bezpieczeństwo państwa. Zakłada on natychmiastowe wydanie i wykonanie wyroku bez możliwości odwołania się od niego. Powołanie się na wspomniany tryb postępowania sprawia, że cielesność jawi się w wierszu jako najwyższy stopień zagrożenia jednostki. Nie bez znaczenia jest także fakt, że zarówno rolę oskarżonej, jak i członkini wymiaru sprawiedliwości pełni jedna i ta sama osoba. Z emocjonalnego rozdarcia kobiety („wykonuje wyroki,/dygocę z przerażenia”) wynika wewnętrznie sprzeczna struktura utworu.

Jak zauważyła Anna Filipowicz, już same czynności wykonywane przez bohaterkę przypominają o tradycyjnym, konstytuowanym przez kulturę obrazie kobiety. „Wielkie pranie”, za pomocą którego kobieta stara się osiągnąć bezgraniczną czystość, pokazuje, że bohaterka sama poddaje się społecznym uwarunkowaniom. Fragment „Robię bilans/pocę się/krwawym potem” pokazuje jej wahania oraz próbę podjęcia decyzji i wybrania słusznej drogi. Doświadczenie somatyczności odnosi się więc nie tylko do kulturowo narzuconych schematów i ról społecznych, ale również do konfliktu wewnętrznego, z którym musi zmierzyć się bohaterka Świrszczyńskiej.

Niechęć do ciała poetka wyraża nieraz

bardzo dosadnie, porównując je do padliny czy ścierwa: „Mówię do swojego ciała:/- Ty ścierwo - mówię./Ty ścierwo zabite na głucho gwoździemi,/jak kłódka”. (*Mówię do siebie: Ty ścierwo*).

W cytowanym utworze ponownie pojawia się agresja wymierzona wobec cielesności –kobięcy podmiot zwraca się do niej tonem pełnym wrogości i pogardy. Ciało pozostaje jednak głuche i ślepe na zaczepki – w przeciwieństwie do wierszy nobilitujących cielesność, w których ruch podkreśla jej pierwszorzędne znaczenie, ciało jest przedmiotem, jest bierno. Tym, co może je uaktywnić, jest współpraca z duszą, a nie tresura czy przemoc. Być może „zatknięcie” wynika nie tylko z lęku, ale przede wszystkim z buntu ciała, które wie, że znajduje się na wygranej pozycji – ostatecznie każda najdrobniejsza czynność jest od niego zależna. Cielesność chce być zatem traktowana z należną jej rangą.

Świadomość zajadle protestuje przeciwko lenistwu i „tępocie” ciała, ono natomiast wybiera bunt – jedyny sposób, który zdoła uderzyć w duchowość bohaterki.

„Kto nas związał razem?”

Wzajemny stosunek duszy i ciała nie zakłada ani ich nierozdzielności, ani całkowitej rozdzielności i niezależności. Ostatecznie poetka nie podaje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o charakter więzi między duszą a ciałem. W poezji Anny Świrszczyńskiej rzadko bywają one całkowicie zgodne podczas swojej współpracy. Zdara się, że dusza zwraca się do ciała z wyższością, ono natomiast nie pozostaje dłużne, reagując na obrazę buntem i uporem. W wierszu *Mówię do swego ciała* zostało ono przedstawione jako zwierzę, które musi być „mądrze tresowane”. Mogłoby się wydawać, że w wierszu zobrazowany został prymat duszy nad ciałem, co sugeruje sformułowanie „możesz stać się dla mnie/bramą,/przez którą wyjdę z siebie,/i bramą,/przez którą wejdziesz w siebie”. Ciało pozornie zostało potraktowane jedynie jako przedmiot, który pomaga świadomości osiągnąć swoje cele. Jednak niezbędność tego, co fizyczne, pokazuje, że dusza bez ciała staje się bezradna i niewiele znacząca – *soma* pełni funkcję bramy otwierającej na to, co do tej pory było dla duszy niedostępne. Ponadto, świadomość nie jest „czysta wewnętrznie” – jej wiedza została zaczerpnięta z doświadczeń ciała.

W wierszu *Dusza i ciało na plaży*, jedynym „bezpośrednim” dialogu duszy i ciała w poezji Świrszczyńskiej, nie dochodzi jednak do „faktycznej” rozmowy. Cielesność i duchowość istnieją obok siebie, lecz są pochłonięte swo-

imi sprawami, ani jedno, ani drugie nie reaguje na odpowiedzi interlokutora: „Dusza na plaży/studiuje podręcznik filozofii./Dusza pyta ciało:/- Kto nas związał razem?/Ciało mówi:/- Trzeba opalić kolana.”

Ciało, zaabsorbowane przyziemnymi czynnościami, zdaje się oazą spokoju, szczęścia i bez troski. Na przeciwległym biegunie znajduje się świadomość, poruszająca ontologiczne zagadnienia i poszukująca na nie odpowiedzi. Sytuacja liryczna – odpowiedź na plaży – dodatkowo podkreśla absurd egzystencjalnych pytań duszy. *Soma*, przedstawiona jako byt o wąskich horyzontach, pozbawiona wyższych aspiracji, jest odpowiedzialna za działanie, które powoduje uczucie radości istnienia. Tłumi ona egzystencjalny lęk duszy, być może ocalając ją od przerażenia czy szaleństwa. Symptomatyczne są także odpowiedzi ciała, które skupia się na teraźniejszości, istnieniu „tu i teraz”, przez duszę omijającym jako nieistotne.

Ciało i dusza stanowią dwa kontrastowe żywioły, a różnorodność ich działań sprawia, że nawzajem się równoważą. Wspomniana równowaga jest celem, do którego fizyczność i cielesność powinny dążyć. Ich współpraca, bez elementów dominacji jednego czynnika nad drugim, zapewnia harmonię, tak ważną dla całości składającej się na „ja” podmiotu.

Dusza i ciało nieczęsto zachowują równowagę i harmonię; zazwyczaj w wierszach dominuje jedno z nich. Zdarzają się jednak utwory, w których stanowią one nierozdzielną całość. W wierszu *Wiatr* zobrazowana zostaje różnorodność doznań – od tych ekstatycznych do bolesnych i rozzdzierających. Mają one skrajny charakter: zarówno budujące, jak i destrukcyjne doświadczenia są przeżywane w sposób ekstremalny i sprawiają, że podmiot liryczny balansuje na granicy życia i śmierci: „Ogniu, pal się we mnie./Krzyku, krzycz we mnie./Ciszo, milcz we mnie./Wietrze z czterech rogów świata,/wiej przeze mnie.”

Nie sposób dokładnie określić, które z doznań intensywności istnienia odczuwane są poprzez ciało, a które przez duszę – granica między przeżyciem duchowym a fizycznym zostaje zatarta. Dwa, zazwyczaj nie pogodzone ze sobą, elementy spajają się jednością, dzięki czemu podmiot może doświadczyć oczyszczenia i spełnienia. Być może jest to stan, po którym osiągnięte upragnione wyzwolenie oraz objawiona zostanie mu prawda absolutna. Bez wątplenia jedność duszy i ciała prowadzi do doznań metafizycznych, które umożliwiają wnikięcie w świat przeżyć wewnętrznych oraz zgłębienie świata zewnętrznego.

Na początku wypada zwrócić uwagę na wymowną — dla mnie — zbieżność dat: Miguel de Cervantes umarł 22 kwietnia 1616 roku, a William Shakespeare 23 kwietnia tegoż samego roku! Trudno więc mówić, iż Szekspira uznajemy za pisarza barokowego (co najmniej zaś: prekursora baroku; miłośnika eufuizmu, czyli stylu bogatego i wymyślnego), a Cervantesa za późnorenesansowego; powstaje dylemat, znany w literaturze polskiej, związany z przypisywaniem Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego raz do Odrodzenia (np. Jerzy Ziomek w monografii *Renesansu*), a innym razem (Czesław Hernas w syntezie *Baroku*) do epoki następnej, słynnej z konceptów, wyrafinowanych metafor oraz dowcipnych gier słów. Należy oddać to, co barokowe w dziełach Hiszpana tej pięknej (a wieki niedocenianej!) erze, a to, co tradycyjne i tchnące myszką już wówczas (rok 1616), okresowi poprzedniemu.

W drugiej połowie XX wieku czytaliśmy, studiowaliśmy i podziwialiśmy (tu wpadam w styl narracji omawianej powieści!) tłumaczenie z hiszpańskiego — przedtem było kilka translacji zapośredniczonych przez język francuski — sporządzone przez małżonków Annę Ludwikę i Zygmunta Czernych: *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy* (Warszawa 1966, t. I i II; pierwsze wydanie: 1955, używam skrótu KE). W XXI stuleciu mamy nową próbę przybliżenia polskim czytelnikom hiszpańskiego arcydzieła: Wojciech Charchalis przełożył *El ingenioso hidalgo don Quijote de la Mancha* na poeżny — 648 stronice — tom pt. *Przemysłny szlachcic Don Kichot z Manczy* (Poznań 2014, dodruk 2017), zaś *Segunda parte del ingenioso caballero don Quijote de la Mancha* na jeszcze obszerniejszą — 654 stronice — książkę, noszącą tytuł *Przemysłny rycerz Don Kichot z Manczy. Część II* (Poznań 2016; używam skrótów: KT I oraz KT II). Nie wchodząc chwilowo w mniej istotne różnice obu translacji, mogę rzec, iż przekład małżonków Czernych charakteryzuje się bardzo szeroko przeprowadzoną archaizacją językową, a praca Charchalisa zrywa z tą stylizacją, wyzyskując słownictwo i frazeologię współczesną, a tylko w cytatach antycznych bądź średniowiecznych utworów (czyli w pastiszach i parodiach romansów rycerskich lub pasterskich) odwołuje się do wyrazów

Don Kichot dla dorosłych i dowcipnych

O tłumaczeniu Wojciecha Charchalisa

JERZY PASZEK

i idiomów znanych z dawniejszej tradycji literackiej.

U Czernych mogą pojawić się „pierwospasy” (KE II, 524; komputer podpowiada mi, że chodzi o frazę „pierw ospy”!), gdy Charchalis wyjaśnia, iż don Kichot „przespał pierwszy sen” (KT II, 594). W początkowych rozdziałach *Don Kichote* zaznajamiam się nas z frazami typu „wychędożyć zbroję” (KE I, 69; chodzi o jej wyczyszczenie), „niewiasty, z tych, które zowią przeskoczkami” (KE I, 72; Charchalis pisze o panienkach lekkich obyczajów), „burgrabia zamczyska” (KE I, 74; czyli dowódca twierdzy), „w tej chyży” (KE I, 74; tzn. w chacie), „Żerdziarnia Malagi” (KE I, 78; to z kolei drągi do suszenia ryb). O tym, by giermek mógł wyrazić się we wcześniejszej wersji: „Jasna cholera — powiedział Sanczo — jestem za, a nawet przeciw takiemu stylowi życia” (KT II, 590) nie ma oczywiście mowy! Jest tam łagodniej i nieco w stylu Sienkiewiczowskiej *Trylogii*: „Dalibóg — rzekł Sanczo — odpowiada mi, nawet okrutnie, taki sposób życia” (KE II, 521).

Charchalis, oprócz współczesnych — naszych — realiów w rodzaju: „ugotowany czy grillowany” (KT II, 407; nawet w ten sposób chciałby don Kichot ukazać się swej Cudenii!), „przygotować wydruk” (KT II, 557), „Spał Sanczo na dostawce” (KT II, 608), częstuje nas takimi delicjami, jak aluzja do słynnego zawołania duchownego z Torunia: „Ale Bóg jest wielki: alleluja i do przodu!” (KT I, 290) czy przywołanie skrzydlatych słów przywódcy Solidarności: „Taki jednak mój los i moje przekleństwo: nie chcem, ale muszem za nim łą-

zić” (KT II, 324; słowa Brzuchacza).

Wspominając o Szekspirze wincipie tego tekstu, miałem również się na myśli powikłania w interpretowaniu i wyjaśnianiu wyrazów wielkiego dramaturga. Gdy 400 lat od urodzenia Anglika wydawano u nas jego tragedie i komedie w sześciu tomach, wykorzystując XIX-wieczne przekłady, to redaktorka edycji, Anna Staniewska, zmuszona była przywracać opuszczane przez tłumaczy frazy, bo ci uznali, że są „zanadto pieprzne dla dzisiejszego smaku” (W. Szekspir: *Dzieła dramatyczne*, t. I, red. S. Helsztyński, R. Jabłkowska, A. Staniewska, Warszawa 1964, s. 141; zdanie Józefa Paszkowskiego). Tak samo jest z obscenami i wulgaryzmami Cervantesa. Porównajmy bardzo wymowny fragment oddania po polsku pomyłki don Kichota, gdy wers z starego romansu „mój pan, rodzony wuj” przekształca na „mój wuj i cielesny pan” (lub „pan mojego ciała”); Charchalis udatnie wybrnął z zastanej i dosadnej dwuznaczności, pisząc: „— Och, szlachetny markizie Mantui, drogi wuju mój, /Spuść się na mnie, gdyż miły mi każdy znój!” (KT I, 130 i przypis 39). U Czernych mamy tu opuszczenie drażliwego sformułowania: „O szlachetny markizie z Mantui, /Wuju mój i zwierchniku!” (KE I, 90). Boć słowo „zwierchnik” chyba trudno uznać za synonim „cielesnego pana”!

Innym przykładem sytuacji obscenicznej mogą być słowa Teresy Brzuchaczowej, skierowane do Sancza po jego pytaniu „dlaczego nie masz się zgodzić i nie chcieć tego, czego ja chcę?” (KT II, 90). „Wiesz dlaczego, mężu? Przez przysłówie,

które mówi: 'Kto cię pokrywa, ten cię odkrywa!'” (KT II, 91 i przypis 5: „Chodzi o pozwolenie nakrywania głowy w towarzystwie osoby stojącej wyżej w hierarchii społecznej”). U Czernych mamy zupełnie odmienną tematykę, gdyż tu Teresa Pansa mówi: „Kto cię odziewa, ten cię odziera” (KE II, 49). Frywolną bywa zakochana w don Kichocie dwórka Altisidora, przeprasza ją Rycerza Żalosego Oblicza za podejrzenie, iż ukradł jej podwiązki, a w rzeczywistości — jak mówi — „mam je na sobie, a popadłam w takie roztrzępianie, bo szukałam ich, dosiadając osła” (KT II, 510). U Czernych: „na Boga i na mą duszę, włożyłam je i popełniłam ten sam błąd jak ten, który jadąc na osle szuka go” (KE II, 442).

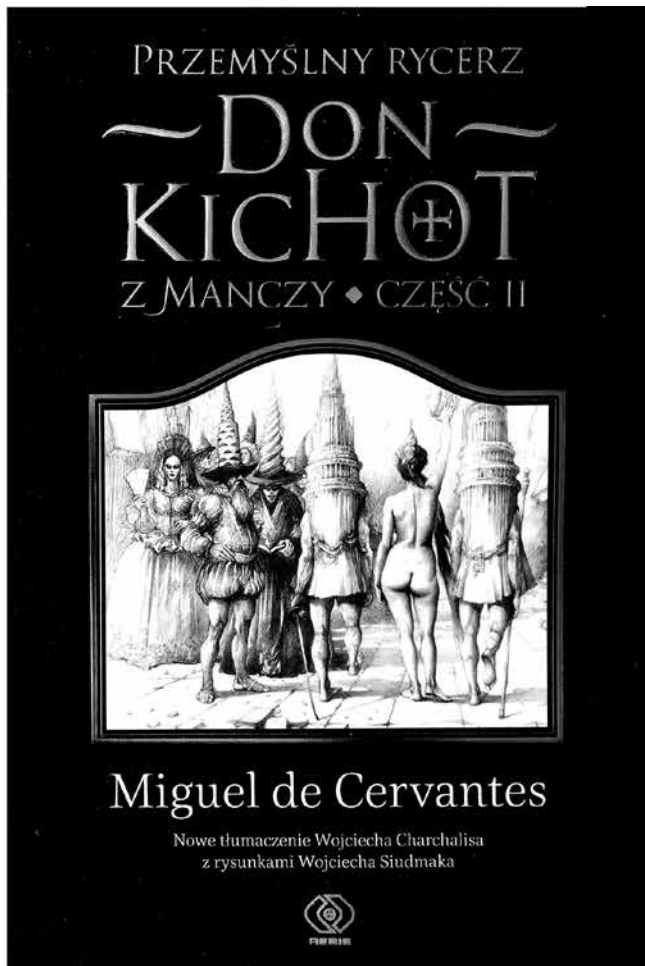
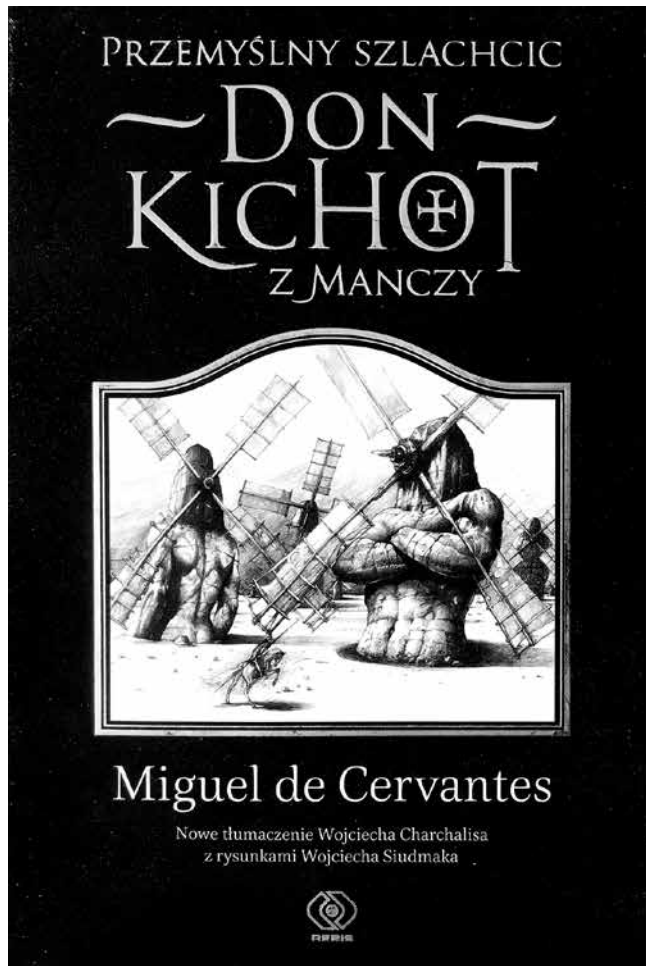
Jeszcze trudniej nie zauważyć przepaści pomiędzy tłumaczami w przybliżeniu dialogu Sancza z giermkim Rycerza z Lasu: „— Ożeż kurwa, draniu, jakież to jest zajebiste! — I co, widzicie, jak pochwaliliście to wino, kurwując na nie? — powiedział ten z Lasu, słysząc *kurwowanie* Sancza. — Mówię — odparł Sancho — że wyznaję, że wiem, że nie jest ujmą na honorze wykurwować kogoś, kiedy rozumie się, że chce się go wychwalać” (KT II, 153; podkr.

W.Ch.). U Czernych znów styl Sienkiewiczza: „— O taki synku, draniu, to ci wino katolickie! — A widzicie — rzekł Leśny, usłyszawszy owo 'taki synku' Sanczowe — jak pochwaliliście to wino, nazywając je 'takim synkiem'. — Prawda — rzekł Sancho. — Przyznaję teraz i stwierdzam, że nie jest zniewagą nazwać kogoś 'takim synem', kiedy na myśli ma się pochwałę” (KE II, 104).

W scenie spotkania don Kichota z trzema chłopkami, z których jedna ma być z czarowaną Cudenią z Toboso, Sancho widzi wieśniaczki jadące „na łaciowych *ograch*, że lepszych nie znajdziesz. — Chciałeś chyba powiedzieć *ogierach*, Sancho. — Mała różnica między *ogrami* i *ogierami*, ale bez względu na to, na czym jadą, są najbardziej wytwornymi paniami, jakie można sobie wyobrazić, szczególnie księżna Cudenia, moja pani, która oszałamia zmysły” (KT II, 125-126; podkr. W.Ch.). Sancho zapewne udaje, że nie zna słowa „ogier”, a przez przekorę pozostaje przy swoich *ograch*, czyli 'ludożerczych olbrzymach ze średniowiecznych podań ludowych' (zob. *Wielki słownik wyrazów obcych* PWN, red. M. Bańko, Warszawa 2003, s. 895). Zgodne byłoby to z barokową hiper-

bolizacją i dziwacznymi conceptami, jakie przychodzą giermkowi na myśl podczas przemieniania zwykłych niewiast w wielkie damy! U Czernych mamy mniej fajerwerków stylistycznych: Chłopki „jadą na trzech murzynkach srokowych, które zobaczyć warto. — Mierzynkach rzecz chciałś, Sancho. — Niewielka to różnica — odpowiedział Sancho — murzynki czy mierzynki, niech sobie jadą, na czym chcą, są to najwytworniejsze damy, jakie wyobrazić sobie można, a szczególnie księżniczka Dulcynea, pani moja, zmysły uwodzi” (KE II, 80-81). I pomyśleć, że kobietyjechały na osłach lub oślicach!

Sancho Brzuchacz (co lepiej brzmi niż nie dający — po polsku — skojarzeń kulinarnych Panso! Tak samo koń Chabetton jest nam bliższy od obcej, a obecnej we wcześniejszych tłumaczeniach, nomenklatury oryginału: Rosynant) posiada ulubione powiedzonko o wzbogaceniu się: „Teresa mówi, żebym porządnie się z panem umówił i niech przemówią umowy, a zamilkną brody, bo kto pasuje, ten nie tasuje, i lepszy pan Tomasz niż Ja-dam” (KT II, 101; zob. też: 343 i 623). U Czernych niby mamy to samo, ale nieco skromniej: „papier zostaje, słowa uleca; kto się



do czego bierze, niech sobie dobrze zastrzeże; więcej warte jedno masz niż dwa dasz” (KE II, 59). Charchalis przywołuje sentencję znaną erudytom z lektury cyklu *Na wysokiej poloninie*, gdzie w tomie trzecim szczodry gospodarz perswaduje swoim sąsiadom: „Pierwszy człowiek zwał się Adam, i z niego grzech pierwotny, nie dawał, tylko obiecywał — a dam, a dam, a co komu z obietnicy. Ja jestem człowiek nowy, oświecony, nazywam się Tomasz. To-masz, to-bierz, człowiek zaczyna się od darowania” (S. Vincenz: *Listy z nieba*, Sejny 2004, s. 98-99).

Gdy już jesteśmy wespół z koneserami delikatesów literackich, to pora na wskazanie pożytków, jakie czasami wypływają z dokładnej lektury klasyków i podziwiania ich erudycji: w scenie udawanego zainteresowania bohaterem ze strony dworskich tanecznic, które „tak szybko wyciągnęły don Kichota na parkiet, że zmłóciły mu nie tylko ciało, ale i ducha”, Rycerz Żałobnego Oblicza w końcu krzyczy: „— *Fugite, partes adversae!*”, czyli „Uciekajcie, siły nieczyste!” (KT II, 552-553; KE II, 484). Pozornie identyczna formuła egzorcyzmów pojawia się w *Wietrze od morza* Stefana Żeromskiego: „— *Fugite, patres adversae!*” (zob. S. Żeromski: *Wisła. Wiatr od morza. Międzymorze*, oprac. Z. Goliński, Warszawa 2012, s. 172 i 525), wywołując spór między Stanisławem Pigoniem a Zbigniewem Golińskim o brzmienie wyrazu „partes” contra „patres”: Cervantes staje murem za Pigiem i jego emendacją, polegającą na zamianie błędnego słowa „patres” na „partes”. Tak to bywa z anagramami, zwłaszcza wtedy, gdy obie wersje mają swój sens! Czyżby jeszcze jedna, wyczarowana przez czarnoksiężników i wszechmocnych egzorcystów, czarująca kwestia?

Tak mógłby brzmieć wygłos eseju, gdyby nie moja wścibska ciekawość: dlaczego tłumacz Wojciech Charchalis nie jest entuzjastą, ogłoszonych także po polsku, *Wykładów o Don Kichocie* autorstwa Władimira Nabokowa (przeł. J. Kozak, Warszawa 2015, s. 318; skrót: VN): „Choć spotrzeżenia Nabokova bywają interesujące, więcej z tego dzieła możemy się dowiedzieć o samym Nabokowie aniżeli o *Don Kichocie*” (KT I, 44). Po przeczytaniu tomu twórcy *Lolity* odnoszę wrażenie, iż badacz sztuki translatorskiej znajdzie tu wiele trafnych i inspirujących uwag o strukturze arcydzieła Cervantesa. Nie wiem, przykładowo, czy należy sprostować dane, pojawiające się w incipicie mojego tekstu, a dotyczące datowania śmierci genialne-

go Hiszpana i słynnego angielskiego dramaturga (wykorzystałem materiały tomów encyklopedycznych z pierwszej dekady XXI, a Nabokov opierał się na źródłach o pół wieku wcześniejszych): „Gwoli ścisłości, chociaż 23 kwietnia przyjmuje się za datę śmierci obu panów — a są to zarazem moje urodziny [i me też, J.P.] — to Cervantes i Shakespeare zmarli, według różnych kalendarzy, w odstępie dziesięciu dni” (VN, 34). Jeśli zaś miałem jakieś wątpliwości, dotyczące poziomu rymowania Charchalisa w tłumaczeniu cytowanych w powieści liryków, to po zdaniach Nabokova, lekceważących drobek poetycki Hiszpana, nie zgłaszam propozycji zastąpienia tych niezdarnych sonetów i elegii bardziej poprawnymi (lepsze i wyraźniejsze rymy, ale i brak dosłownych spolszczeń poszczególnych wersów) przekładami Anny Ludwici Czernej.

Nabokov interesująco omawia sprytny manewr maskujące Cervantesa, dotyczące szyfrowania antyreligijnych aluzji w narracji powieściowej. Głównie chodzi o wyzyskanie techniki znalezionej rękopisu oraz dopuszczenie do głosu niewiernego historyka, Maura, który — co oczywiste — musi łąkać jak pies! Jako przykład pomysłowości autora, świadomego ewentualnych reakcji Świętej Inkwizycji, przytoczę dwa fundamentalne zdania z opisu starcia don Kichota z olbrzymami: „pognał Chabettona galopem i natarł na pierwszy z brzegu wiatrak. A gdy uderzył kopią w skrzydło, wiatr obrócił go z taką siłą, że kopia połamała się w drzazgi, i **możnie wywyższył i konia, i rycerza**” (KT I, 153, podkr. J.P.). W *Biblii* (Ex. XV, 21) stoi wszak: „albowiem możnie wywyższon jest; konia i jeźdźnego jego wrzucił do morza”. Tę filiację wytopił i wciągnął do tekstu Charchalis, choć małżeństwo Czernych nie widzi tu aluzji. U nich oba zdania wyglądają tak: „puścił pełnym galopem Rosynanta i uderzył na pierwszy z brzegu wiatrak. Cios wymierzył w skrzydło, tymczasem wiatr obrócił je tak gwałtownie, że kopię złamało w kałki, zaś konia i rycerza porwało i odrzuciło mocno poturbowanych precz na pole” (KE I, 108).

Wydaje mi się, iż edycja z 2014 i 2016 roku (jubileuszowa!) polemizuje z tezą Nabokova o nieprzetłumaczalności warstwy fonostylistycznej oryginału: „Gry słów: aliteracje, kalambury, zniekształcenia wyrazów. To wszystko również [tak jak „worek starych dowcipów i porzekadeł” Brzuchacza] gubi się w tłumaczeniu” (VN, 64). Otóż dlatego nowy przekład wprowadza „wąfiszmy” i alu-

zje do filmów z Bondem („zależy, jak leży, i nigdy nie mów nigdy”; KT II, 498), by czytelnik współczesny nie musiał świecić zębami, gdy oryginał ukazuje mu „breughlowską stronę dzieła”, tak smakowitą, „jak zimna baranina” (VN, 64). Stąd różnorodne zabawy słów i incipity rozdziałów typu: „Zsiedli z **koni konni** i wraz z pieszymi, natychmiast chwytając Sanca i don Kichota, poprowadzili ich na dziedzińiec” (KT II, 602; wszelkie podkr. odtąd — J.P.); „Zostawiliśmy wielkiego **gubernatora** oburzonego [...] wszystkim się im postawił, chociaż **głupi, gburowaty i gruby**” (KT II, 439). Z początku tomu drugiego wypada wskazać aliteracje, chiazmy, paralelizmy głoskowe w rodzaju: „zapropozowano mi i **umożliwiono niemożliwe**” (KT, 44), „nie powinno się dodawać **strapię strapienemu**” (ib.), „wydrukować książkę, dzięki której zdobędzie się tyle **sławy** co **pieniędzy** i tyle **pieniędzy** co **sławy**” (KT, 45), „ukradł [...] **mulicę złościcę**” (KT, 55), „chcę zostać z wątpliwością, która mnie **zżera i uwiera** mnie” (KT, 61), „opisać wszystkich **błędnych** rycerzy **blądzących** po historiach świata” (KT, 62), „O **Rolandzie** albo Rotolandzie czy **Orlandzie**” (KT 63, anagram), „dla **wdzięku, uroku i szyku**” (ib.), „do **rządzenia i zarządzania**” (KT, 65), „**obżartuchu, żartoku**” (ib.), „razem **wyszliśmy**, razem **poszliśmy** i razem **pielgrzymowaliśmy**” (KT, 66), „znać **dialektykę** [...] — **Lektyka** by mi się przydała — powiedział Sancho — ale już **dia** zupełnie mnie nie ziębi ani grzeje” (KT, 75), „niech każdy położy rękę na sercu i nie ocenia **srebra czernią** ani **czerni srebrem**” (KT, 81; możliwa aluzja Charchalisa do nazwiska konkurentów, którzy tu dają banalny ekwiwalent: „Niech każdy na własnym sercu rękę położy i odważy się uznać **białe** za **czarne** lub **czarne** za **białe**”; KE II, 40).

Jeśli w *Don Kichocie* przedstawił świat, wyzyskując „humor brutalny i ponury” (VN, 173), to ilustracje Wojciecha Siudmaka — nazywanego „Michałem Aniołem science fiction” (Michel Nuridsany) — sprzyjają takiej wizji, a winieta z obwoloty tomu drugiego, z nagą damą niosącą palącą się księgę, łączy motyw zagłady księgozbioru don Kichota z szatańskim obrazem grania w tenisa (tak to określa Nabokov: VN, 304) nie piłeczkami, lecz książkami: pozornie zmarła Altisidora u wrót piekła widzi z tuzin diabłów, których ręce „trzymały **ogniste** rakiety” (KT II, 611-612); u Czernych czarty grały w pelotę i „w rękach trzyma [ły] łopatki **ogniste**” (KE II, 539). ■

Szkoła doktorska

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL



Uczyć można nowoczesnie i tradycyjnie. Nie zawsze jednak to, co twórcze sięga po „nowe” i odrzuca „stare”. Dydaktyka jest sztuką wyborów i odrzuceń. Owo zapętlenie widać w pracach dydaktycznych, które muszą mierzyć się z trzema co najmniej rodzajami zależności. O specyfice pojedynczych analiz, diagnoz czy prognoz decyduje najpierw szkoła badawcza, która niekoniecznie jest wyartykułowana *expressis verbis*. Ta szkoła istnieje przez pierwszych mistrzów. Istnieje dalej – w następstwie – przez mistrzów autentycznych, którzy uczą, że największym sprzeniewierzeniem wobec zawodu nauczycielskiego jest obojętność (w stosunku do podmiotu poznawczego i przedmiotu dydaktycznego). Istnieje wreszcie w sferze własnych aspiracji, które winny stać się podstawą nowej oferty dydaktycznej.

Omawiany tutaj zbiór prac jest przykładem różnorodności metod i poznawczych uzdolnień doktorantów. Tytuł książki: *Dydaktyczna szkoła doktorska* – znakomity przez semantyczną podwójność desygnatu – odsyła do projektu kształcenia doktorantów i zapisanej w tzw. ustawie 2.0 instytucjonalnej „szkoły doktorskiej”. Maria Kwiatkowska-Ratajczak napisała w słowie wstępnym: „projekt kształcenia młodych badaczy oparty został na przekonaniu, że nie ma zawsze sprawdzających się i jedynie słusznych rozwiązań, a istotą kształcenia metodycznego nie jest przekazywanie bardziej lub mniej rzetelnych instrukcji »jak uczyć innych«, ale raczej skłanianie do refleksji, w tym także autorefleksji dydaktycznej”.

Zwraca uwagę zwrotność owego mechanizmu: przekazywanie wiedzy dydaktycznej i autorefleksja dydaktyka są wzajemnie na siebie skupione. Skupione na metodyce konkretnie, jednocześnie kierują uwagę na proces organizowania i analizy dwóch rodzajów (typów może) kształcenia, uzależnionego od wieku uczącego się. W projekcie położony został wielki nacisk na dwa modele – pedagogiczny i andragogiczny. „Wspomniane koncepcje pedagogiczne – kontynuuje Maria Kwiatkowska-Ratajczak – opierają się na stałej dominacji nauczyciela. To on formułuje cele, dobiera materiał, propo-

nuje sposoby pracy, określa mechanizmy weryfikacji opanowanej wiedzy i nabytych umiejętności. [...] nauczyciel wie lepiej, do czego chce doprowadzić, a podążający za nim uczniowie czy studenci podporządkują się tym działaniom”.

Projekt realizowany był w dwóch uniwersytetach: poznańskim Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i warszawskim Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Autorka wstępu napisała, że „refleksję [...] o zaistniałych [...] zmianach na uczelniach połączono z namysłem nad mechanizmami tworzenia teorii kształcenia akademickiego skupionej wokół trzech prostych pytań: po co, czego i jak uczyć?”. Książka obrazuje sposoby pracy z doktorantami, jest zbiorem nie tylko pohospitalowanych opisów zajęć i projektów cykli, ale zawiera także artykuły metodyczne (w części końcowej). „Materiały zawarte w dwóch pierwszych częściach książki – przypomina Maria Kwiatkowska-Ratajczak – są tekstami zaliczeniowymi, kończącymi poświęcone kształceniu akademickiemu konwersatoria dla doktorantek i doktorantów. Są autentyczne. I m.in. to jest ich zasadniczym walorem”.

Dodajmy, że są to prace na wysokim poziomie zawodowej kompetencji i merytorycznej odpowiedzialności. A jednocześnie są przykładem zaangażowania w proces dydaktyczny, który nie może być – jeśli chce pozostać autentyczny – ograniczony do jednej metody, celu czy wychowawczego postulatu.

Różnorodność prac jest atutem zbioru. Mamy więc konспекty językoznawcze, medioznawcze, performatywne, literaturoznawczo-prasoznawcze, ekokrytyczne, feministyczne (genderowe), recepcyjne (tłumaczeniowe), prawoznawcze, z zakresu zadań publicznych itd. Domykające tom dwa artykuły metodyczne są interdyscyplinarną próbą połączenia porządku historycznoliterackiego z wyobraźniowym, a także religioznawczym (czy z zakresu filozofii religii). Ta obfitość kwestii, rozwinięty wachlarz możliwości poznawczych obrazuje dydaktyczną *varietas*, jaka – zwłaszcza dzisiaj – staje się istotnym problemem metodologicznym.

Autorki i jeden autor są doskonale przygotowani do dydaktyki akademickiej. Prace odznaczają się nie tylko pogłębionym, starannie przemyślanym i intelektualnie twórczym porządkiem, ale także mają tę zaletę, iż w sposób przejrzysty wprowadzają w problematykę zajęć. Ujmując w tych podejściach dydaktycznych poważne traktowanie roli nauczyciela, uczącego się oraz przedmiotu. Wzajemna – każdorazowo zaznaczana – konwergencja środków i celów dydaktycznych sprawia, że mamy do czynienia z projektem mocnym. O jego jakości decyduje także to, że w żadnym wypadku nie mamy do czynienia z poznawczym unikami, pobłażliwością dla efektów kształcenia czy złagodzeniem wymagań. Każdy z projektów jest precyzyjnie pomyślany (przez autorów) i równie serio oceniony przez hospitujących zajęcia doświadczonych nauczycieli akademickich.

Podkreślić bowiem należy, że w części zgromadzonych tutaj prac (w dziale: *Od konpektu do zajęć*), mamy do czynienia ze znakomitą układem, typu: pomysł – ocena. Trzy konpekt – Eweliny Woźniak-Wrzesińskiej *Metafora w języku nauki*, Joanny Sikorskiej: *Narracja obiektywna i subiektywna w grach wideo*, a także Anny Paprzyckiej *Teatr i media: telematyczność – teleobecność – teleakcja – aura* zostały wzbogacone o opinie promotorów. Nie są to laurki wystawione przez niekrytycznych opiekunów lub noty złośliwych zoilów. To są bardzo istotne uwagi znawców, ważne i dopowiadające niektórych aspekty podjętych tematów.

Dział *Projekt cykli* gromadzi siedem prac: Aleksandry Białek *W kręgu „Chimery”*, Dawida Gostyńskiego *Wobec nie-ludzkiego?*, Mai Staśko *Jak różnica płciowa przekształca się w teksty kultury*, Katarzyny Szymańskiej *Recepcja literatury niemieckojęzycznej w Polsce*, Bernadety Paczkowskiej *Teorie mediów – krytyka i praktyka literacka*, Alicji Labijak *Prawo a język* oraz Magdaleny Pałki *Marketing i zarządzanie projektami*. Wszystkie realizują bardzo ciekawy pomysł intelektualny, a jednocześnie wpisują się w nowoczesnie kształtowaną humanistykę.

Dział *Po konwersatoriach* to dwa szkice o raczej historycznoliterackim wymiarze: Sylwii Iwanek *O świętej przestrzeni, Stanisławie Vincenzie i Eliadem. Próba konfrontacji religioznawstwa z literaturą* oraz Agaty Patalas *Metodyka myślenia o poezji według Elizabeth Bishop*. Nie są one wyczerpującym rysem zagadnienia, ale – jak zauważa Maria Kwiatkowska-Ratajczak – „mobilizują do pogłębionej refleksji dydaktycznej”.

„Intencją towarzyszącą powstawaniu książki zatytułowanej *Dydaktyczna szkoła doktorska* było zaprezentowanie efektów współpracy z doktorantami” – napisała autorka wstępu. Dodajmy więc, że wynikiem tej współpracy stało się niebywale wartościowe, ciekawe poznawczo i twórcze dzieło wspólnoty, która w dydaktyce upatruje nie tylko wąskiego osiągnięcia pragmatycznego, ale rzutuje w przyszłość – ku dobru współistnieniu uczących się. ■

Dydaktyczna szkoła doktorska.
Red. Maria Kwiatkowska-Ratajczak.
„Poznańskie Studia Polonistyczne”,
Poznań 2019, 318 s.

Z perspektywy środką



KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

Omotiku *Mediany* Krzysztofa Siwczyka napisano już wiele. Większość czytających tę poezję krytyków zgodnie podkreśla, że autor *Dzikich dzieci* po małej odskoczni, jakim był zbiór *Jasnopis* (2016), powrócił do swojej wcześniejszej poetyki. Co jest dla niej charakterystyczne? Przydługawe, narracyjne, ciężkie, wypowiedziane na jednym oddechu frazy; gry językowe; liczne przerzutnie; polisemia języka, nadmiar i ciąg poszarpanych, chaotycznych myśli i zdań, w których po pierwszych lekturach tomu zdecydowanie trudno się odnaleźć. Siwczyk tworząc takie, a nie inne utwory wciąż jawi się jako spadkobierca Nowej Fali. Mimo, że książka uzyskała nominację do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej „Silesius” 2019, więcej jednak po jej ukazaniu pojawiło się głosów krytycznych. Żeby nie być gołosłownym przywołajmy kilka opinii: „Po tacierzyńskim *Jasnopisie* przyszedł jednak *Mediany*, czyli pozorny powrót do wcześniejszej poetyki, ale powrót w najgorszym znaczeniu: stylistyczny, a nie intelektualny. Poezja Siwczyka, doświadczająca obecnie czegoś w rodzaju kryzysu wieku średniego, czasu przejścia między jedną formą a drugą, przeobrażała się już kilkakrotnie, tym razem jednak wyraźnie nie może wstrzelić się w czas. [...] Obserwuję więc *Mediany* ze zgrozą i cisnącym się na usta zdaniem «jaka piękna katastrofa»” – napisał z przekąsem Jakub Skurtys; „*Mediany* Krzysztofa Siwczyka to z pewnością poezja, prawdopodobnie poezja bardzo dla kogoś dobra, być może dostanie jakieś nominacje, choć gdyby to zależało ode mnie, to poeta Siwczyk by ich nie otrzymał. Są to bowiem wiersze, które wykorzystując ulubioną metodę autora, czyli

nagromadzenie przedmiotów i sytuacji, dostały zadyszki i przestały się ze mną komunikować” – czytamy w krótkiej recenzji Wojciecha Szota; „Siwczyk znalazł szczególną językową formułę. Wygląda to mianowicie tak, jakby chciał skondensować maksymalną liczbę informacji w jednostce wiersza, szukając słów nie tyle «pięknych», ile nośnych, które dopiero w głowie czytającego mają uwolnić całe swe ciasno spakowane znaczenie. [...] to w żadnym razie nie są epifanijne rozbłyśki sensu, ale raczej gęsto spakowane pliki wręcz dudniące nadmiarnością przekazu” – zanotował Marcin Sendencki w „Gazecie Wyborczej”; „Nowy tom poetycki Krzysztofa Siwczyka stał się potwierdzeniem, że poeta nie podąża za modą, nie angażuje swojego poetyckiego głosu w dysputy społeczno-polityczne [...]. Człowiek wykreowany w *Medianach* obserwuje świat z pewną dozą dystansu, sporadyczną dawką sentymentu i wyraźnym zagubieniem, stojąc na «przecięciu arterii» – stwierdziła Magdalena Piotrowska-Grot na łamach „Twórczości”.

Ta ostatnia myśl interpretatorki zdaje się sygnalizować trudność pojawiającą się w tomie Siwczyka, która wynika z przyjętej przez poetę koncepcji. Kluczem do interpretacji jego wierszy jest już sam tytuł. Wyjaśnijmy: mediana to wartość środkowa, wartość przeciętna, „wartość cechy w szeregu uporządkowanym, powyżej i poniżej której znajduje się jednakowa liczba obserwacji”. Twórca w swoich utworach przyjmuje inną, dla niego nową perspektywę oglądu rzeczywistości. Umieszcza siebie w samym jej środku i z tego miejsca opisuje i ocenia świat, na który spogląda: „[...] rozbity obóz/w samym środku

dżdżystej środy, w połowie miesięcznej słoty” (s. 7). Owe bycie „w samym środku” zobowiązuje poetę do zachowania obiektywizmu. Sprawia, że istniejąc niejako połowicznie, na samej granicy, próbuje analizować rzeczywistość, z założenia nie opowiadając się z góry po żadnej ze stron i zapominając o swoich wcześniejszych osądach na jej temat. Skąd nagle u Siwczyka ta zmiana perspektywy? Powody – można się domyślić – są podszyte autobiografią.

Po pierwsze, przekroczeniem przez autora *Dzikich dzieci* czterdziestego roku życia. Poeta znajduje się mniej więcej w jego połowie, w środku właśnie i dochodzi do wniosku, że „po latach trzeba wreszcie zrobić przegląd rzeczy/i przekonań” (s. 30). Nie dziwi zatem w *Medianach* nieśmiały powrót autora *Jasnopisu* do przeszłości: „[...] ta całość/obrazów w powtórce przyspiesza zadziwiająco zdarzenia,/jakich świadkiem w tym czasie był siąpiący deszcz./zbiegałem na pamięć z górkę, którą znam, bo wydeptałem/w niej wszystkie rozmiarówki trampek, hamując zawsze/pod graniem rodzinnych relikwiarzy, wprost pod nogami/kolejnych, obiecujących generacji [...]” (s. 20). Bohater liryczny tych utworów znajduje się w przełomowym momencie, w którym dostępuje wreszcie odwagi i odczuwa potrzebę „odsłonięcia mroków piwnicy, z jakiej wybiegają ku biało/słońca dziwne, drobne ustronia, najściślej uchowane/żyjątką konkretnej [...] przeszłości” (s. 5). Jej odsłonięcie oznacza także wspomnienie, a może nawet otwarcie ran, o których autor *Jasności* ośmiela się mówić tylko między wierszami, wyrzucając z siebie: „to wy, moi nękacze, tam jeste-

ście na górze, wymachujecie ze szczytu, ujadacie, opiłki z tych dymów zamieszkują w płucach, blizna zostaje” (s. 20). Ale poeta próbuje także dokonać częściowego rozrachunku z samym sobą, który być może jest ukryty w pytaniu z wiersza *Lahar II*: „pytam się, choć dawno padłem w piach, czy odważyłem się żyć ci dać” (s. 41).

Po drugie, obecnością w życiu tworcy dziecka, które także gdzieś niegdzie w poetyckim słowotoku znajduje swoje miejsce: „w języku słyszałaś słowa krągłe jak przetwory renesansu”, „[...] w tobie widzieli najpewniej nadzieję/dalszego rozwoju akcji, choć za zakrętem znikaaś jak żółta hulajnoga” (s. 6). To nowe, małe istnienie nie tylko każe szukać, ale także daje nadzieję bohaterowi lirycznemu tych utworów na obecność w świecie czegoś dobrego i pozytywnego: „pęka ciężka tapeta w słońcu coraz węższych horyzontów,/z szpary wygląda szczęście, jest do kogo otworzyć usta [...]” (s. 21). Dziecko redefiniuje życie poety, które – jak dopiero teraz zauważa podmiot – „zjawia się po cichu w polu widzenia, musi coś powiedzieć i mówi [...]/z pełnym zaufaniem do dna słów”, więcej: „pomaga [...] wejść/na równowagę zdań jak na stępkę” (s. 7).

Czy perspektywa „bycia-w-środku” rzeczywistości zmienia tak całkiem dotychczasowe krytyczne zdanie poety na jej temat? Odpowiedź brzmi: Nie. Siwczyk nadal widzi ją w „domroku”. Wciąż bowiem ogarnia ją „dym palonych smół”, momentami natomiast następuje „wielkie wzniecenie ciemności” (s. 8). Twórca nie łudzi się już, że kiedykolwiek nastąpi zmiana: „ten obraz będzie się ciągnął/będzie [...] towarzyszył jak mur co nie niknie” (s. 8). W „byciu-w-środku” bohater liryczny też nie czuje się komfortowo. Okazuje się, że perspektywa, którą przyjmuje to tak naprawdę skazanie siebie na stanie na krąwejzi. Każdy krok w tył albo w przód może źle się skończyć: „po bokach czuję/przepaście, pod nimi wiszą zbutwiałe, pienne sznury/zacumowane w powietrzu” (s. 7). Nie ma zatem bezpiecznego miejsca czy przystani, której można by się uchwycić, trwając „w śródoku”. Wszędzie pozostaje to samo niebezpieczeństwo. Kiedy natomiast pojawia się jakieś światło, to tylko jako „słońce rażące/w smogowym zasnuciu” (s. 37), i za każdym razem przed człowiekiem „z dwóch bram otwiera się/tylko ta z wyjściem ze światła” (s. 33). Człowiek w wierszach Siwczyka jest zatem beznadziejnie skazany na ciemność. Więcej: w „domroku” bohater liryczny ma poważne problemy ze wzrokiem. Przeważnie „biegnie na oslep” (s. 25), jest bliski ślepoty. Oczy są w pewnym sensie uszko-

dzone, niewiele widzą, nie spełniają swojej funkcji: „przysiadasz w kąciaku relaksu i masz zaniemówione oczy” (s. 12), „ślucham co też mądrego mówi spod denka, poza/wylanym okiem, które wisi smutno jak biało jaja” (s. 31). Obrazy bywają utrwalane tu przez „leukomę” (s. 17) – „białawe zmętnienie rogówki oka na skutek choroby lub urazu, powodujące upośledzenie widzenia lub całkowitą utratę wzroku”, z powodu czego rzeczywistość, w której żyje człowiek może mu się jawić inna, w jakiś sposób zafalszowana. Nawet przedmioty, które uwyrażniają widzenie w trudnym świecie poetyckim autora *Dokąd bądź* tracą swoją poręczność: „okulary zamykają pole widzenia jak katarakta” („choroba oka objawiająca się zmętnieniem soczewki, połączona z częściową lub zupełną utratą wzroku; zaćma” – s. 9). To zatem nawet najmniejsze rzeczy biorą górę nad człowiekiem, rządzą nim. Wydają się groźne do tego stopnia, że momentami należy nawet się ich bać: „W pozycji kucznej, znowu naprzeciwko siebie,/targamy z ojcem indyjską szafę [...] /rzuca nami ciężar półokrągłej obudowy, idziemy raz/razem, tę parę metrów w głąb sieni jak niebyli tragarze wojennych łupów [...] /ale potrafi ranić palce i stopy sunące powoli po podłodze,/na wspólnej ścieżce prowadzącej do kąta ścian” (s. 13). Człowieka w tych wierszach przeraża i przytłacza nie tylko świat materialny, ale także wirtualny, w którym „świecą tokeny”, „dziesięć wyblakłych, blaszanych kart w zasięgu/plastikowej sponki” (s. 9–10), za pomocą których jesteśmy kontrolowani i automatycznie odpowiadamy na „pytanie o wiek i pochodzenie,/na jakie nie znajduje odpowiedzi nawet nikt,/nawet najlichsza wesz w zgięciu podpórki pod łokieć” (s. 9). Siwczyk pokazuje absurd świata, w którym żyje. Człowiek staje się w nim tylko „okazem w terrarium powietrza” (s. 9).

Oprócz opisów codzienności, prywatności, otaczającej człowieka zaciemnionej, mrocznej rzeczywistości, czyli wszystkiego tego, co widać ze środka, jest w tych wierszach także trochę polityki. Urodzony w latach siedemdziesiątych poeta krytycznie odnosi się do przemian drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Nadzieje oraz głoszone idee, które wraz z nimi przychodziły nie raczyły się spełnić. Okazały się tylko, jak wszystko zresztą w tym ciemnym świecie – czytamy w *Niebiaństwie 1989* – „nachodzącą poświatą, jakże blisko zawodzącą przecucia” (s. 18). Chociaż autor *Dziki dzieci* niekoniecznie chce rzucać się teraz na podejmowanie politycznych dysput, na swój sposób ocenia

tamtejszą, a właściwie także obecną rzeczywistość. Historia wszak powtarza się na jego oczach: „ujarana konstytuanta świętuje głupkowate murmuranda” (s. 18), „reorganizowane państwo/w apatii dryfuje właśnie pod gardło pochodzą na placu apelowym” (s. 17), „rodzi się ciekłość,/irygacja zmywa głowy nawalonej rzeszy, deszczy się na dachówkach kamienic krew ulotek, dymy za strażnicą furtian/przenoszą się w uliczki [...]” (s. 19). Ale Siwczyk tylko mówi, że jest źle. Nie wskazuje możliwości wyjścia z politycznego impasu. Skoro cały świat jest pogrążony w rozpędzie i trwa w „domroku” poeta zdaje się nie widzi w jego ratowaniu głębszego sensu.

Tym, co może zaciekawiać i intrygować niektórych w *Medianach* Siwczyka są metafory czy – nazwijmy je bardziej ogólnie – nałożona na wiersze warstwa znaczeń żeglarskich i akwaticznych. W utworach pojawiają się wymagające słownikowego wyjaśnienia takie frazy czy wyrazy, jak na przykład: „bandera na krypie” (flaga na „dużej, przewozowej łodzi rzecznej o płaskim dnie”), „stępka” (podłużna belka na spodzie kadłuba statku, biegnąca przez całą jego długość), „otwarte akweny i burłaczanie” („przenoszenie sprzętu pływającego w miejscach, gdzie przepłynięcie jest niemożliwe”), „przywiązało braseł do polera” (zatem „linę umocowaną przy końcach rei, służącą do manewrowania żaglami w płaszczynie poziomej” do „słupka na pokładzie statku lub nabrzeżu, na który zakłada się cumy”) itd. Obok wody uobecnia się także zazwyczaj pod postacią wiatru żywioł powietrza: „[...] na parapecie za szybą/siada poniekąd znany w okolicy duch orzeźwienia,/wiatr pokątnych zawirowań [...]” (s. 5), „wiatr podrzuci cię jak freon gdzie chcesz” (s. 11). Nie zostają one zestawione z sobą przypadkowo. Obydwa są żywiołami bezkresu. Przypominają o czasie, przemijaniu, kruchości życia, ale też jego przeobrażeniu, kończącym się powoli z każdym dniem „ja” lirycznym.

Wypowiedziane „jednym tchem” gęste, zamęcające wiersze Siwczyka są trudne w odbiorze. Żeby je zrozumieć należy je nie tylko przeczytać kilka albo kilkanaście razy, ale także wejść do ich środka, odpowiednio przebrać, poszatковать, powyciągać z nich konkretne frazy i spróbować ułożyć je w jakąś całość. Może dopiero wtedy przemówią i zakomunikują, co mają do zakomunikowania.

Gromba i turnulka w *Trans-Atlantyku*. Jak śmieje się (z nas!) Gombrowicz?

JERZY PASZEK

Dwa lata temu pojawiło się nowe wydanie mikropowieści z roku 1953, czyli czwarty tom *Pism zebranych* autora *Ferdydurke*: Witold Gombrowicz: *Trans-Atlantyk*, oprac. Marian Bielecki, Kraków 2017, s. 436 (używam skrótu: TA). Tak więc na 50-lecie śmierci pisarza mamy już 5 jego dzieł w edycji krytycznej (do *Bakakaju*, *Ferdydurke* i *Iwony, księżniczki Burgunda* dorzucono ostatnio – poza *Trans-Atlantykiem* – *Testament. Rozmowy z Dominikiem de Roux*). W Internecie, gdy kliknie się słowo „turnulka” (co zmyślny komputer poprawia na tur nulka!) można zamiast objaśnienia tego neologizmu odczytać list, w którym nadawca żali się na czytanie tekstu z takimi dziwnymi wyrazami, jak dróbka, turnulka, ganacja, szpront. Co one znaczą? Otóż tak się składa, iż wyrazy te występują w *Trans-Atlantyku*! Cytowany e-mail pochodzi z 2012 roku i chyba nie został zauważony przez edytora utworu Gombrowicza, bo w 50-stronicowych przypisach i komentarzach ani jedno z tych haseł nie zostało wyjaśnione! Ale takich uników i chowania strusiej głowy w piasek (narażającego czytelnika na domysły, iż wszyscy wiedzą o co chodzi, a tylko on jest na tyle niepojęty i nieobeznany z literaturą, że o takich słówkach nie słyszał) jest tu zdecydowanie więcej!

Wyjdźmy od innego, także pominiętego przez komentarze Bieleckiego, neologizmu Gombrowicza. Tym ciekawym dla mnie słówkiem jest „gromba”. Oto trzy stronicy przed zakończeniem mikropowieści zaskakuje nas demoniczny krajobraz ni to argentyński, ni to polski: „A niebo czarne, puste; a tu blisko krzak jakiś ciemny, niezbadany... dalej zaś dwa drzewa stały... a dalej **gromba** jakaś była, ale Ciemna, Nieruchoma...” (TA, 115; wszelkie wytłuszczenia J.P.). Badacz Gombrowicza nie orientuje się, że we wcześniejszym dramacie również podobne i tajemnicze zjawisko straszy: „bo to, uważasz, burza wybuchła, śnieżycą, drogi zawiąło, pustka, rozdoły i **gromby**...” (W. Gombrowicz, *Trans-Atlantyk. Ślub*, z komentarzem autora, Warszawa 1957, s. 142; skrót: TAŚ). Neologizm Gombrowicza można próbować wyjaśnić na kilka sposobów: 1. wyraz jest zapewne Tuwimowskim kalamburem-karambolem rzeczowników „grobla”, „grób” i „romb”; 2. podejrzewam, iż może tu ukrywać się dowcipny anagram onomastyczny:

Gombra = gromba; byłby to zaskakujący chwyt atrybucyjny, wskazujący na tożsamość twórców obu dzieł; w szkicu *Risum teneatis...* z roku 1952 napisze, iż „Gombrowicz” to słowo, które „niejasną treść zawiera” (TA, 290); 3. nie przypuszczam natomiast, że mamy do czynienia z kalamburem syntaktycznym: „grom” + „ba!”, czyli ‘co począc, gdy grom bije’.

Jeszcze inne rozwiązanie sugeruje chorwacki polonista Zdravko Malić (zob. Z. Malić: „*Trans-Atlantyk*” *Witolda Gombrowicza*, tłum. Jan Wierzbicki, w zb. *Gombrowicz i krytycy*, wybór i oprac. Zdzisław Łapiński, Kraków – Wrocław 1984, s. 244), który pisze o podobieństwie zakończenia *Ferdydurki* (chodzi o wierszyk: „Konic i bomba / A kto czytał, ten trąba!”) do głośnego, karnawałowego wydzwisku *Trans-Atlantyku* („Śmiechem Buch, Śmiechem bach, buch, buch Buchają!...”; TA, 118), poprzedzonego przecież zapowiedzią synobójstwa i ojcobójstwa, a to wszystko w dodatku przy współdziałaniu tajemniczych sił przyrody, symbolizowanych przez **grombę**, łatwo rymującą się z biernikami rzeczowników **bomba** oraz **trąba**.

Z tytułową „turnulką” są duże kłopoty! Jest to wedle narratora część ubioru jednej z postaci: „Podsroc ki Radca w spodniach prążkowych i we fraczku, z **turnulką** prasowaną w mopsa pod żelbetem” (TA, 33). W innym czasie i miejscu Podsroc ki „wyszedł w spodniach prążkowanych i w surducie, a w podwójnym kołnierzyku z **muszką** w zyg wiążaną” (TA, 65). Jak widać, nawet te same spodnie bywają raz prążkowe, a kiedy indziej prążkowane! Muszka oznacza w opisie radcy krawat w kształcie kokardki, a więc chyba nie jest turnulką. Synonimem muszki byłyby fontazie lub frędzle, czyli dale-

ko jesteśmy od czegoś, co musi być „prasowane w mopsa pod żelbetem”. Gdyby ten „żelbet” (alias „żelazo-beton”) miał coś wspólnego z drucianym rusztowaniem pod spodem XIX-wiecznych sukni, to mogłyby tu pojawić się termin „turniura”, czyli poduszeczka podkładana na wysokości bioder w stroju kobiecym. Ale skąd radcy do niewiasty? Podejrzewam, iż Gombrowiczowi skojarzyły się w głowie dwa rzeczowniki: fontaż i forys (‘pomocnik stangreta’), bo turnulka rymuje się z Mickiewiczowską „dryndulką” i „karyjulką” z I księgi (w. 441-442) *Pana Tadeusza*. W mikropowieści Podsroc ki podejźdża do pensjonatu narratora „karyjolką” (TA, 33: 4 razy), czyli takim samym powozem, jak Podczaszyc u Mickiewicza (Bielecki – w komentarzu na s. 141 – karyjolkę zrównuje z karyjulką). Podsumowując, turnulka brzmi prawie jak dryndulka, a muszka, czyli fontaż sugeruje forysia, kierującego karyjolką... Zagmatwane to wszystko, ale tak bawi się ze sobą (i nami) Gombrowicz!

Takież igraszki widzę z mieszaniami podobnych do siebie słówek: „fluksja” i „fuksja”. Najpierw „chudy urzędnik siedział i stalówkę pod światło ogładał, palcem ją próbując, a jakby **fluksję** miał, bo w uchu wata” (TA, 27). Czy możliwe, by kwiaty także cierpiały na tę samą dentyścyczną przypadłość? Tak przecie i autor, i edytor podpuszczają czytelnika: „duży bukiet **fluksji** biało-czerwonych od Ministra mi wręczono, a z nim list od Pana Radcy” (TA, 33). A to przecie **fuksja**, ułanka, ma kwiaty białoczerwone i rośnie w Ameryce Południowej! Czemuż wydawca ani słowem nie zająknął się w tej kwestii? Podpowiadałem o tej grze wyrazami literalnie podobnymi w eseju *Argentyński i polski „Trans-Atlantyk”* (w zb.

Literatura polska obu Ameryk, red. Beata Nowacka i Bożena Szałasta-Rogowska, Katowice – Toronto 2014, s. 549). Opuśćmy pana Podsockiego vel Srokę vel Sroczkę, bo i inne okazy z bestiariusz Gombowiczowski czekają na swój występ.

Zacznijmy od kury i jej dzieci, czyli drobiu. Bielecki milczy na temat szaleństwa, jakie wywołują zakupy w kraju kapitalistycznym, stającym się rajem konsumentów: ktoś chce kupić „sweater” (tak u Gombrowicza stale!), ktoś inny z żoną patrzy na „dywan bordo z **Dróbką** za 350” dolarów (TA, 23). Doroszewski cytuje Kraszewskiego, który mówiąc o pospółstwie przywołuje słowo „drób”. „Dróbka” chyba nawet w XX wieku obok sensu ‘podróbki’ (czyli ‘podroby’ = wątroba, płuca, nerki bitych zwierząt) nie nabrały dziwnego sensu, mogąc się łączyć z frędzlami czy filigranowymi ozdobami artystycznych dywanów? Gombrowicz ponadto gwałci „dróbkę” gramatykę, nadając wyrazowi odnoszącemu się do liczby mnogiej liczbę pojedynczą.

Kiedy indziej nie mówi o tym, że świnie wydają kwiki, lecz są kwikami: „Owóz Potrzask to był, Potrzask, w którym my wszyscy jak szczury i jak **kwiki** wpadli, a wszystko za Rach-

mistrza sprawą” (TA, 100). Edytor tutaj mógłby przytoczyć popis poliptotonów i synonimów, z którego wynika, jak bardzo świnia i kwik są ze sobą zjednoczone w umyśle autora *Ślubu*: „Świńtuchu / Świntuchowaty, świński, zaświniiony / Świniowaty, wyświniak, wyświniak, / I prosiak, prosiak, **kwik**, świk!” (TAŚ, 253). Cytacja jest mi potrzebna, by udowodnić, iż nie ma sensu rymowanka Gonzala: „Matuś matuś, oj to Fika / Ale lepiej jeszcze **Klika!**” (TA, 85). Nie chodzi tu bowiem o dzisiejsze „klikanie”, ani o żadną „klikę”, ale o frywolne zachowanie seksualne, podpowiadane zresztą w dystychu: „Choć to **kwika** ma Podwika / Dalej, dalej, lepiej Dolej!” (TA, 84). Dostrzegam w tym zdaniu rekord oratorski, boć „kwika” opalizuje znaczeniem rzeczownika (świnia) i czasownika (piszczeć), a „ma” byłoby tu zaimkiem (moja) i czasownikiem!

W bestiariusz Gombrowicza wszelkie zwierzęta kopulują ze sobą na estancji, w której ukrywa się Arturo Gonzales (np. „Ten pewnie Legawiec [pies], ale kłapouch [osio!] z niego kiepski, bo jakby Chomika miał uszy. Odpowiedział Gonzalo, że sukę miał Wilczurę [wilczyce, bo „wilczura” to futro; Bielecki tu ani mru-mru!], która chy-

ba w piwnicy z Chomikiem sparzyć się musiała, a choć potem Legawcem pokryta, z Chomika słuchami szczenięta wydała”; TA 82). Lubi narrator igrać onomastyką także w odniesieniu do tańczących dziewcząt, bo raz jest to „panna **Myszka**” (uwijająca się z Radcą Podsockim), a w pobliżu widać „pannę **Muszkę**” (TA, 113), czyli sekretne powiązania przechodzą z braci mniejszych na osobniki homo sapiens!

Ktoś dowcipny w enumeracji bogactw w pałacu Gonzala: „Wazy Filigranowe, kryształowe, jaspisowe, **korczyki**, koszyki palisandrowe, truny, **kotylety** weneckie albo i florenckie, a także lite filigrany” (TA, 80-81) dosłyszałby się „kotletów” (niem. Koletett, fr. côtelette), choć neologizm ten powstał zapewne jako krzyżówka „koletów” (‘kaftanów męskich’) z „kotyliami” (‘wstążkami, przyszpilonymi tancerzom na balu’). Bielecki nie zajmuje się ani „kotyletami”, ani „trunami” (stp. ‘trumny’), a przy objaśnianiu „korczyków” strzela w płot, pisząc, że to „herb szlachecki” (TA, 162; nb. Bartosz Paprocki w swych *Herbach rycerstwa polskiego*, Kraków 1858, s. 677, zna tylko „klejnot starodawny” Korczak); myślę, że w wylizance Gombrowicza chodziło o



zdrobnienie słowa „korzec”, oznaczające naczynie mieszczące dużo mniej litrów niż pomieścić mógł oryginalny, 120-litrowy garniec.

Podteksty animalistyczne dostrzegam też w zdaniu o firmie Barona, Ciumkały i Pyckala: „psy, konie po ludziach skupując, z dużym zyskiem sprzedawali na Szpront lub na Ganację” (TA, 29). Otóż neologizm onomastyczny Szpront powstał być może ze zderzenia szprota (rybka morska podobna do śledzia) ze staropolskim „szpontem” (‘szpuntem, kołkiem w becze’). Bo właściciele spółki pokłócili się też o „rybki stare” i „śledziki bardzo dawne” (TA, 30). Gdyby popuścić wodze fantazji, to ekspedycję psów i ogierów na Szpront i Ganację – fonostylistycznie – można byłoby uznać za bluźnierczą aluzję do ewangelijnych listów świętego Pawła do Koryntian i Galatów (Szpront przypomina Korynt, a Galaci zamieszkiwali Galię, a potem Galację, czyli prawie Ganację!). Przecież i ojciec Ignacego, stary Kobrzycki, jest wystylizowany na Chrystusa: „I nic tylko stoi. A **krew** jemu ukazała się i jedna duża **Kropła** po policzku się stoczyła. [...] Ale Tomasz stoi. I jemu druga **Kropła** ukazała się, która śladem pierwszej ściekała. [...] Tomaszowi trzecia **Kropła** powoli wywickła, śladem dwóch pierwszych i na kamizelkę spadła” (TA, 35). Jest i czwarta, i piąta kropła. Rację ma Malić, iż to aluzja do Kalwarii (op. cit., s. 239). Bielecki nie korzysta z tej podpowiedzi!

Syn Tomasz, Ignacy, pojawia się w miłosnych zakłęczkach Gonzala jako Ignasieńko (TA, 60: „już on [major Kobrzycki] mnie wypić z Ignasieńkiem swoim-moim nie wzbromi”) oraz jako Ignasieniek (TA, 109: „A gdy Ignasieniek mój Starego swojego buchbachem napocznie, pewnie dla mnie większym, łaskawszym będzie, bo przecież Kryminał!”). Dowcip Gombrowicza polega na tym, iż bogaty Argentyńczyk tak znakomicie opanował język polski, iż w spieszczeniach imienia Ignacego umie umieścić słowa „nasień” i „nasienie”! A nawet Polacy tego nie potrafią, bo w komentarzach cicho, sza! Potrafił zaś Fredro, który wykreował nie tylko słowo skrzydlate „Krrrokodyla daj mi, luby” (*Zemsta*, akt II, sc. 8, w. 489), ale i onomastyczny kalambur: „Palusiusio” (*Dożywocie*, akt II, sc. 3, w. 179; Pa, Lusi, sio!).

W słynnym dialogu narratora z Cieciszowskim (Paprocki zna Cieciszewskich, co mogłoby być „zawodowym” i dubletowym kalamburem!) padają następujące kwestie: „Tak pan **nniemasz?** – Nie jestem ja na tyle szalonym, żeby w Dzi-

siejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał” (TA, 13). Doszukuję się kalamburu w pytaniu sobowótora pisarza: „Tak pan **mnie masz?**”, analogicznie jak w dźwięcznej frazie „sprawy a **sprawinki** moje” (TA, 52), gdzie jakiegokolwiek zamysły bohatera idą w parze z jego grzechami i przewinami! No, małymi tylko **winkami!**

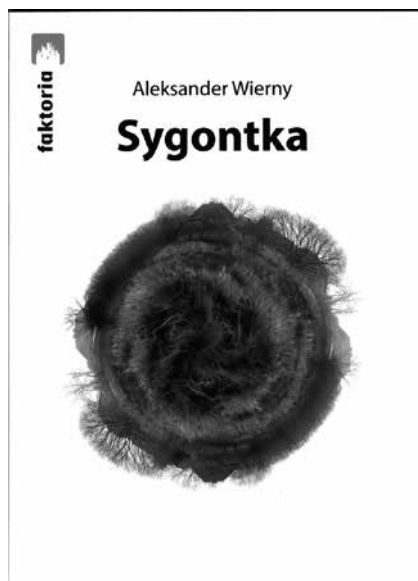
Poświęcam tyle miejsca na prezentowanie przeróżnych gier i gier słownych, bo o to chodzi przede wszystkim Gombrowiczowi w omawianej mikropowieści! Technikę i taktykę sterowania i naprowadzania transatlantyka i *Trans-Atlantyku* (igranie wyrazami zaczyna się więc od pierwszego słowa utworu!) na właściwy kurs i styl dostrzegam w następującym wymyśle tekstu: „Czcze Starca [Tomasza] uczucie! Bo on, z **pustej** lufy do **Put**a **pukając**, **pustym** stał się a może dziecinny Staruszkiem i tylko jakiej Papki mu dać, niechby jadł, albo niechby dzieci iskał, albo do wron, kawek, z **pukawki** **pukał** w dzień letni! Otóż niemoc **Pustej Pukaniny** jego” (TA, 89). Wypowiedzenie narratora oparte jest na powtórzeniach podobnych słów, a w tym na wyzyskiwaniu stałej tu koincydencji i opalizacji rzeczownika puto (gej argentyński) i przysłówka pusto (i rodziny wyrazów: pusty, pustka). Olaf Köhl w cennej książce o stylu Gombrowicza (niecytowanej w przypisach przez Bieleckiego) cały paragraf rezerwuje do opisanie związku słów pusto i puto (O. Köhl: *Gęba Erosa. Tajemnice stylu Witolda Gombrowicza*, tłum. Krzysztof Niewręda, Maria Tarnogórska, Kraków 2005, s. 94-96) i twierdzi, że jest to fakt poetycki tak samo istotny, jak funkcja słowa klucza *Ferdydurki*, czyli wyrazu „pupa”. Innym osiągnięciem tego niemieckiego polonisty (tłumacza *Ozimy* Berenta) jest pokazanie, jak niewinne semantycznie słówka prowokują czytelnika do snucia domysłów i wymysłów o seksualizacji tekstów Gombrowicza. W *Ferdydurce* taką dwuznaczność wprowadza czasownik „pobra...tać się” (op. cit., s. 69-74), w *Trans-Atlantyku* – „stanać”. Stary major krzyczy do narratora o Gonzalu: „Owóż jeśli mnie nie **stanie**, jak psa zastrzelę i to jemu powiedz, żeby wiedział. On mnie **stanać** musi!” (TA, 56). Narrator grozi milionerowi: „bo wiedz, że jeśli Tomaszowi nie **staniesz** on ciebie jak psa zabić poprzysiągł” (TA, 58). W końcu mówi puto: „Gdy ja dzielnie jemu **stane** i męskość swoją okażę, już chyba on mnie wypić z Ignasieńkiem swoim-moim nie wzbromi...” (TA, 60). Refleksje narratora: „Ale co robić? Oczywiście było, że

Gonzala siła ludzka nie zmusi aby przed pistoletem nabitym **stanał**; a gdy zaprzysiągł Tomasz że jego jak psa zabije jeśli mu nie **stanie**, rzecz cała kryminałem zakończyć się mogła” (TA, 61), „Szkopuł, bo Gonzalo boi się jemu **stanać** i za nic nie **stanie**” (TA, 62). Itd., itd.

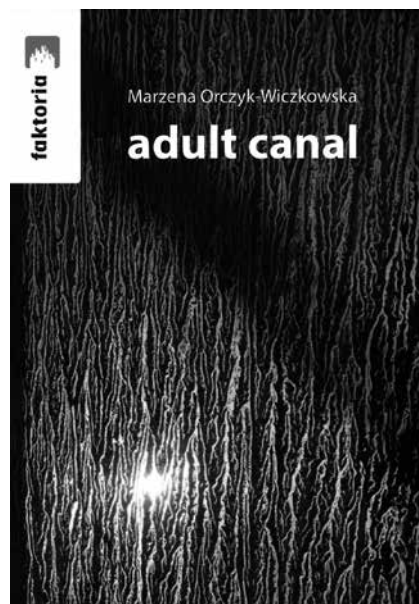
Szkoda, że oddawszy, co należy stylistyce i stylistyce lingwistycznej (Bielecki często powołuje się na książkę Ewy Sławkowej: „*Trans-Atlantyk*” *Witolda Gombrowicza. Studia nad językiem i stylem tekstu*, Katowice 1981), mniej korzysta z ustaleń chorwackiego bądź niemieckiego badacza, obu literaturoznawców. Mniej też zwraca uwagi na aluzje literackie, które nieprofesjonaliście mogą umknąć w lekturze. Oto przykłady: 1. „powinny Lęk, Strach, Drżenie okazywałem” (TA, 87) – w przypisie powinno pojawić się nazwisko duńskiego filozofa, Sorena Kierkegarda, jako autora tomu *Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć* (1843); 2. „kruszynę małą z chleba na kałamarzu zauważywszy, częstokroć na tę kruszynę spoglądałem” (TA, 31) -- czy nie trzeba tu przypomnieć Norwida, jako twórcy *Mojej piosnki* o incipicie: „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba / Podnoszą z ziemi przez uszanowanie”?; 3. „Wszyscy tedy *Viva Polonia Martir* zakrzyknęli” (TA, 79) – czy nie dodać do przypisu, tłumaczącego łacinę na język polski, tytułu hymnu *Gaude, mater Polonia* Wincentego z Kielczy?; 4. „Syn Samopas, Syn Rozpętany, to mi dopiero. To rozumiem!” (TA, 75) – czy nie warto zawodnej pamięci odbiorcy przypomnieć *Prometeusza skowanego* Aj-schylosa?

Podtrzymuję trafny osąd Janusza Sławińskiego, iż naczelnym interpretatorem Gombrowicza nie może być sam Gombrowicz (*Sprawa Gombrowicza*, „Nurt” 1977, nr 2), a także zgadzam się z Janem Błońskim, iż badacze „Zapomnieli, że pisarski autokomentarz – jawny i utajony – jest również tekstem artysty. Niby pajak, zaczajony w oku sieci, czeka on na czytelnika, aby w chwili, kiedy ten przejrzał topografię dzieła, dosnuć nieoczekiwany zakrętas, skłębic nitki Ariadny... Po to właśnie Gombrowicz niestrudzenie opatrywał swe książki komentarzami” (*Romans z tekstem*, „Teksty” 1974, nr 3, s. 5). Należy wszakże „oblegać cierpliwie twierdzą tekstu” (ib.), czego inauracyjny i jedynie paliatywny (by nie użyć ulubionego epitetu edytora: „subwersywny”) obraz dostrzegam w czwartym tomie *Pism zebraanych* Gombrowicza. Oblężenie trwa!

KSIĄŻKI NADESŁANE



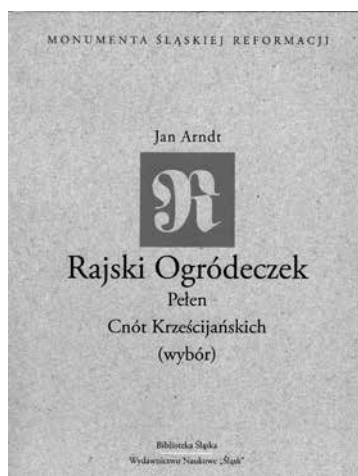
Aleksander Wierny, *Sygontka*. Wydawnictwo K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2019.



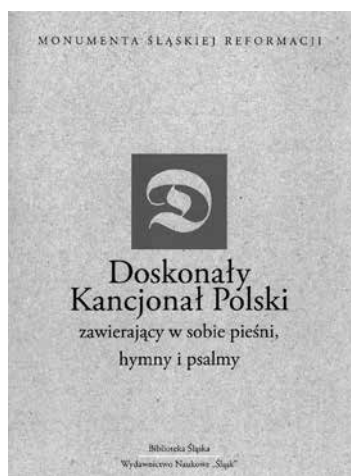
Adult canal. Wydawnictwo K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2019.



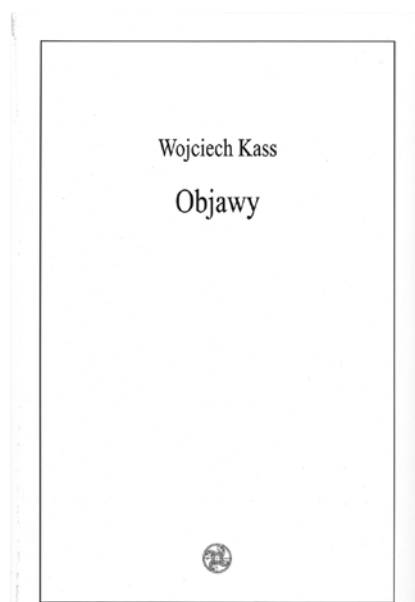
Jerzy Ł. Kaczmarek, *Niewidzialny stygmat*. Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019.



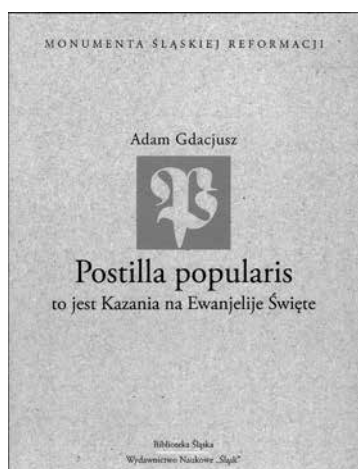
Jan Arndt, *Rajski ogródeczek pełen cnót krześcijańskich* (wybór). Opracowanie Jan Malicki, Tadeusz Sierny. Seria Monumenta Śląskiej Reformacji. Wydawca: Biblioteka Śląska, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2019.



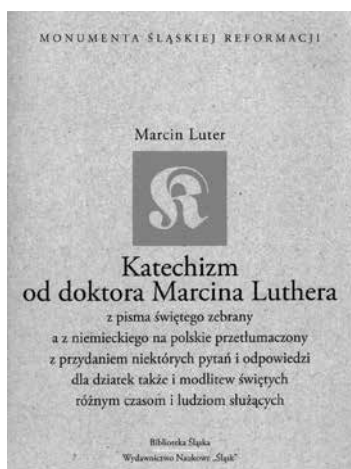
Doskonały kancjonał polski zawierający w sobie pieśni, hymny i psalmy. Opracowanie Jan Malicki, Tadeusz Sierny. Seria Monumenta Śląskiej Reformacji. Wydawca: Biblioteka Śląska, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2019.



Wojciech Kass, *Objawy*. Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019.



Adam Gadacjusz, *Postilla popularis to jest Kazania na Ewangelije Święte*. Opracowanie Jan Malicki, Tadeusz Sierny. Seria Monumenta Śląskiej Reformacji. Wydawca: Biblioteka Śląska, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2019.



Marcin Luter, *Katechizm od doktora Marcina Luthera*. Opracowanie Jan Malicki, Tadeusz Sierny. Seria Monumenta Śląskiej Reformacji. Wydawca: Biblioteka Śląska, Wydawnictwo Naukowe Śląsk, Katowice 2019.

Żywioł ciemnej materii – impresje o malarstwie Krzysztofa Rzeźniczka

MARIA KORUSIEWICZ

Najczystsza esencją malarstwa jest światło. To ono jest źródłem barwy, przestrzeni, w której rodzi się wzrok, a wraz z nim świat i jego rzeczy. W malarstwie światło jest formą emocji, drżeniem myśli jeszcze przed granicą słowa. Sposobem poruszania się w pierwotnej ciemności. W filozofii platońskiej było Dobrem i Prawdą, w średniowiecznej teologii teofanią, w sztuce, szczególnie o nastawieniu romantycznej – budowało jedność człowieka i świata w paradoksywnym złożeniu obcości i bycia tym samym. W nocy, ściszone, prowadzi cieniutką smużką, bladym polskim, ku temu, co Inne, pozwala wędrować po wszechświatach rosnących nam u koniuszków palców, tuż przy chłodnym dotyku metalowej bariery, za którą żyją okruchy jego doskonałości – claritas platoników, lumen naturale prześwitujące poprzez żywioł ciemnej materii. Światło jest tkanką malarstwa Krzysztofa Rzeźniczka, rysuje ontologię wyłaniania się z nicości rzeczy-samych-w-sobie. Głęboki cień starego samochodu, lśniąca granica liści nad ciemnością krzewu, trajektorie drutów przy ścianie budynku – egzystuję tu w obliczu nie-substancjalnej rzeczywistości tego, co jest, w przestrzeni odchylonej od pośpiechu spraw, w miękkiej sierści nocy. Jestem sobą i kimś bardzo innym, siadam ostrożnie na brzegu ławki. W ciszy. ■

Przerwa metafizyczna

KRZYSZTOF RZEŹNICZEK

Ponieważ (podobno) ludzie mówcami się stają, a nie rodzą, a tak się złożyło, że ja zamiast stać się mówcą, stałem się malarzem, postanowiłem temu zaradzić i nakreśliłem o tych obrazach kilka krótkich zdań.

Przyszła mi do głowy wczoraj pewna myśl i na jej podstawie wytłumaczyłem dziś dzieciom pojęcie paradoksu. Ów paradoks polega na tym, że w porze, która oferuje najlepsze warunki do refleksji nad niezwykłością życia, cudem naszego zaistnienia robimy sobie wszyscy długą przerwę na sen. Po czym budzimy się rano i narekujemy na pogodę, na deszcz, na śnieg, na upał.

Potocznie określa się zapadanie zmroku opadaniem kurtyny. Dla mnie, dzieje się wręcz odwrotnie. Kurtyna się podnosi i otacza nas ciemność, kosmiczny żywioł ciemnej materii, który jest dominującym elementem wszechświata.

Nocą czuję się, jakbym znalazł się w innym miejscu.

Cała struktura, tkanka, wszystkie elementy wyludnionego miasta, nagle zostają pozbawione celowości i jednocześnie stają się czymś niezwykłym. Dzieje się tak też za sprawa specyficznego światła, które, w odróżnieniu od światła słonecznego, jest nieruchome, jednostajne i punktowe i przez to dzieli miasto na szeregi poszczególnych scen, dając obraz zupełnie odmienny od tego, z jakim mamy do czynienia za dnia. Podczas, gdy za dnia wszystko jest tak samo widoczne i ważne, nocą światło latarni nobilituje przypadkowe budowle, konstrukcje, przedmioty i elementy natury. Zwyczajne w swojej obecności i mijane w codziennym biegu obojętnie, teraz, wyróżnione światłem, nagle nabierają specjalnego znaczenia.

Moje obrazy, pomimo tego, że bardzo rzadko pojawiają się na nich ludzka postać, opowiadają właśnie o człowieku. O czasie bezruchu i ciszy, w który popada miasto, gdy wszyscy śpią. O konfrontacji cywilizacji z naturą. Te nocne pejzaże jawią mi się czasem niby martwe natury ułożone wprost na ulicy. Wyłuskane z ledwo po-



Krzysztof Rzeźniczek – z cyklu „Nocne życie światła: Kremł”, (rysunek lawowany)

skromionej ciemności rzeczy zyskują znaczenie symboliczne: samochód, witryna sklepowa, latarnia, stają się alegoriami tymczasowości, przemijania, atrybutami wątpliwości ludzkiego losu, podczas gdy rośliny, drzewa, krzaki, trawa, mimowolnie trwają pośród tej rekwizytorni, niby niewzruszone metafory cyklu życia, przecząc wszystkimi swoimi symbolicznymi znaczeniami martwej strukturze miasta. Noc kieruje do wnętrza, to pora wyciszenia zmysłów, wyizolowania, introwersji, to dla mnie przestrzeń poza czasem, poza historią, to moja metafizyczna pauza. ■

Urodzony w Mikołowie. Jest absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, którą ukończył dyplomem głównym w Pracowni Malarstwa prof. Kazimierza Cieślika oraz aneksem w Pracowni Rysunku prof. Antoniego Cygana. Obecnie pracuje na macierzystej uczelni jako asystent w Pracowni Rysunku prof. Antoniego Kowalskiego i Pracowni Technologii Malarstwa Agnieszki Trzos. W 1999 roku otrzymał stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki. W 2006 zdobył wyróżnienie na XXI Festiwalu Malarstwa Współczesnego w Szczecinie oraz Grand Prix w konkursie Fundacji im. Franciszki Eibisch w Warszawie. W 2015 roku obronił pracę doktorską z dziedziny malarstwa. Autor kilkunastu wystaw indywidualnych. Uczestnik ponad 50 wystaw zbiorowych w kraju i za granicą. Zajmuje się głównie malarstwem, rysunkiem oraz fotografią.



Krzysztof Rzeźniczek — „Wyspa I”, 2013, olej na płótnie 110 x 150 cm

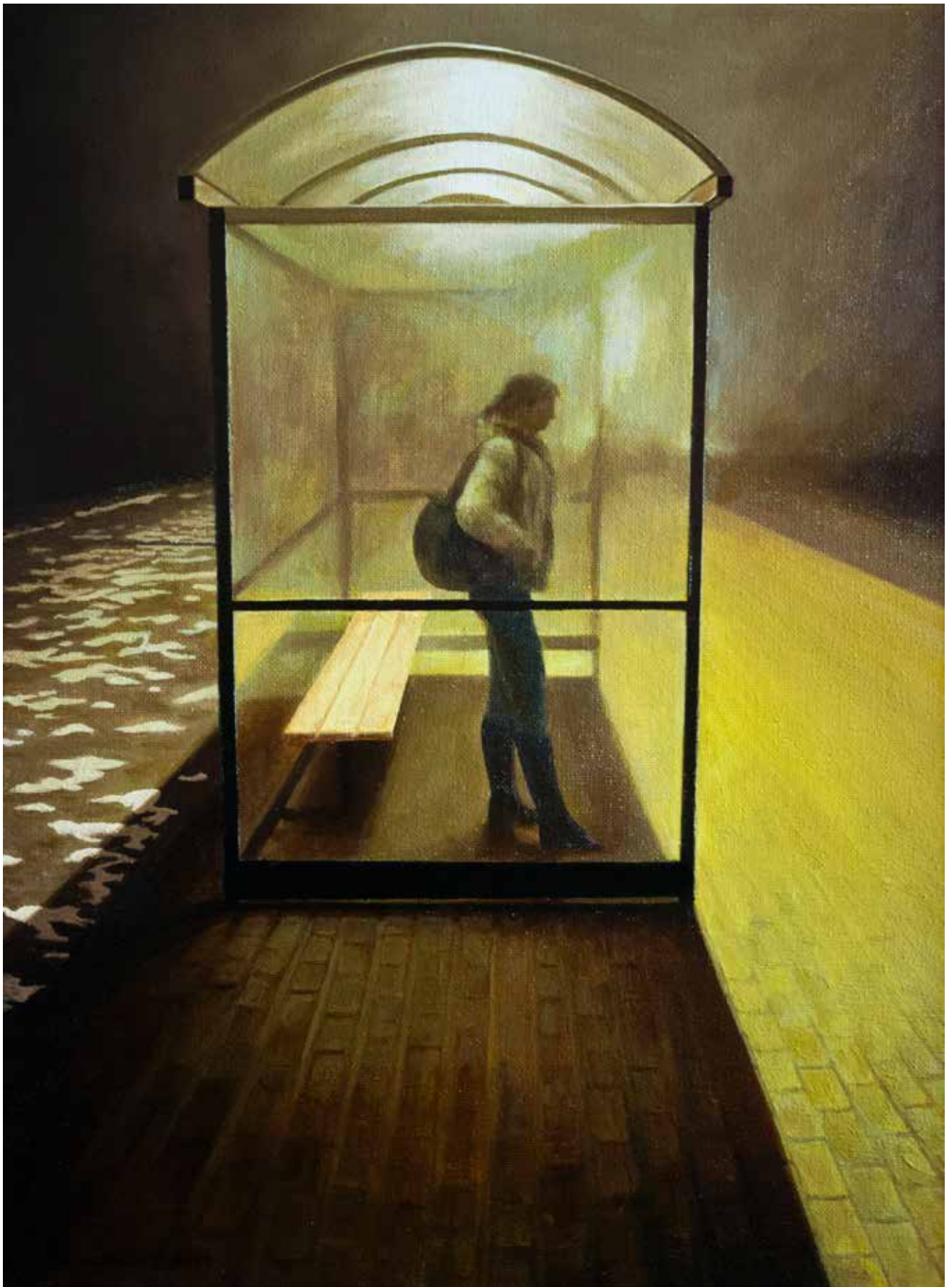


Krzysztof Rzeźniczek — „Pszczyńska”, 2013, olej na płótnie, 70 x 100 cm



Krzysztof Rzeźniczek — „Tuje” 2014 olej na płótnie, 150 x 78 cm





Krzysztof Rzeźniczek — „Przystanek”

Aliny saksofon magiczny

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Urodzona w Lublińcu Alina Mleczek to artystka obdarzona rzadkimi zdolnościami interpretacyjnymi i, co ważne, pedagogicznymi; to osobowość niecodzienna, której muzyka polska zawdzięcza o ileż więcej niż to się oficjalnie przyznaje (cóż, żeby coś przyznać trzeba się najpierw na tym znać). Piszę o niej, bo w jej działaniach znajduję tak potwierdzenie jak i zaprzeczenie obserwacji, które poczyniłem przyglądając się latami polskiemu życiu koncertowemu na niwie muzyki klasycznej.

Jakiś czas temu przeczytałem czyjąś wypowiedź – żałuję, że nie zanotowałem czyją, kiedy opublikowaną i gdzie – polemizującą ze stwierdzeniem kogoś innego, iż w Polsce nie ma dobrych wykonawców współczesnej muzyki klasycznej. Wypowiedź ta pobudziła mnie do bolesnych rozważań, gdyż jestem przekonany, że faktycznie nie ma u nas zespołów i solistów, którzy mogliby konkurować *en masse* z ich koleżankami i kolegami działającymi w Europie Zachodniej, Ameryce Północnej, czy Australii. Muszę tę wypowiedź uzupełnić: na pewno może się Polska pochwalić gronem muzyków interpretujących tę twórczość porządnie. Są zespoły, które grają rzeczywiście na światowym poziomie, jak m.in. Orkiestra Muzyki Nowej i Kwartet Śląski. Natomiast ja mówię o standardowym poziomie polskich muzyków w skali makro. A poziom ten jest ogólnie przeciętny lub wręcz marny. Winę ponoszą tu niski etos muzycznego zawodowstwa, nieobecność idei powszedniego wykonawstwa muzyki współczesnej jako składnika ogólnej kultury muzycznej oraz desperacko konserwatywne podejście do kwestii tego, co się gra – od najmłodszych lat wpaja się dzieciom niechęć do muzyki dzisiejszej albo się o niej nie mówi (co na jedno wychodzi), a potem to już się toczy jak lawina. I kiedy w wymienionych wyżej regionach istnieje bez liku inicjatyw takich jak np. zamówienia nowej muzyki edukacyjnej, które na stałe wprowadzają muzykę współczesną do programów szkolnych oraz uniwersyteckich i w konsekwencji powstają i działają tam wręcz setki jeżeli nie tysiące świetnych solistów i zespołów poświęcających wiele uwagi repertuarowi współczesnemu, to w Polsce nadal panuje na tym polu siemiężne rękodzielo, do wykonania najnowszych

dzieł bierze się muzyków „z łapanek”, czasem jest to „kupą mości panowie”, a czasem „ratuj się kto może” – w efekcie, jak to ktoś do mnie ostatnio napisał, muzycy dosłownie udają, że grają.

Dlatego chylę czoła przed Aliną Mleczeko, pedagogką i saksofonistką pierwszej klasy, której talentem można by obdarzyć pewnie i tuzin muzyków. W kraju, gdzie twórczość saksofonowa odłogiem stoi – bo jeśli na saksofonie napisałem tyle, ile polskie kompozytorki i kompozytorzy razem wzięci, to to jednak o czymś świadczy: nie ma tu takich możliwości w tym zakresie jakie istnieją gdzie indziej (spójrzmy np. na małą Belgię!) – przede wszystkim z braku wykonawców z prawdziwego znaczenia; w kraju, gdzie zupełnie muzyki saksofonowej się nie docenia (proszę mi nie mówić, że się mylę!), Alina Mleczeko osiągnęła zadziwiająco wiele: otóż nie tylko powstało w Polsce sporo wartościowych dzieł saksofonowych przez nią zamówionych, doskonale potem przez nią wykonanych i nagranych, ale też dzięki jej autorytetowi pedagogicznemu podniósł się niepomniernie, przynajmniej w niektórych miejscach, poziom nauczania tego wspaniałego instrumentu. Jej kariera potwierdza więc moje obserwacje – i zaprzecza im: co prawda z jednej strony Alina Mleczeko należy do rozpaczliwie małego kręgu ludzi potrafiących grać rzeczy współczesne, ale z drugiej strony jej wysiłki pedagogiczne w tej sferze wydają się obiecujące.

Alina Mleczeko pochodzi jako się rzekło ze Śląska i na Śląsku rozpoczęła swoją drogę ku artystycznemu sukcesowi. Potem ukończyła warszawską Akademię Muzyczną (dziś: Uniwersytet Muzyczny im. Fryderyka Chopina) w klasach saksofonu Davida Pitucha (Amerykanina, który między 1980 i 1990 mieszkał i uczył w Polsce; miałem przyjemność poznać artystę, zapamiętałem go jako przemiłego człowieka i prawdziwego zawodowca) oraz Krzysztofa Herdera. Niby normalna droga na etapie edukacji, ale nie – właśnie wyjątkowa! Otóż Alina Mleczeko była, w co trudno uwierzyć, pierwszą kobietą, która ukończyła (nb. celując) studia saksofonowe w stołecznej uczelni! Już ten fakt świadczy jak zacofane było polskie szkolnictwo w tamtym okresie – na szczęście ten szokujący stan rzeczy zmienia się dzięki osobom takim jak ona.



Po studiach dość szybko zaczęła uczyć. Najpierw był to Zespół Państwowych Szkół Muzycznych im. Fryderyka Chopina w Warszawie, potem, po obronie doktoratu w 2011, białostocka filia Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie. Równocześnie zaczęła się roznosić sława instrumentalistki na niwie twórczości najnowszej. Od początku grała dużo Nowej Muzyki – przecież sam saksofon to młody instrument, skonstruował go zamieszkały w Paryżu Belg Adolphe Sax w latach czterdziestych XIX stulecia, patent uzyskał 28 czerwca 1846 roku, a tak na poważnie zaczęto nań pisać dopiero w XX wieku – jeszcze na studiach nagrała i wydała płytę „Wiatr od morza” zawierającą zadedykowane jej dzieła Jacka Grudnia, Pawła Mykiety, Macieja Zielińskiego, Waldemara Miksy oraz Michała Kulentego.

Alina Mleczeko to także jedna z najwszechstronniejszych polskich artystek. Kolejne płyty, na których wykonywała m.in. standardy muzyki jazzowej i latynoskiej, „Siesta” (2003) i „Fiesta” (2005), potwierdziły olbrzymią skalę jej umiejętności: jednego dnia pięknie wykonuje Koncert saksofonowy Hanny Kulenty, drugiego doprowadza do białości publiczność w klubie jazzowym, a trzeciego gra tzw. *world music* z zamieszkałym w Polsce wielce uzdolnionym Gambijczykiem nazwiskiem Buba Gabijeh Kuyateh. Niesamowite!

Uwaga osobista: swego czasu skomponowałem dla Aliny Mleczeko utwór *M/Alina* na saksofon sopranowy i jazzową ścieżkę dźwiękową. Prawykonała go w Krakowie i jeszcze dziś, po tych wszystkich latach, spotykam ludzi, którzy mi mówią jakie na nich wrażenie zrobiła interpretacja Aliny. Cudowna forma uznania jej magicznych zdolności – pamięć.

Malarz ulotnego, kobiecego piękna

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Franciszek Żmurko był uczniem Jana Matejki, malarzem który odniósł olbrzymi sukces w Europie i w Stanach Zjednoczonych, a jego obrazy fascynowały współczesnych pokazując piękno kobiecego ciała. W ub. roku jeden z najsłynniejszych obrazów artysty „Z rozkazu padyszacha”, (przedstawia tajemniczą, pełną erotyzmu postać kobiety) pokazywało Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, teraz w Muzeum Miejskim „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej po raz pierwszy w naszym regionie zobaczymy „Pieśń wieczorną”. Przedstawiający antyczną scenę rodzajową w szlachetnych ciemno-pastelowych barwach — obraz — w XX w. na blisko 100 lat, trafił do kolekcji prywatnych i nie był wystawiany na widok publiczny.

Franciszek Żmurko (1859-1910) urodził się we Lwowie, gdzie rozpoczął naukę rysunku i malarstwa. Następnie kształcił się u Jana Matejki w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych, oraz w Wiedniu, Rzymie. Był też uczniem szkoły monachijskiej, pod kierunkiem Aleksandra Wagnera. Artysta cieszył się uznaniem publiczności i krytyków. Otrzymał np. złoty medal za obraz „Kleopatry” na jednej z wystaw.

Generalnie tworzył kompozycje realistyczne o tematyce religijnej, historycznej, lub alegorie. Chętnie sięgał po tematy antyczne, orientalne czy symboliczne, w których warstwa anegdotyczna stwarzała pretekst do przedstawiania aktów kobiecych np. „Śmierć Messaliny”, „Z rozkazu padyszacha”, „Przeszłość grzesznika”. Przede wszystkim bowiem główną bohaterką niemal wszystkich prac malarza była kobieta: zawsze piękna, elegancko uporzowana, kusząca. Kobieta, która ucieleśnia niepokojącą femme fatale, eteryczną rusalkę, boginkę, świętą. Malarstwo Franciszka Żmurki było bardzo popularne, dzięki licznym reprodukcjom w czasopiśmie w końcu XIX wieku. Artysta z powodzeniem wystawiał przez wiele lat swoje prace głównie w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, ale także w Krakowie, Lwowie i Wilnie oraz za granicą. Teraz po raz pierwszy możemy zobaczyć „Pieśń wieczorną” w Muzeum Miejskim „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej — mówi Arkadiusz Rybak, dyrektor placówki i autor opracowań o przeszłości regionu.

„Pieśń wieczorna” (in. „Harmonia” czy „Modlitwa wieczorna”) z 1893 r. obok pracy „Z rozkazu padyszacha” jest jedną z najsławniejszych kompozycji Franciszka Żmurki. Gdy artysta ukończył dzieło natychmiast wystawiono je na specjalnej wystawie w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Następnie na prawie 100 lat obraz trafił do kolekcji prywatnych w Stanach Zjednoczonych. Współcześnie, znany marchand, dr Józef Grabski, (który organizował m.in. wystawy obrazu „Mony Lisy” Leonarda da Vinci w USA) odnalazł go w 1981 r. w zbiorach Bolesława Mastaja, wydawcy pisma „Mastais Classified Directory of American Art & Antique Dealers” w Nowym Jorku. Dzięki pośrednictwu dr. Grabskiego obraz najpierw trafił do Londynu, a potem wrócił do Polski. Wielkoformatowe dzieło wyróżnia się charakterystyczną dla Żmurki szlachetnością fioletu i szarości, przyćmionej zieleni, błękitu, oranżu i różowiejącej bieli. Ten koloryt współtorczy emanujący z obrazu łagodny, nieco senny nastrój, letniego wieczoru, w którym widzimy antyczną scenę rodzajową. Grupa kilku osób słucha muzyki wygrywanej na cytrze, przez siedzącą z lewej strony kobietę. Dzieło podobało się już na przełomie XIX i XX w., ale największy sukces odniosło na Światowej Wystawie Kolumbijskiej w Chicago w Stanach Zjednoczonych. W 1892 roku rozpoczęto obchody 400-lecia odkrycia Ameryki i połączono z przygotowywaną na 1893 rok wystawą dedykowaną Krzysztofowi

Kolumbowi. Całość nazwano Wystawą Kolumbijską. Otwierał ją Grover Cleveland, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wystawiali tam artyści i przemysłowcy rodem z polskich ziem będący przedstawicielami zaborców: Rosji, Niemiec i Austro-Węgier. Amerykanie zezwolili na stworzenie narodowej wystawy prac polskich artystów, co spotkało się z protestami Niemiec i Austrii. Dzięki zaangażowaniu wielu osób w budynku mieszczącym m.in. sztukę belgijską i włoską zaprezentowano 31 prac Polaków. Zwiedzający mogli podziwiać tutaj obrazy takich artystów jak np. Jan Matejko, Józef Chełmoński, Jacek Malczewski, czy Franciszek Żmurko. Zaprezentowano tam obok „Pieśni wieczornej” także: „Dame w futrze”, „Prawo feudalne”, „Główki dzieci”, „Pietę” i... „Pod wpływem haszyszu”. W San Francisco rok później „Pieśń wieczorna” została wyeksponowana obok takich dzieł jak np. „Wernyhora” Jana Matejki, „Zajęcie” Józefa Chełmońskiego, czy „Miłosierny Samarytanin” Tadeusza Sulimy Popiela.

Warto wspomnieć o udziale w wystawie przemysłowców z Dąbrowy Górniczej. W Chicago znalazły się np. wyroby Towarzystwa Francusko-Włoskiego Dąbrowskich Kopalni Węgla; huty „Bankowej” i Fabryki Maszyn „Syrena”. Na potrzeby wystawy wykonano wiele fotografii kopalni z Dąbrowy Górniczej — dodaje Arkadiusz Rybak.

Sukces wystawy doprowadził do realizacji kolejnych przedsięwzięć, wiele eksponatów z Chicago przewieziono do San Francisco, gdzie stworzono replikę wystawy kolumbijskiej, odbyła się na przełomie 1893 i 1894 r. ■



Subtelna „Pieśń wieczorna” możemy oglądać w Muzeum Miejskim „SztYGarka” w Dąbrowie Górniczej na wystawie czasowej.

Na brak bajek nie musimy narzekać. Są w kraju i świetnie prosperują całe wydawnictwa stargetowane na najmłodszego czytelnika. Bajki są pisane, popularyzowane i tłumaczone z języków obcych. O ogromną część tego zbioru stanowią dzieła narracyjne i reedycje utworów wierszowanych klasyków: Tuwima, Brzechwy, La Fontaine'a, Fredry czy Krasickiego. Ale prawdą jest również, że wśród pisarzy współczesnych (XXI wiek), którzy odwołują się wprost ezopowej tradycji bajki XVIII wiecznej (Krasicki), „zwierzęcej” do niedawna znaleźć można było tylko jeden przykład. W 1997 roku nakładem nieistniejącego już dzisiaj wydawnictwa „Pomona” Adam Wiedemann wydał „Bajki zwierzęce” (2 wyd. Biuro Literackie 2002). Miałem przyjemność recenzować ten tom na łamach krakowskiego „Studium”, teraz – dwadzieścia dwa lata po tamtym wydarzeniu – przypada mi w udziale kolejny taki literacki gest, równie wielkiej urody i równie osamotniony w pisarskim panteonie.

Te dwa fakty wydawnicze i edycyjne (tu w odniesieniu do „Wierutnych bajek” Leonarda Neugera) łączy więcej niż dwie dekady i metryki ich autorów może dzielić. Oczywistym powiązaniem jest wybór konkretnego i zapomnianego literackiego gatunku i zastosowana strategia. To ten sam świat filozoficznego studium w detalach, ten sam ładunek ironii – absolutnie nienacechowanej skłonnością do dydaktyzmu, raczej życzliwie przyglądającej się swoim bohaterom, ich troskom i słabościom. Wspólny dla obu lektur jest również zaprojektowany w nich czytelnik. Bajki zwierzęce wykorzystują konwencję, żeby przemówić do odbiorcy dorosłego (choć – mówiąc Gombrowiczem – podszytego dzieckiem). Mniej oczywistym ogniwem, który łączy obu pisarzy – wszak nie każdy musi o tym wiedzieć – jest sam Kraków. Miejsce – boję się użyć tego stwierdzenia, ponieważ nosi znamiona nadużycia – formujące autorów i ich stosunek do tradycji literackiej.

Nie miejsce tu ani na komparatystykę, ani nawet szczegółową relację z lektury, wszak „Wierutne bajki dla dorosłych dzieci” doczekały się dwugłosu w „Śląsku” (Ewa Bartos i Piotr Zaczekowski), i dublowanie tego faktu na łamach tego samego miesięcznika nie miałyby najmniejszego sensu. Zachęcam do czytania i do własnych przemyśleń, tym bardziej że książka – jak przystało na krakowską Austerię – to edytorski majstersztyk. I efekt wieloletniej współpracy autora z malarką i ilustratorką Marią Hordyj-Jönsson (ten świetnie zgrany tandem objawił się już w szwedzkim numerze „Dekady Literackiej” w 1993 roku i przy okazji przekładu wierszy Carla Michaela Bellmana na język polski).

Leonard Neuger – tłumacz Tomasa Tranströmera, przewodnik po meandrach poezji szwedzkiego noblisty i jego przyjaciół – od kilku lat współtworzy bezprecedensowe wydarzenie literackie – „Dni Tranströmerskie” – i stale gości w Krakowie i Katowicach. Użyłem sformułowania „precedens”,



fot. Arkadiusz Lawrywianiec

Żarty na serio

RADOSŁAW KOBIERSKI

bo żaden obcojęzyczny poeta – nawet bliższy „polskiej duszy” i językowi ojczystemu nigdy nie stał się bohaterem takiej akcji popularyzatorskiej i krytyczno-naukowej w kraju. Wcale więc nie dziwi, że spotkanie promocyjne wokół książki Leonarda Neugera odbyło się w tej samej przestrzeni (IKKMO) i wykorzystano tę samą strategię – połączyło Kraków i Katowice, potencjał krytycznoliteracki (prof. Marian Kisiel) i teatralny (prof. Jerzy Trela). A także – skoro już Katowice są Miastem Muzyki UNESCO – muzykę (Elżbieta Ziarnik przy fortepianie). Nie jestem fanem łączenia muzyki klasycznej z poezją, bo to temat wielokrotnie już ograny. I trąci patosem. Ale muszę przyznać, że repertuar – zwłaszcza Scarlatti i Rameau – został do opowieści o bajkach i samych bajek interpretowanych przez Jerzego Trełę dobrany bardzo starannie. Nie mam na myśli wyłącznie prostej (homofonicznej) i łatwej (pozornie) formy muzycznej, nieco nawet frywolnej, ale wyraźną, przedromantyczną cezurę zaznaczoną w tym repertuarze. To granica również istotna dla „Bajek” Leonarda Neugera.

Co najważniejsze, spotkanie w IKKMO nie miało lub miało w bardzo niewielkim stopniu charakter akademicki czy też branżowy. Zajrzeliśmy, owszem, zarówno do kuchni (warsztat poetycki: rytm muzyczny, literacki agon, tradycja gatunku) jak i na głębokie zaplecze, jeśli potraktować je na sposób psychologiczny jako przestrzeń intymną i skrytą (na kwestię budzenia w sobie dziecka, dziecięcego zdziwienia światem nawet autor bajek odpowiedział trochę wymijająco,

twierdząc, że bardziej go interesował duch polskiej bajki z jego niebezpiecznym protekcyjnym moralizmem), ale ten dyskurs nie zdominował autorskiej opowieści dyskretnie oscylującej między anegdotą i autoironicznym komentarzem. Między powagą a humorem. Wszak na tej opozycji powinna być zbudowana każda dobrze napisana bajka. Okazało się, że opowieść o niej, snuta przez jej autora może posiadać te same cechy. Jednak pytanie o dydaktyzm, które trochę zawisło w próżni, pytanie które zadał sobie Leonard Neuger na samym początku pracy nad „Bajkami wierutnymi”, ma fundamentalne znaczenie nie tylko dla samego gatunku, który wymiera na naszych oczach, ale jak się wydaje, również dla naszej tożsamości. Warto byłoby prześledzić wpływ owego protekcyjnalizmu – zwłaszcza w okresie romantycznym i nie tylko ewokowanego w bajkach; jest on wszechobecny niemal w każdej dziedzinie życia społecznego i kulturalnego – na rozwój polskiego ducha, a w zasadzie na cały system ograniczeń, któremu ten duch na przestrzeni wieków uległ. Gdybym chciał być złośliwy (i właśnie na wyżej wymieniony sposób protekcyjnalny) zakończyłbym ten krótki szkic cytatem z Goethego): „Cytryna tam nie dojrzewa./za to ogórek śpiewa”. Zmanipulowany przekaz to również rekwizyt złe pojętego dydaktyzmu. Ale pewnych rzeczy, mając już wiedzę, którą przynoszą bajki – owe śmiertelnie poważne żarty, żarty na serio – robić, pisać już po prostu nie wypada. ■

Wystawa na dworcu

MAŁGORZATA LABURDA-LIS, JUDYTA ŚCIGAŁA

Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku powstało w lutym 2015 roku, w siedemdziesiątą rocznicę wywózki na Wschód. Twórcom przyświecała myśl, iż wydarzenia te nie są na Śląsku szczególnie upamiętnione. Centrum miało podtrzymać pamięć zbiorową i łączyć pokolenia. Chcieliśmy by było miejscem sprzyjającym starszym, szanującym ich przeżycia, stwarzającym okazje do opowiedzenia o przeszłości. Już na etapie tworzenia Centrum świadkowie historii zostali poproszeni o zabranie głosu. Z przyjemnością wysłuchiwaliśmy ich wspomnień, zbieraliśmy pamiętki, informowaliśmy o postępach naszych prac. Dzięki temu deportowani i ich rodziny pomogły w odtworzeniu obrazu przeszłości.

Tworząc Centrum pragnęliśmy także by stało się ono instytucją atrakcyjną dla młodszych odbiorców. W ten sposób projektanci nawiązali do modnej we współczesnym muzealnictwie koncepcji tworzenia instytucji ważnej zarówno dla dziadków jak i wnuków. Przekaz o przeszłości musiał zatem uwzględnić także oczekiwania i potrzeby młodych

ludzi. Organizatorzy przyjęli, iż należy połączyć miejsce pamięci ze współczesnymi metodami prezentacji i w ten sposób opowieści i obrazy przeszłości włączyć w horyzont teraźniejszości.

Na niewielkiej powierzchni dziewiętnastowiecznego, nieczynnego już dworca kolejowego **w Radzionkowie** stworzona została nowoczesna, multimedialna wystawa stała. Za poprawność wyświetlania poszczególnych sekwencji tematycznych odpowiada kilka ukrytych komputerów sterujących 9 projektorami. W ścianach znajduje się między innymi blisko 10 km przewodów elektrycznych. Pomiędzy nowoczesne rozwiązania multimedialne (np. symulacja jazdy wagonem bydlęcym) wkomponowane zostały ślady przeszłości – przedmioty codziennego użytku przywiezione z zesłania, np. łyżka, maszynka do golenia, brzytwa, walizka, dokumenty urzędowe, listy wysyłane z obozów, itp. Stała ekspozycja przybliża historię deportacji i uświadamia zwiedzającym, że rok 1945 – czas końca wojny i wyzwolenia, dla wielu śląskich rodzin był początkiem gehenny związanej z masową wywózką na Wschód.

Wielu Górnoślązaków pozostało na radzieckiej ziemi na zawsze i nie powróciło do swoich domów.

Kształt wystawy to efekt wielu lat pracy zespołu, w skład którego weszli przedstawiciele Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach, świadkowie historii, władze Radzionkowa, projektanci, graficy, wykonawcy. Wystawa nie powstałaby gdyby nie wsparcie 29 samorządów z województwa śląskiego i opolskiego, które włączając się w proces tworzenia Centrum, udzieliły wsparcia finansowego.

W Centrum dążymy do gromadzenia wszelkich możliwych do pozyskania materiałów na temat deportacji i udostępniania ich zainteresowanym. W zakres naszych zbiorów wchodzi relacje świadków historii, materiały dydaktyczne, publikacje, wyniki prac badawczych. Zbiory poszerzają oryginały dokumentów np. zaświadczenia wystawiane przez Państwowy Urząd Repatriacyjny, akty zgonów, zaświadczenia o pracy w kopalni, pamiętniki pisane na zesłaniu, listy, przedmioty codziennego użytku należące do deportowanych, itp. Z kolekcjami zapoznać się



można m.in. w czytelni. Największy eksponat stanowi wagon bydłęcy (śląski: krowiok) ustawiony przed budynkiem.

Nieodłączną częścią działalności Centrum jest edukacja. Już od początku jego istnienia stanowi niewątpliwie główny trzon w szerzeniu wiedzy na temat Tragedii Górnośląskiej. Zajęcia skierowane do młodzieży pozwalają, podczas analizy różnorodnych dokumentów i eksponatów, zrozumieć zawilość tematyki ukazywanej na wystawie. Dzięki wykorzystywaniu zasobów archiwalnych młodzież, w różnym wieku, może zgłębiać trudną historię roku 1945. Uświadamia sobie rangę i powagę problemu, a także piętno jakie wywózka Górnoślązaków odcisnęła na mieszkańcach naszego regionu. Bezpośredni kontakt z relacjami zapisanymi lub zarejestrowanymi w formie audio/video pozwala uczniom na szczegółowe poznanie losów deportowanych. Centrum organizuje także różne projekty edukacyjne, konferencje, prelekcje. Skierowane głównie do nauczycieli, stanowią inspirację do przeprowadzania ciekawych lekcji poświęconych historii XX wieku. Poprzez organizację różnych wydarzeń, Centrum stara się dotrzeć do szerokiego grona odbiorców z różnych środowisk (np. chcąc upamiętnić osoby deportowane, organizujemy każdego roku, w rocznicę utworzenia instytucji, bieg, który łączy pokolenia oraz pozwala na refleksję).

Utworzenie Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w 1945 roku spowodowało zaistnienie kilku fenomenów.

Szczególne uwagę należy zwrócić na współpracę przedstawicieli różnych środowisk. Wszyscy zaangażowani czuli tę samą potrzebę stworzenia miejsca pamięci dla wielu tysięcy Górnoślązaków wywiezionych w 1945 roku do ZSRR oraz innych ofiar sowieckich represji. W misji tworzenia tej instytucji wspierali nas naukowcy, samorządowcy, dziennikarze, rodziny deportowanych, pasjonaci historii, przedstawiciele instytucji kultury i inni. Duże zaangażowanie społeczności lokalnej utwierdziło nas w służności podejmowanych działań.

Drugi fenomen wiąże się z przełamaniem milczenia świadków historii o tzw. Tragedii Górnośląskiej. Centrum wspomaga w tej pracy historyków, nauczycieli, dziennikarzy. Ponadto każdego dnia spotykamy się z rodzinami deportowanych, rejestrujemy ich wspomnienia, zbieramy pamiątki, pomagamy w poszukiwaniu informacji o krewnych. Chcemy by mieszkańcy regionu tworzyli Centrum razem z nami i mieli poczucie, że dzięki współpracy utrwalone zostają dla kolejnych pokoleń ich prywatne, rodzinne historie.



Gablota z eksponatami w jednej z sal ekspozycyjnych



Sala ekspozycyjna w Centrum. Fot. Robert Kwiatek



Sala zadumy z urną, w której umieszczono ziemię z Doniecka. fot. Małgorzata Laburda-Lis

Corvinianum
z Torunia

JAN MALICKI

Urok wakacyjnych wypraw sadza się na zaskoczeniu, zadziwieniu i odkrywaniu rzeczy, dotychczas niedostrzeganych, choć znanych. To prawda stara, jak świat. Jej urok polega na tym, że podświadomie stajemy się wielbicielami idei „slow life”. Spokoju, kontemplacji, zastanawiania się, namysłu. A wówczas sumeryjskie tabliczki, głowa Nefretete, ołtarz pergamoński na berlińskiej Wyspie Muzeów, kolekcja globusów i ściennych, inkrustowanych map we florenckiej Galerii Uffizi, czy jedynie surowa cela Savonaroli w klasztorze San Marco z jedną księgą, z ogromnym krzyżem i różańcem na ścianie, nabierają innej barwy. Głębszej, bo wzbogaconej o wdzierający się zewsząd żywioł historyzmu, mocno wymieszany ze współczesną codziennością. Z owego konglomeratu, mikstu czasów, myśli i uczuć rodzi się wtedy jedynie coś na kształt szlachetnego człowieczeństwa, tak bardzo pożądane w czasach wszechogarniającego krzyku, akceptowanej wulgarności, intelektualnego prymitywizmu, zasadzającego się na kłamstwie w „żywe oczy”. A może jest to tylko potrzeba baśniowości w szarości codziennego trwania. Ale instrumentem, który zwielokrotnia nasze odczucia i wrażenia zawsze jest zaskoczenie.

Do toruńskiej Książnicy Kopernikańskiej jechałem z przekonaniem, że ją znam. Wszak bywałem tu kilkakrotnie. Ba, miałem w rękę wszystkie trzy zachowane edycje Kopernikowego dzieła „O obrotach sfer niebieskich”, łącznie z pierwszą, jeszcze Retykową, z 1543 roku. Znałem opis biblioteki słynnego – a dla Ślązaków niezwykle ważnego – gimnazjum toruńskiego A.D. 1594. Widziałem rękopis z 1450 roku: „Satyr” Juwenalisa i „Memorabilia” Ksenofonta, przełożone na łacinę. Tym razem, zachwyty wzbudził rękopis, który

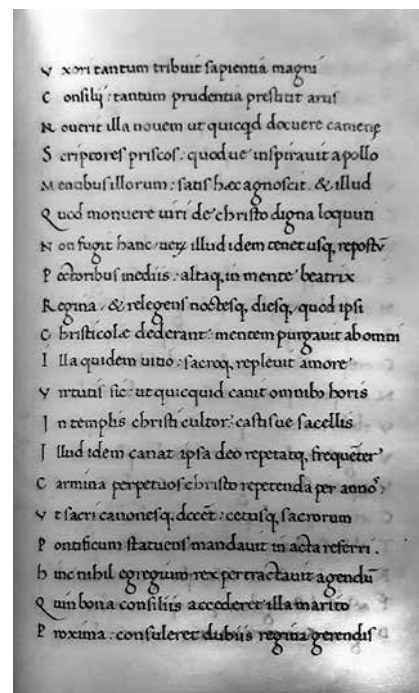
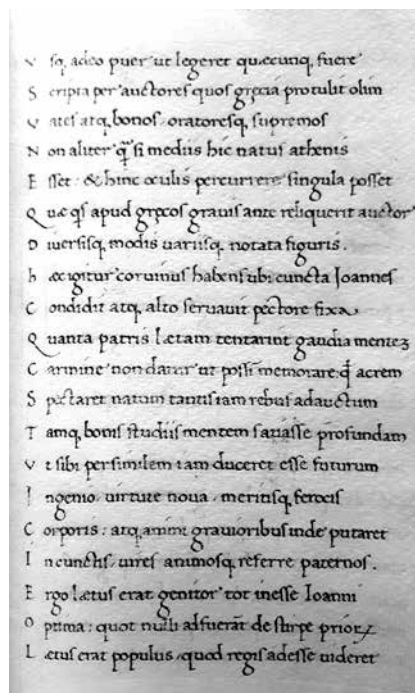
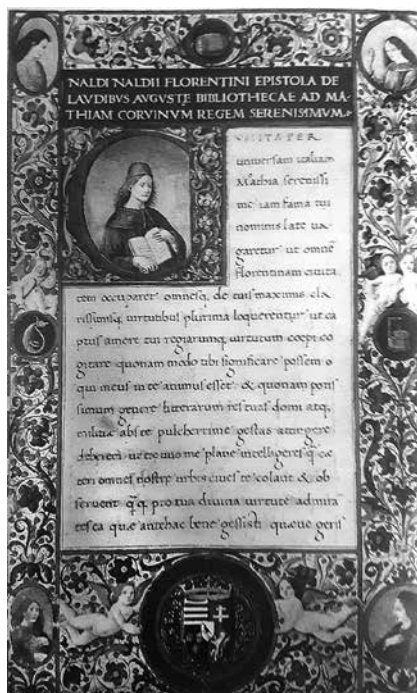
w mojej ocenie jest kluczem do rozwiązania jednej z wielkich tajemnic humanistyki europejskiej. Momentu kształtowania się kultury humanistycznej na terenach zadunajskich, środkowoeuropejskich, ale i jej oddziaływania na wspaniałą kulturę Florencji Medyceuszy. To, oczywiście, uogólniona teza badacza. W rzeczywistości było to zaledwie zwykłe spotkanie z poematem, pisany heksametrem, zapewne w latach 1488-90, przez florentczyka Naldo Naldiego. Poematem, będącym ostatnim materialnym śladem (bodaj, czy jednak nie najważniejszym) po hektombie jednej z najwspanialszych bibliotek europejskich.

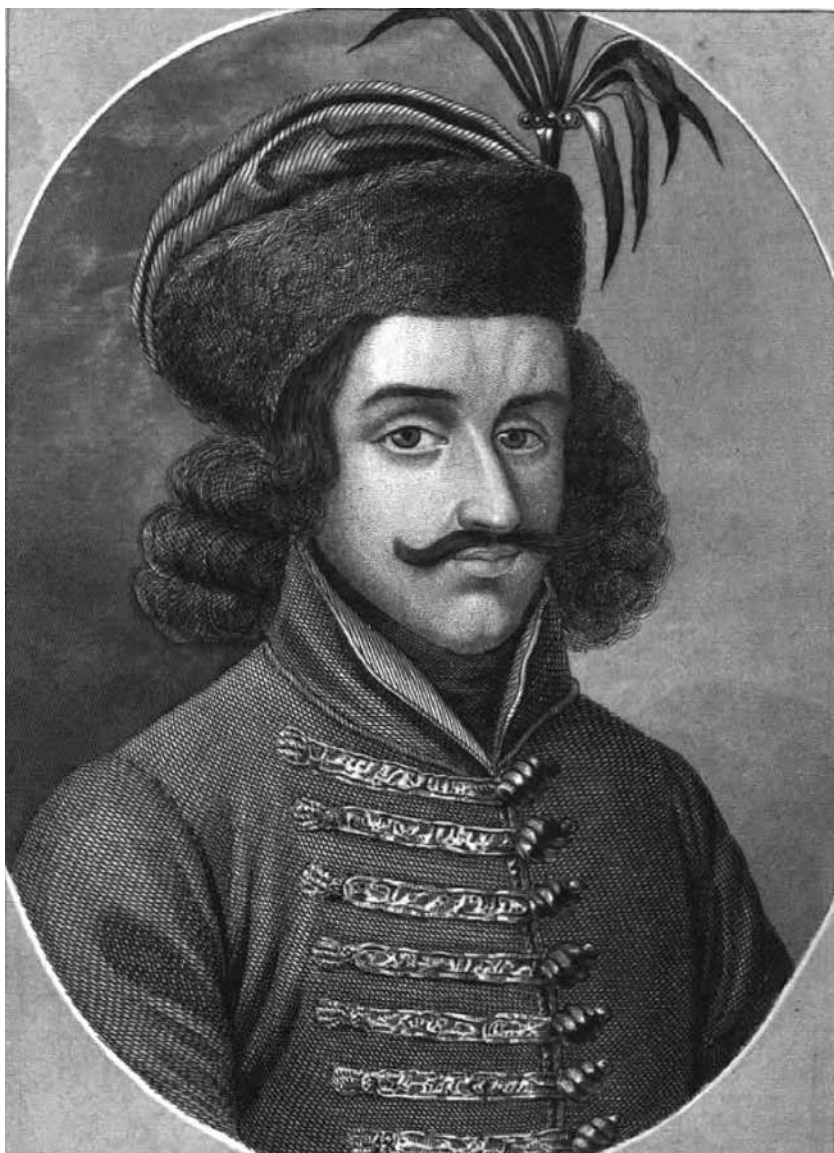
Norman Davies pisze: „Bibliotheca Corviniana miała pełnić wybitną rolę w odradzaniu się literatury w Europie. Przewyższyła nawet wspaniałą bibliotekę Wawrzyńca Wspaniałego we Florencji”. (N. Davies: Europa, s. 563). Skromnie dopowiem, że było odwrotnie. To właśnie Corviniana stała się wzorem dla Wawrzyńca. „W 1489 florencki humanista Bartolomeo della Fonte stwierdził iż Lorenzo de Medici został zainspirowany do założenia swej biblioteki, gromadzącej dzieła greckie i ła-

cińskie, przykładem właśnie króla Węgier” (C. Csapodi, s. 17).

Tym człowiekiem, który był bezpośrednim informatorem oraz inspiratorem poczynań Magnifico był nie kto inny, a nasz Naldo Naldi. Zapewne mówił on z ogromną pasją i żarem, plastycznie opisując samą bibliotekę i jej mityczne wręcz zasoby. Musiał też chwalić króla Macieja Korwina, władcę Węgier, a od 1479 roku także Moraw, Śląska i Łużyc. Osobowość wielką, niepospolitą, a niezmiernie zasłużoną dla europejskiej kultury. Na ucho dopowiedzmy, iż jedyny naturalny syn Macieja – Jan, książę głogowski i opawski, niedoszły król monarchii węgierskiej, urodził się we Wrocławiu. Zaś jego matką była mieszczka Barbara Edelpeck. A król raczej Polski nie lubił, choć na swój dwór zapraszał profesorów Akademii Krakowskiej.

Naldo mówił więc o Corvinianie. Wyobrażam sobie, że mówił, iż powstała w Budzie (w Budapeszcie) już w 1465 roku, kiedy to w nieodległej Bratysławie, erygowano uniwersytet. Wspomniał zapewne i pierwszego bibliotekarza, którym był florentczyk Galeotti Marzio, prowadzący tę instytucję na wskroś nowoczesnie. Zgod-





Król Maciej Korwin

nie z ówczesnymi tendencjami i oczekiwaniami uczonych dążył do kompletności zasobu. Zdobył wszystkie, powtórzy: wszystkich, dzieł starożytnych pisarzy greckich i łacińskich, ale i pism Ojców Kościoła. Co ciekawe, jedynie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Edycje współczesnych twórców stanowiły zaledwie margines. W toruńskim katalogu nie spotykamy ich w ogóle.

Rozmowa Nalda z Magnifico - Wawrzyńcem Wspaniałym, odbywała się jednak w momencie szczególnym. Na polecenie króla Macieja Korwina znacznie przyspieszono bowiem prace nad dopełnieniem księgozbioru. Król miał świadomość odchodzenia. Zmarł zresztą w 1490 roku. Do organizacji procesu edytorskiego wykorzystano więc doświadczenia naukowe wielkiej Florencji. Stworzono system pracy, który wyraźnie rozgraniczał zakresy poczynań bibliotekarza (przepisywał teksty starożytnych), uczonego (opatrywał je komentarzem) oraz rysownika. Ten ostatni dopełniał je bogatą ornamentyką. Manuskrypty, wychodzące z rąk florenckich mistrzów

stawały się arcydziełami. Z czasem korzystano z przebogatych zasobów emblematyki. Tak to się stało w egzemplarzu toruńskim, gdzie na stronie tytułowej włączono emblematy smoka i studni. Zapewne pośpiech sprawił, że rękopisy florenckie z Corvinią tego czasu posiadają charakterystyczny kształt. Uderzają szlachetnym umiarem. Jak w zachowanym poemacie Nalda Naldiego. Egzemplarz ten jest nad wyraz skromny, nie licząc dwóch kart, otwierających manuskrypt i kilku inicjałów tekście. Ich prostota, subtelna delikatność, zderzona z wyrazistym, równym, wręcz ładnym duktem pisma – zachwyca. A jednak kontrastuje z bogatą floraturą dwóch pierwszych kart. Ów ornament o charakterze roślinnym, wypełniający cały margines karty z tekstem, o wyraźnej florenckiej stylistyce zdobniczej, również świadczy o dbałości twórcy o estetyczne wrażenia odbiorcy. Każdy manuskrypt opatrywany był sygnetem królewskim, herbem rodziny Hunyadich, czarnego kruka w polu niebieskim. Następca Macieja Korwina zastępował kruka wizerunkiem białego orła.

Jednak „Epistola de laudibus Auguste Bibliothecae ad Mathiam Corvinum Regem Serenissimum” Naldo Naldiego to nade wszystko traktat o bibliotece i jej zasobach. Jej wartość jest bezcenna jako wiarygodnego źródła wiedzy o mitycznej kolekcji jeszcze sprzed czasu bitwy pod Mohaczem. Dzięki niej dowiadujemy się o wielu zaskakujących sprawach. A to o miejscu sekretnym o dwóch wyjściach, gdzie Maciej Korwin czytywał Liwiuszowe dzieło „Ab urbe condita”, którym zachwycał się także w dalekim Krakowie Jan Długosz. Wiemy o wielkich skrzyniach, w których król zamykał najcenniejsze księgi. Nieopodal stał trójnóg, podobny do tego, jaki znajdował się w świątyni Apollina. Z zaskoczeniem czytamy, że brakuje tu skóry węża lub krokodyla, bo róg jednorożca tam już jest. Jednak Naldi nie pisze, czy właśnie tu miała się odbyć słynna dysputa astrologiczna dwóch krakowskich uczonych: Marcina Bylicy z Olkusza, zresztą nadwornego astrologa króla, z Janem z Głogowa.

Ciekawsze są jednak informacje o zgromadzonym księgach na dworze królewskim w Budzie. Wymieńmy je zatem jednym tchem: Ajschylos, Arystoteles, Homer, Ksenofont, Orygenes, Platon, Ptolemeusz, Safona, Sofokles... W sumie... No, właśnie. Ile? Na rok przed bitwą pod Mohaczem, w 1525 roku, niemiecki uczyony Brassicanus pisał: „Przejrzałem tam wszystkie księgi. Księgi? Lepiej powiedzieć skarby... Nie wiem, czy coś podobnego można ujrzeć gdziekolwiek indziej.” Widział więc je wszystkie. Mógł widzieć około 3 tys. lub 5 tys. woluminów. Po jego wyjeździe z Budy już tylko szaleństwa wojen tureckich, grabieże, niszczenie, palenie. Ile woluminów przetrwało? Bezsparnie zidentyfikowano 650. Znaczący twierdzą, iż zachowało się ich zaledwie kilkadziesiąt. W Polsce jeszcze przed II wojną znajdowały się trzy woluminy z Corvinią. Jeden spłonął w 1944 roku. „Beczenny opisowy katalog zbiorów Korwina – pisze Norman Davies, s. 563 – sporządzony przez pośrednika króla we Florencji Nalda Naldiego został подарowany przez jednego z sultanów któremuś z ambasadorów Polski i zachował się w Toruniu.”

Ale do mojej wyobraźni silniej przemawia legendarna, romantyczna, zasłyszana opowieść o niezwykłym pozyskaniu rękopisu przez toruńskiego mieszczańca, wracającego z Węgier, na północ, do Prus. Być może gdzieś w gospodarstwie, późnym wieczorem, ten peregrynant zapłacił za kolację jakimś, waleśjącemu się żołnierzowi. Za to otrzymał ów bezcenny dziś rękopis.

Która z tych wizji jest prawdziwa...? ■



Życie po rewitalizacji

ANDRZEJ GAŚSIOROWSKI

Nie do końca wiadomo, jak to się stało, że pojęcie rewitalizacji, właściwie przekształcaniu zdegradowanych obszarów miast, objęło przekształcanie miejskich parków, ogrodów czy w ogóle terenów zielonych. Niemniej sam proces przemiany pojęcia dobrze wpisywał się w tworzenie nowomowy neoliberalizmu, aby w kilka lat później zostać przejętym przez język antydemokratycznych i antymodernistycznych ustrojów nowego autorytaryzmu. Celem niniejszego tekstu nie jest opisywanie tegoż języka, ale spojrzenie na polską rewitalizację jako taką, jak używa się tego pojęcia, czego dotyczy i jaki fałsz się za nim kryje. Fałsz, który w odniesieniu do przyrody prowadzi do zmian mających niewiele wspólnego z życiem.

Rewitalizacja, pojęcie mające łacińskie źródło (łac. *re-vita* — dosłownie: przywrócenie do życia, ożywie-

nie; ang. *revitalization, urban renewal, urban redevelopment, gentrification*), w znaczeniu słownikowym oznacza zespół działań urbanistycznych i planistycznych, których celem jest społeczne, architektoniczne, planistyczne i ekonomiczne korzystne przekształcenie wyodrębnionego obszaru miasta (gminy) będącego w stanie kryzysu wynikającego z czynników ekonomicznych i społecznych.

W Polsce, szczególnie od pierwszych chwil wstąpienia do Unii Europejskiej, działania rewitalizacyjne rzeczywiście miały coś wspólnego z definicją słownikową. Za unijne pieniądze rewitalizowano najczęściej centra czy rynki miast, co sprowadzało się do wykładania ich kostką brukową, stawiania ławek, fontann i innych obiektów małej architektury. Działaniom tym nieodmiennie towarzyszyło i towarzyszy do dziś, prowadzone na skalę masową usuwa-

nie drzew, krzewów i zarośli, od którego niemal zawsze w widowiskowy sposób rozpoczyna się proces rewitalizacji. Kiedy do działań rewitalizacyjnych dołożył skutki obowiązującej od wiosny 2016 r. nowelizacji ustawy o ochronie przyrody, która faktycznie zniosła ochronę drzew i krzewów, otrzymujemy obraz prawdziwej hekatomby zieleni w polskich miastach i wsiach (te ostatnie nie były i nie są wolne od kompulsywnych wycinek). Od początku obowiązywania noweli (poprawionej nieco w maju 2017 r.) wycięto miliony polskich drzew w ramach rewitalizacji i poza jakimikolwiek działaniami mającymi cokolwiek wspólnego z racjonalnością. Dlatego rewitalizacji nie powinno się rozpatrywać poza całościową ochroną (a dokładniej jej brakiem) zieleni w Polsce.

Praktyka rewitalizacji

Fot. Andrzej Gąsiorowski



Drzewa romantycznie pochylające się nad parkowym stawem musiały zniknąć. Czasowo staw osuszono.



Najbardziej okazały dąb Parku Garbolewskich na szczęście pozostanie na swoim miejscu.

Co znamienne, w polskim prawie istnieje szczegółowa ustawa dotycząca zagadnienia, uchwalona 9 października 2015 r. Ustawa o rewitalizacji określa jej mianem „proces wyprowadzania ze stanu kryzysowego obszarów zdegradowanych, prowadzony w sposób kompleksowy, poprzez zintegrowane działania na rzecz lokalnej społeczności, przestrzeni i gospodarki, skoncentrowane terytorialnie, prowadzone przez interesariuszy rewitalizacji na podstawie gminnego programu rewitalizacji”. Jak łatwo zauważyć, pojęcie rewitalizacji, jakie ukształtowało się w języku, wykracza daleko poza wszelkie definicje, czy to słownikowe, prawne i faktycznie oznacza wszystko, co wiąże się z jakimkolwiek remontem, adaptacją, modernizacją, konserwacją, restauracją czy renowacją. Tymczasem w założeniu ma odnosić się do działań kompleksowych prowadzonych w odniesieniu do wielu płaszczyzn funkcjonowania miasta przestrzeni miejskiej (architektonicznej, społecznej, ekonomicznej, kulturowej itp.).

Praktyka wskazuje, że niemal nigdy się tak nie dzieje — polskie rewitalizacje, w istocie są najczęściej inwestycjami miejskimi (gminnymi), mającymi na celu wizualne (dużo rza-

dziej infrastrukturalne) odnowienie jakiegoś fragmentu miasta czy gminy. Niezwykle często prowadzone są na potrzeby zbliżających się wyborów albo w celu mniej lub bardziej bezrefleksyjnego wydania pieniędzy unijnych czy innego rodzaju dofinansowań. A już tylko to oznacza, że drzewa muszą ginąć — bowiem odpowiednie „oczyszczenie terenu” daje poczucie, że władarz miasta lub gminy „coś zrobił” na jej rzecz. Inwestycja jest widoczna, można się nią pochwalić, a często faktycznie pozwala na odniesienie wyborczego sukcesu. Wyborcy akceptują bowiem niemal wszystko prócz braku aktywności.

Warto przy tym zwrócić uwagę, że stan zastany sprzed 1989 r. był taki, że polskie miasta, miasteczka i wsie były miejscami prawdziwej eksplozji zieleni i — w sensie estetycznym — w całości wyglądały jak swoje nieużytki. I choć życie społeczne toczyło się w nich i było to dość intensywne życie, przerobienie Polski na model zachodni, a przynajmniej tak, jak sobie ten model Polacy wyobrażali, spożytkowało w znacznej mierze wszelki potencjał modernizacyjny. Dojrzałe drzewa, stanowiące bazę miejskich i gminnych eko-

systemów zaczęto najpierw ogławiać, a następnie na masową skalę wycinać, podając, kiedy było to jeszcze konieczne, jako przyczynę wycinki względy bezpieczeństwa. Urzędnicy bezrefleksyjnie wydawali decyzje bo był to tani i szybki sposób przypodobania się wyborcom.

Owa niekontrolowana zieleń (wtedy na jej szczęście nikt nie chciał się nią zajmować) z jednej strony tworzyła niepowtarzalną estetykę polskich miast i miasteczek, z drugiej stanowiła podłoże wyjątkowego życia społecznego lat komuny. Z ekologicznego punktu widzenia zabezpieczała miasta i miasteczka przed efektem wyspy ciepła, który dziś nie jest już odczuwany tylko w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu, ale i w najmniejszej polskiej „dziurze” (w dobrym tego słowa znaczeniu).

Kostka, płyta, rewitalizacja

Ostatnie lata, które samorządy poświęcają rewitalizacji parków w polskich miastach są „kropką nad i” w dożynaniu miejskiej zieleni. Również tu praktycznie nie ma rewitalizacji czy modernizacji nie zaczynającej się od wycięcia pokaźnej liczby starych dojrzałych drzew (w istocie tworzących klimat parku czy ogro-

du) ewentualne ich ogłowienia, które nieodmiennie określa się mianem „pielęgnacji” drzew, a następnie ułożenia kostki czy płyt w miejsce dawnych parkowych ścieżek. W miejsce wyciętych drzew dokonuje się najczęściej nasadzeń, jednak liczba posadzonych drzewek nie rekompensuje straty ekologicznej, związanej z utratą drzew dojrzałych. Projekty te finansowane są najczęściej z funduszy środowiskowych dotyczących „poprawy środowiska”. Na czym miałyby ona polegać — nie wiadomo.

Pomiędzy poprawą wizerunku i wątpliwą estetyką rewitalizacyjnych projektów a ochroną środowiska jest dużo miejsca, zbyt dużo. I tak, w bieżącym roku projekty środowiskowe oznaczały: dla sochaczewskiego parku Garbolewskich utratę 26 drzew, dla bydgoskiego parku Witosa utratę 60 drzew, dla parku w uzdrowisku Swoszowice utratę 247 drzew, dla parku Moniuszki w Łodzi utratę kilkudziesięciu drzew, dla parku Radolińskich w Jarocinie utratę 741 drzew, dla parku gen.

Sikorskiego w Świdnicy utratę 342 drzew. Podobne dane można mnożyć. To, że usuwanie drzew i krzewów (a wraz z nimi życia biologiczne-

go z miast) dzieje się w ramach działań na rzecz poprawy środowiska jest wisienką na torcie rewitalizacyjnego absurdu. Wysokość środków przeznaczanych na ów cel również robi wrażenie, wahają się one dla poszczególnej inwestycji od kilku do kilkunastu milionów złotych.

Parki po modernizacji nigdy nie są już tym, czym były. W stanie „zaniedbania” tworzyły przeważnie niewielki ekosystem, w którym dom znajdowały małe ssaki, owady i ptaki. Po „rewitalizacji i modernizacji” drzewa i krzewy stanowią wyizolowane elementy, oddzielone chodnikami i innymi elementami infrastruktury parkowej. W działaniach rewitalizacyjnych brakuje bowiem szerszego spojrzenia na park. Niezmiernie rzadko myśli się o nim jako małym ekosystemie. Co do zasady funkcjonuje on jako pewnego rodzaju abstrakcja o charakterze wizualno-architektonicznym. Dzieje się to najczęściej na zasadzie „tu może posadzimy to, a tam tamto”. Nierzadko dochodzi do kuriozalnego okładania wszystkiego co rośnie kostką.

Tymczasem w dobrze pomyślanym parku powinno pozostawić się miejsca z niekoszoną trawą czy wygrodzić miejsca (choćby opadłymi gałęziami),

gdzie nie „sprząta się” w ogóle i gdzie nie mają bezpośredniego dostępu osoby korzystające z parku. To pozwala na dość szybkie zasiedlenie tych miejsc przez małe zwierzęta i owady. Podobnych działań praktycznie się nie stwierdza, prawdopodobnie dlatego, że estetyczne potrzeby Polaków przełomu wieków są zupełnie inne, a swobodnie rosnące drzewa i krzewy postrzegają się nie od dziś jako brud do usunięcia. Samorządowcy chętnie spełniają te potrzeby wyborców.

Przestrzeń artefaktów

Wszystko razem powoduje, że miejskie ogrody i parki, o ile można je jeszcze określać tym mianem, funkcjonują w świadomości wyłącznie jako jeszcze jeden element wystroju miasta, swoista przestrzeń artefaktów, z których tylko niektóre są drzewami. Zresztą z powodzeniem można sobie dziś wyobrazić park ze sztucznymi nasadzeniami, z których nie opadają liście, które nie brudzą, a miejsce pod nimi jest wyścielane odpowiednią gąbką, tak, aby wspinającym się na nie dzieciom nic się nie stało. Takie parki i ogrody funkcjonować mogą praktycznie w całości poza jakąkolwiek metafizyką życia

Fot. Paweł Zalewski





W Sochaczewie rewitalizacja parku określona została mianem modernizacji!

— nie są ani naturą (bo tę ogranicza się do granic możliwości), ani dziełem sztuki (czym były przez setki lat). Stają się przedmiotem codziennego użytku, jak autobus, ścieżka rowerowa czy jakiegokolwiek inne elementy infrastruktury mające polepszać jakość życia. Czego zresztą ostatecznie nie mogą zrobić ponieważ przestają się odróżniać od innych przedmiotów i przestrzeni, które choć ułatwiają codzienne czynności i pozwalają na odpoczynek ciała, w zasadzie nie stanowią odpoczynku, dla choćby materialistycznie rozumianej duszy.

A jednak, co znamienne, po takiej rewitalizacji, wspólnotowe życie społeczne, często powraca do uporządkowanych miejsc pozbawionych zieleni, nazywanych ciągle parkami, w mniejszym lub większym zakresie. Wiele to mówi o nas jako ludziach i Polakach.

W zdecydowanej większości przez życie rozumiemy tylko życie własnego gatunku. W połączeniu z wyobrażoną estetyką rozwiniętego świata, ów pogląd

sprawia, że polskie rewitalizacje kojarzyć się mogą głównie z wypędzaniem życia biologicznego z miast, w których od kilku lat owady praktycznie nie występują, a liczba ptaków i małych ssaków stale się zmniejsza.

Park i ogród zaczynają funkcjonować jako coś w rodzaju zastępczego obiektu zaspokojenia, podobnie jak funkcjonuje znakomita większość przedmiotów kultury masowej. Dawny świat miast-ogrodów odchodzi w niepamięć. „Odwieczne” miejskie parki znikają, a w ich miejsce pojawiają się struktury przypominające placówki zabaw przed centrami handlowymi. Symetria, nuda i tandeta zajmuje miejsce dawnego romantyzmu i zapachu rozkładającego się i wzrastającego życia. Dzieci, zamiast całymi dniami biegać między krzakami i drzewami, znajdują chwilowe

zajęcie na rozpalonych placach zabaw, z jednej strony pobudzone pozorną ciekawością urządzeń do zabawy, z drugiej znudzone ich powtarzalnością. Wobec coraz bardziej odczuwalnego ocieplania klimatu, jest nam coraz goręcej w miastach i miasteczkach. Wtedy jednak najczęściej włączamy klimatyzatory i rozciągamy strażackie węże, aby robić prowizoryczne kurtyny wodne.

Kolejny rok rewitalizacji, to kolejny rok pełzającej katastrofy ekologicznej miast i miasteczek, pracowicie zamienianych w miejskie wyspy ciepła. Prawdziwie życie ustępuje miejsca o jego wyobrażeniu. ■

Powyższy artykuł drukujemy dzięki uprzejmości Redakcji „Dzikiego życia”, gdzie ukazał się on pierwotnie (numer czerwiec 2018).

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Anna Gaitoer
Joanna Kotkowska

Wspomnienie Jana Lebensteina

CZĘSTOCHOWA. Z okazji 20 rocznicy śmierci artysty Miejska Galeria Sztuki przygotowała w Sali Śląskiej wystawę *Jan Lebenstein. In memoriam*. Można ją było zwiedzać od 30 maja. Zaprezentowano tu głównie litografie z *Karnetu niekompletnego* (1966) oraz prace pokazywane w Galerii Lambert w 1973 roku. Zdeformowane postacie zwierzo-ludzi zamkniętych w wygodnych mieszkaniach są krytyką społeczeństwa oraz relacji damsko-męskich. Kobieta zdaje się dominować nad słabym partnerem. To pani domu i salonowa lwica, bóstwo oczekujące modlitw, a jednocześnie nienasycone seksualnie,



często otoczone grupą mężczyzn (strażą przyboczną). Drugim ważnym tematem wystawy była śmierć i zniszczenie.

Jan Lebenstein ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie, w pracowni Kazimierza Tomorowicza, Eugeniusza Eibischa i Artura Nachta-Samborskiego. Pierwszy pokaz prac zorganizował w siedzibie teatru Mirona Białoszewskiego. W 1959 roku otrzymał Grand Prix na 1. Międzynarodowym Biennale Młodych w Paryżu, a stolica Francji stała się wkrótce głównym miejscem jego zamieszkania. Lebenstein ilustrował również książki, m.in. *Folwark zwierzęcy* George'a Orwella oraz opowiadania Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Przyjaźnił się z wieloma pisarzami, skupionymi wokół paryskiej „Kultury” i „Zeszytów Literackich”, w pracowni odwiedzał go również Francis Bacon. W Polsce wystawiał rzadko. Jednym z największych wydarzeń była retrospektywa z 1992 roku w warszawskiej Zachęcie.

Jak przyrządzono tegoroczną Frytkę?

CZĘSTOCHOWA. Tegoroczny Festiwal Frytka OFF-jazd w parku Lisiniec odbywał się 14–15 czerwca. Upały były wprawdzie ogromne, ale pobliski akwen, a przede wszystkim program muzyczny, o który zadbali organizatorzy, były doskonałą zachętą dla częstochowian. W zasadzie można by westchnąć: czego tu nie było. Muzycznie orzeźwiały rytmy punkowe, hiphopowe, elektronicznie, stylizowana ludowość, a głód można było zaspokoić w strefie food trucków. Zgromadzona licznie publiczność bawiła się doskonale, tańczyła pogo i śpiewała wraz z wykonawcami.

W czasie dwóch wieczorów wystąpili muzycy o różnym statusie scenicznym. Obok Acid Drinkers, Dezertera, Kapeli ze Wsi Warszawa, zaśpiewali Mela Koteluk, Krzysztof Zalewski, Xanax czy Mery Spolsky. Niezwykle ciekawy był projekt Rebel Babel Ensemble – L.U.C., jeden z inicjatorów zaprosił do występu Orkiestrę Dętą OSP Konopiska, Marcelinę oraz Abradaba. Z gości zagranicznych można było posłuchać formacji – Kozak System z Ukrainy, Noisy Pots z Czech, a z Częstochowy Sołtysa oraz Biernaskiego. Niektórzy z wykonawców już wcześniej zasmakowali w Frytce. Pozostaje mieć nadzieję, że nie był to ostatni pobyt w Częstochowie.

Marjańska do Szymborskiej, Szymborska do Marjańskiej

CZĘSTOCHOWA. 12 czerwca w Muzeum Częstochowskim odbyła się promocja zbioru listów Ludmiły Marjańskiej z Wisławą Szymborską „*Podobne, a tak różne życie...*” wydanego przez Towarzystwo Galeria Literacka i Muzeum Częstochowskie. Korespondencja w opracowaniu Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej ze wstępem Elżbiety Hurnik jest zapisem 50-letniej znajomości pisarek (1954–2003), ewoluującej od oficjalnej relacji między poetką a ówczesną redaktorką działu poezji w „Życiu Literackim” do przyjaźni.

Wydane listy pochodzą ze zbiorów Muzeum w Sandomierzu (pisane do Marjańskiej) oraz Biblioteki Jagiellońskiej (pisane do Szymborskiej). Uzupełniają je zdjęcia wyklejane wymienianych przez poetki, widokówek oraz autografów.

Rozmowa w Muzeum dotyczyła okoliczności wydania tomu, od narodzin pomysłu aż do jego finalizacji. Redaktorki oraz prezes Towarzystwa Galeria Literacka opowiadali o kolejnych etapach, a Olga Wiewióra prezentowała wybrane fragmenty korespondencji.

Honorowy Swingujący Kruk dla Tadeusza Orgielewskiego

CZĘSTOCHOWA. Tegoroczny 15. Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring” był szczególny z kilku powodów. Przede wszystkim główne wyróżnienie wręczono Tadeuszowi Orgielewskiemu, liderowi zespołu Five O’Clock Orchestra, zasłużonemu propagatorowi jazzu i pomysłodawcy festiwalu. Podczas galowego koncertu muzyk wystąpił wraz z laureatami poprzednich lat: Scottem Hamiltonem, Wojtkiem Kamińskim, Wojciechem Karolakiem, Trevorem Richardsem. Tak powstał Hot Jazz Springer All Stars, uzupełniony przedstawicielami młodego pokolenia wyróżnionymi w ostatnich latach Swingującym Krukiem: Michałem Jarosem, Magdaleną Howorską, Jagodą Wojciechowską.

Festiwal odbywał się w dniach 6–9 czerwca. W programie znalazła się oczywiście Parada Nowoorleańska, muzykowanie na ulicach, w klubach i salach Filharmonii. W ten sposób każdy mieszkaniec miasta mógł poprobać jazzu. Wystąpili m.in. Waldemar Malicki z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej pod dyrekcją Adama Klocka w programie poświęconym Gershwinowi, Ida Zalewska Quartet, Neil Wilde z zespołem Forsal oraz The Sazerac Swingers & Emily Rault oraz Siergiej Wowkotrub Gipsy Swing Quartet.

Hot Jazz Spring wpisał się już na stałe w polski krajobraz muzyczny i kto wie, może Częstochowa stanie się wkrótce stolicą jazzu tradycyjnego.

Posłuchać innych...

CZĘSTOCHOWA. 31 maja w Bibliotece Publicznej nr 9 odbyło się spotkanie z Mikołajem Grynbergiem, fotografem i reportażystą, który od końca marca prowadził warsztaty historii mówionej w częstochowskim teatrze. Kilka lat wcześniej autor odwiedził nasze miasto w ramach akcji *Aleje – tu się dzieje!*

Zajęcia rozwijały zdolności pisarskie uczestników, głównie w zakresie form dokumentalnych. Mikołaj Grynberg dzielił się swoim doświadczeniem, jak słuchać opowiadających i pomagać im w budowaniu historii. Zadaniem piszącego jest pokazać historię w taki sposób, by wywołać refleksję w czytelniku. Taka rozmowa ma niewiele wspólnego z typowym dziennikarstwem. Jeśli przygotowanie do wywiadu polega na jego zaplanowaniu i naszkicowaniu (to często kilka wcześniej opracowanych pytań, wpisujących się w jakiś cykl), tu należy żywo reagować, by nie stracić najciekawszego.

W rozmowie w bibliotece Mikołaj Grynberg opowiadał o swojej drodze twórczej i sposobie pracy. Zaczynał jako fotograf, a gdy obraz okazał się niewystarczający, uzupełnił portrety tekstem, by jak najwierniej utrwalić spotkania z ludźmi. Na co dzień korzysta z rodników, czyli notatnika, w którym zapisuje pomysły.

Krótko

*zagrali: park Lisiniec – Eternal Spiritis, Apress Band, Kacper Kapsa; Teatr im. Adama Mickiewicza – Andrzej Poniedziałki;

*wystawiali: Regionalny Ośrodek Kultury – Michał Bogacz *Multiekspozycje*, Dorota Supkowska *Barwne podróże*; OPK Gaude Mater – Joanna Sidorowicz *Jaźnie*, Malwina Cieślak *Malachitowe łąki*; Wejściówka – Anita Grobelak; Zwiastun – Matylda Ślosarska;

*21 czerwca w OPK Gaude Mater odbyła się promocja książki *Nieobecność* Magdaleny Piekorz i Ewy Kopsik;

*11 czerwca spotkanie z fotografem Arkadiuszem Gołą;

*7–8 czerwca Święto Szlaku Zabytków Techniki Industriada 2019; poza tradycyjnymi atrakcjami przygotowano wystawę zdjęć prezentujących dawne bale częstochowian. Grała Makabunda oraz Babu Król & Smutne Piosenki;

Marsz milczenia dla drzew

KATOWICE. W Parku Śląskim odbył się Marsz Milczenia Dla Drzew — stop wycince. To protest społeczny przeciw wycięciu 1327 drzew na historycznych terenach Parku Śląskiego. Mieszkańcy regionu wyrażą swój sprzeciw wobec dewastacji bezcennej zieleni, wzrostowi poziomu zanieczyszczenia i smogu, który truje każdego z nas. Prezydent Miasta Chorzowa wydał zgodę na wycięcie drzewostanu z terenu po Międzynarodowych Targach Katowickich — działki zakupionej przez spółkę deweloperską Green Park Silesia. Pod topór pójdą wysokie, zdrowe drzewa, stanowiące dom dla żyjących w Parku Śląskim zwierząt i stanowiące z parkiem jeden ekosystem. Przeciwno planowanej wycince zaprotestowali już przedstawiciele Parku Śląskiego, Urzędu Marszałkowskiego, licznych organizacji ekologicznych i społecznych.

Imprezy wakacyjne w mieście

KATOWICE. Kontynuowany jest cykl Koncertów promenadowych, które już od ponad dwudziestu lat cieszą się niesłabnącą popularnością. To wyjątkowa możliwość słuchania muzyki w wykonaniu znakomitych artystów w pięknym otoczeniu Parku Kościuszki.

Na wakacje katowicki Supersam szykuje nie lada gratkę dla fanów dobrych brzmień. To cykl bezpłatnych kameralnych koncertów, w ramach których wystąpi aż dziesięć zespołów. Wszystkich łączy projekt Dzielnica Brzmi Dobrze. Przed pu-

blicznością w Supersamie wystąpią laureaci poprzednich edycji DBD (2016-2018). To zespoły, które są już bardzo dobrze rozpoznawane (ZOŚKA, AISELIS, ŻYJOKI, ŁÓD 9, ERITH, SZKLANE OCZY, THE PARTY IS OVER) zapraszane niejednokrotnie na największe w Polsce festiwale. Celem projektu jest wsparcie grup muzycznych związanych z miastem, utożsamiających się z nim i reprezentujących konkretne dzielnice Katowic. Dla nich także uruchomiony został szereg działań aktywizujących, w tym warsztaty, koncerty, nagrania w studiu, nagrania video. Zespoły mają zapewniony dostęp sali prób (wyposażonej w backline i nagłośnienie). Nad zwycięzcami Katowice Miasto Muzyki UNESCO obejmuje patronat, co wiąże się z realizacją ogólnopolskiej i międzynarodowej kampanii promującej zespół.

Uruchamiany jest Program „Studio 3 na lato” jest to programem kulturalny, zawierający elementy rozrywki i promocji Katowic. Program będzie prowadzony przez prezenterów TVP3 Katowice z udziałem zaproszonych gości.

W Spodku odbył się World Hard Dance Championship, czyli pierwszy międzynarodowy turniej Shuffle i Jumpstyle. Tancerze z Francji, Litwy, Rosji, Meksyku, Niemiec i Ukrainy przybyli, aby wspólnie z wszystkimi uczestnikami imprezy dzielić się pasją, jaką jest taniec.

Lokal na kulturę

KATOWICE. Realizowana jest XIII edycja konkursu „Lokal na kulturę” w Katowicach. Jest on adresowany do osób, które mają ciekawe pomysły na uruchomienie działalności kulturalnej, artystycznej bądź twórczej. Jego celem jest ułatwienie startu społecznym inicjatywom kulturalnym. Wsparcie magistratu polega na udostępnieniu lokali po preferencyjnych stawkach czynszu.

– Projekty działające w ramach „Lokalu na kulturę” są dowodem na to, że sprawdza się strategia miasta, by inwestować w kulturę, nie tylko w wielkie wydarzenia, koncerty czy instytucje, ale, by wspierać oddolne inicjatywy mieszkańców, którzy najlepiej wiedzą, co jest potrzebne w ich najbliższym otoczeniu – mówi Marcin Krupa, prezydent Katowic.

Dotychczas w dwunastu edycjach wystawiono do konkursu 77 wolnych lokali użytkowych, zawarto umowy na 36 lokali, a aktualnie w użytkowaniu pozostają 24 lokale.

Letni Ogród Teatralny

KATOWICE. Letni Ogród Teatralny, popularnie zwany LOTem, to cykliczne przedsięwzięcie organizowane już od kilkunastu lat w lipcu i sierpniu w podcieniach Centrum Kultury Katowice. Ogród ma charakter przeglądu najciekawszych przedstawień teatralnych i kabaretowych, wystawianych w Polsce w ostatnim sezonie, a także koncertów i spektakli dla dzieci.



LOT gościł w ubiegłych latach wielu znakomitych przedstawicieli polskiej sceny teatralnej i kabaretu oraz muzyki, m.in. Teatr Stary z Krakowa, Teatr Polski z Wrocławia, Teatr Provisorium z Lublina, Jacka Fedorowicza, Kabaret Ani Mru-Mru, Kabaret Mumio, Marię Peszek, Joannę Szczepkowską, Grze-

gorza Halamę, Leszka Możdżera czy Tymona Tzymańskiego.

Przeгляд cieszy się dużym zainteresowaniem widzów, o czym świadczy frekwencja na przedstawieniach. Liczba uczestników ogółem sięga zwykle ok. 10.000 tys. osób. Bezpłatną imprezą w ramach Ogrodu dla widowni dziecięcej jest Letnia Grządka Teatralna. Przedstawienia dla najmłodszych widzów odbywają się w niedziele o godz. 15.00 i przyciągają corocznie ok. 400 dzieci.

Wakacyjna Trasa Dwójki

KATOWICE. W niedzielę 30 czerwca na ultranowoczesnej scenie z Katowickim Parku Leśnym wystąpiła plejada muzycznych gwiazd z Polski i zagranicy, m.in. Cleo, Margaret, Komodo, Sound'n'Grace, Filatov&Karas, Red Lips, Andrzej Piaseczny, Mesajah, Gromee, Afromental, Michał Szpak, zespół Shanguy, Marcin Sójka, Roksana Węgiel, Sarsa, zespół Ira, Brave, Formacja Nieżywych Schabuff, Kasia Popowska, Urszula, Blue Cafe, Weekend, Boys i wielu innych.



Publiczność zgromadzona na koncercie, a także widzowie telewizyjnej Dwójki bawią się będą przy najgorętszych przebojach ostatnich lat oraz evergreenach. Na marginesie muzycznej uczty gwiazdy podzieliły się wspomnieniami dotyczącymi swoich letnich miłości i wakacyjnych przygód.

Miasteczko piwne

KATOWICE. Na katowickim Rynku powstało miasteczko piwne otwarte dla smakoszy i miłośników piwa.



Funkcjonowało 20 stoisk na których prezentowały się: Browar Pilica, Browar Stacja Małomice, Browar Świebodzin, Browarna Bastion, Browar Racibórz, Browar Hajer, Browar Piwoteka, Rodinny pivovar Rampusak, Browar Rzemieślniczy Piekarnia Piwa, Browar Czarter, Minibrowar Reden, Browariat, Biała Małpa, Browar Hopick, Browar Spółdzielczy, Browar ReCraft, Minibrowar Spiż, Rybnicki Browar Rzemieślniczy, Browar Bury, Browar Mistrzowie Smaku.

III Śląski Festiwal Kapel Studenckich

KATOWICE. Spośród kilkadziesiątu zgłoszonych kapel jury w składzie Joanna Dolata, Tomasz Andrzejewski i Katarzyna Jasielska wybrało 9 zespołów, które wzięły udział w koncercie finałowym.

28 czerwca w trakcie IV Śląskiego Festiwalu Piwa odbył się koncert finałowy, podczas którego o nagrody walczyli: Honeycomb, Stonage full of sun, ECHO, Lethal Razors, Korky Toucher, Impertive, Farfocle, Alt Age i Snowblind.

Lato z książką

KATOWICE. W lipcu i sierpniu Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach zaprasza do wybranych filii, młodych niedorosłych (7-12 lat) na spotkania ze słowem, warsztaty i zabawy literackie, by wspólnie przebywać na łufcie. Tęgo lata organizatorzy imprezy zamierzają „luftować myśli”, uczyć się nic nierobienia i zażywać książkowej jogi, odwołując się do wzorów kultury i tradycji śląskiej, w której to dzieci przebywały na podwórkach przez większość część dnia. Odkryta na nowo przestrzeń będzie nęciła dotychczasowych użytkowników nowoczesnych technologii, prostotą i kreatywnością. Podczas „luftowania” uczestnicy będą uświadamiać sobie, jak ważną rolę odgrywa powietrze, co można robić będąc na powietrzu i jak o to powietrze należy dbać. Zorganizowane zostaną działania warsztatowe, które pozwolą na ukierunkowanie tych myśli, wzorem Dzieci z Bullerbyn, które spędzały na łonie przyrody cały swój czas, wymyślając kreatywne zabawy. Zaprezentowany zostanie pogląd, że kontakt z przyrodą niesie ze sobą pozytywny wpływ na funkcjonowanie i rozwój organizmu, a także oddziałuje na odporność, zachęcając młodych do korzystania z dobroci i różnorodności natury.

„Złombol” z Katowic do Irlandii

KATOWICE. W 29 czerwca wyruszył Złombol po raz 13-ty z Katowic, tym razem do Irlandii, wspierając dzieci z domów dziecka. Złombol to kilkudniowy, turystyczny, etapowy rajd charytatywny polegający na pokonaniu ok. 2500 km (w jedną stronę). Odbywa się corocznie w okresie wakacyjnym, pierwszy rajd odbył się w 2007 roku. Start ma zawsze miejsce z Katowic i prowadzi do różnych miejsc w Europie, Azji czy Afryce. Uczestnicy mają za zadanie sprzedać powierzchnię reklamową swoich pojazdów darczyńcom. Cała kwota trafi na konto rajdu Złombol. W rajdzie nie ma sponsorów, zgłoszone załogi muszą same pokryć koszty wyjazdu i przygotowania do wyprawy. Organizatorzy wyjazdu nie zarabiają na akcji Złombol. Rajd jest w 100% charytatywny. Początki rajdy były skromne, jedynie 2 auta wystartowały do Monte Carlo — udało im się zebrać ponad 14.000 PLN. Obecnie Złombol jest największym zmotoryzowanym rajdem charytatywnym na świecie — w 2018 roku zgłosiło się 836 pojazdów, a suma na koncie osiągnęła 1 8866,050.13 PLN — pobijając tym samym o 65% rekord z poprzedniego roku. Po zakończeniu zbiórki, team Złombol jeździ do domów



dziecka i konsultuje z podopiecznymi oraz wychowawcami ich potrzeby. Przy współpracy z kadrą wybiera dzieci i młodzież, które skorzystają z kursów językowych, sportowych czy usamodzielniających. Podwyższenie kwalifikacji pomoże im

w przyszłości znaleźć pracę. Od kilku lat dzieci wyjeżdżają też na wycieczki i dwutygodniowe kolonie nad morze lub w góry. Przez 12 lat działań udało się spełnić marzenia 3 275 dzieci z 90 domów dziecka. Ponad 18 000 darczyńców wspiera działania uczestników rajdu i pomaga realizować marzenia dzieci z domów dziecka.

Tym razem ponad 450 aut opuszczało plac Antala i Sławika przed Spodkiem, włączając się do ruchu na aleję Roździeńskiego, objeżdżając rondo i kierując się na trasę DK86.

Uniwersytet najlepszych

KATOWICE. „Uniwersytet Najlepszych” to nowoczesna inicjatywa edukacyjna, której pomysłodawcami są Uniwersytet Śląski i Miasto Katowice przy wsparciu Pałacu Młodzieży oraz Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej nr 5 w Katowicach. W tej edycji program rozszerzony został o kolejne miasta – wsparcie najzdolniejszym uczniom z województwa śląskiego zapewnią również Chorzów oraz Sosnowiec.

Przedsięwzięcie skierowane jest do najzdolniejszych uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych zainteresowanych rozwojem naukowym. Projekt ma na celu pokazanie bogatej oferty edukacyjnej Uniwersytetu Śląskiego oraz zachęcenie do podjęcia studiów na terenie województwa śląskiego. Główną metodą pracy w „Uniwersytecie Najlepszych” stanowi edukacja spersonalizowana oparta na tutoring. Zadaniem opiekuna jest pomoc w znalezieniu optymalnej ścieżki rozwoju naukowego i dostosowaniu jej do zainteresowań ucznia, a także motywacja do dłużej trwałej pracy nad rozwojem osobistym i naukowym.

Pierwsza edycja programu cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród uczniów katowickich szkół – zgłoszonych zostało ponad 60 kandydatów, spośród których wyłoniono 30 najzdolniejszych, pracujących następnie pod okiem tutorów.

Rzeka Odra – rzeka śląska

KATOWICE. 7 lipca 1819 roku w Bohuminie podpisano Protokół, który był pierwszym dokumentem regulującym Odrę. 200 lat później, w lipcu 2019 roku Regionalny Instytut Kultury o tym opowiada poprzez sztukę, ekologię, zabawę, teatr i muzykę podczas zaprasza na Wielkiego Pikniku w dorzeczu Odry w Rudach.

W programie był m.in. spektakl teatralny, spacer edukacyjny, polsko czeski spływ do Zabełkowa i wiele innych atrakcji. Gdy zabrakło sił można było posilić się pysznymi potrawami, przygotowanymi w kuchni polowej.

Wydarzenie zostało objęte Honorowym patronatem Marszałka Województwa Śląskiego Jakuba Chełstowskiego, a także patronatami: Starosty Raciborskiego Grzegorza Swobody oraz Burmistrza Kuźni Raciborskiej Pawła Machy.



W dokumencie filmowym Ilony Ziok *Karuzela Kurta Gerrona* (Kurt Gerron's *Karussell*, 1999) można zobaczyć krótkie ujęcie tego artysty niemieckiego kina, gdy stoi wśród Żydów w Theresienstadt na planie propagandowego filmu o obozie *Führer darowuje Żydom miasto* (*Der Führer schenkt den Juden einen Stadt*, 1944), do realizacji którego został zmuszony przez hitlerowców. Kilka przejmujących sekund, zbliżenie sylwetki zniszczonego przez cierpienie człowieka. To już nie korpulentny magik Kiepert z *Błękitnego anioła*, który grał u boku Marleny Dietrich. To fizyczny i psychiczny wrak.

O czym myślał wtedy, gdy chwycił się rozpaczliwie resztek życia, jakie mu jeszcze zostały? Może ludzi się, że udział w produkcji obrazu o „dobrodziejstwach” lagrowej egzystencji pośród landszaftowej fikcji Terezina zapewni mu bezpieczeństwo. Nie mógł przewidzieć, że niedługo po zakończeniu prac, 28 października 1944 roku, zginie w Auschwitz, o ironio, w ostatnim gazowaniu, jakiego tam dokonano. Ta niema, przejmująca twarz artysty, zwrócona w stronę kamery, nie przypominająca zupełnie dawnego filmowego gwiazdora, towarzyszyła mi podczas spektaklu Jolanty Janiczak i Witkora Rubina w Teatrze Śląskim.

Na scenie ustawiono kilka ekranów, projektorzy, pojawił się pianista, między tym wszystkim przestrzeń, którą wypełniły postaci z zachowanych fragmentów obrazu Gerrona. Tamte i obecne. Film i teatr. Zawsze fragment, ta zasada wydaje się organizować kompozycję spektaklu. Nic nie powiedzieć do końca, bo niby jak to uczynić, skoro aktorzy na scenie mogą jedynie podjąć próbę oddania tego, co myśleli i czuli ludzie, których ślad przechowały już tylko strzępy taśmy filmowej; ludzi, którzy w większości nie żyli, gdy proces produkcji farsy o żydowskim gettcie miał się ku końcowi.

Jak ukazać ich ból, strach, paniczną wolę przetrwania, zmieszczenia się w kadrze za wszelką cenę, czyli *de facto* próbę przeżycia 11 dni zdjęciowych? Autorce i reżyserowi udało się zbudować szczególnie dramat – dramat pamięci, polegający na tym, że w istocie nie można jej przekazać, podobnie jak niesposób przekazać traumy obozowego doświadczenia.

Właściwie mottem sztuki Janiczak i Rubina mógłby stać się cytat z filmu Ingmara Bergamana *Z życia marionetek*: „Zwierciadło jest rozbite, ale co odbijają odłamki?” Tym powiększonym odłamkiem przyglądają się autorzy spektaklu. Los Żydów skazanych na Zagładę, na krótką chwilę, zatrzymał przypadek, zlecenie SS, by nakreślić w Theresienstadt obrazy nieistniejącego świata, wielkiej dekoracji. Poza nią, o czym w spektaklu przypomina znany wszystkim napis nad obozową bramą, istnieje tylko inferno. To piekło – jak pisał Henryk Grynberg – otwiera się wszędzie,

Pozostał tylko strach

WOJCIECH LIPOWSKI

gdzie poniżana i mordowana jest niewinna ofiara. Teraz po dziesiątkach lat staliśmy się świadkami uruchomienia tych tragicznych kadrów, by, niczym archeolog, pod kolejnymi warstwami palimpsestu odnaleźć cień prawdy o tamtym czasie.

Kurt Gerron, grany bardzo sugestywnie przez Agnieszkę Kwietniewską, z nieodłącznym cieniem, nadzorcą SS, Karlem Rahmem, w tej roli Mateusz Znaniecki; próbuje zaaranżować filmową bajkę o obozie, szantażowany groźbami i ostrzeżeniami. Przed oczami widzów, niczym w projektorze filmowym, przesuwają się będą jej poszczególne elementy. Na scenę i rozświetlone ekrany wjadą więc sielskie obrazki pracy w ogródkach działkowych, warsztacie, twarze pogodnych i szczęśliwych ludzi, odczytów, koncertu z orkiestrą, biblioteki, będzie nawet mecz piłkarski, łaźnia, opera dziecięca, dobre życie bez trosk i problemów. To w kadrze i prawdziwym filmie Gerrona. Poza kamerą strach, walka o przeżycie, próba dostania się do kolejnego ujęcia. Transporty.

Manipulacja i przecucie rychłej wywózki towarzyszy bohaterom zmieniającym role poza jedną: zniewolonego i obdartego z godności więźnia. Korowód tragicznych artystów, wypowiadających kwestie do kolejnego ujęcia obiega scenę a między tym gra na zwłokę, złudzenie, że to jeszcze nie dziś nastąpi wyjście za obozową bramę. Gdy stoją karnie w rzędzie apelowym: Benjamin Murmelstein (Bartłomiej Błaszczczyński), Olga Meyer Gerron (Katarzyna Brzoska), Zdenka R. (Natalia Jesionowska), Alice H. S. (Anna Kadulska), Freddy H. (Michał Piotrowski), Handa V. (Aleksandra Przybył), Hans K. (Marcin Szaforz) – mamy wrażenie, że oprócz strachu przed bliskim końcem, ich przerażenie wywołuje fakt, że indywidualne historie każdego z nich zostaną zapomniane, ulecą jak przerwana *Etiuda es-moll* Chopina, którą próbuje grać Alice, by podtrzymać tę wątplą nić łączącą ją ze światem dawnego humanizmu. To, co nie daje się zrekonstruować spychane jest brutalnie w niepamięć.

Spektakl skłania do refleksji nad znaczeniem naszej obecności w tym tragicznym doświadczeniu człowieka. Hans Günther Adler, więzień Theresienstadtu, poeta, literat, użył określenia: zorganizowany obłęd. Jesteśmy świadkami tego procesu i to chyba najbardziej przejmujące przeżycie, jakie staje się udziałem każdego widza, bo przecież pamięć jeśli wraca, to za sprawą innych. Gdy na ekranie oglądamy aktorów w obecnych wnętrzach muzeum lagrowego w Terezynie, próbujących przenieść tam postaci sceniczne,

widzimy ledwie zdziwienie zwiedzających dawny obóz. Benjamin Murmelstein dopija resztki napojów zostawionych na stołach przez turystów, inni aktorzy stoją niczym żywe eksponaty w izbach więźniów. Nie budzą emocji tylko ciekawość. Elie Wiesel pisał, że przeciwieństwem życia nie jest śmierć lecz obojętność. Czy nie w ten sam sposób patrzmy na twarze ludzi utrwalonych w filmie Gerrona? Zaś w teatrze na artystów próbujących oddać na scenie ich myśli, marzenia, obawy, strach. Aktorom Teatru Śląskiego udało się je ukazać znakomicie.

Dodajmy, że świadomość własnej inności, obojętności przedstawionych postaci lagrowego świata uderza w spektaklu Rubina najpełniej. To właśnie inność rozumiana jako różnica skłania widza teatralnego do próby rekonstrukcji przeszłości. Na przykład tocząca się po scenie piłka, która wypadła z kadru, staje się w jednej chwili jej znakiem, wspomnieniem śmiertelnego zagrożenia, rekwizytem świata bez przyszłości.

Krótkim wytchnieniem od koszmarniej rzeczywistości był dla Kurta Gerrona kabaret *Karuzela*, który prowadził w getcie. Występowali w nim najwięksi artyści tamtego czasu, więźniowie obozowi. W przedstawieniu Janiczak i Rubina mamy tylko echo tego epizodu. Gerron w zadumie ledwie wyśpiewa kilka zdań słynnej piosenki Mackie Majchera z *Opery za trzy grosze* i zamilknie pełen rezygnacji. Nie ma złudzeń, co do natury ludzkiej i realiów tego świata. Zatem co pozostaje? Obrazy i tylko one ratują pamięć przed zatarciem. Stąd na scenie tyle ekranów, o których już wspomniano. Gdyby nie zachowane kadry filmowe, zdają się mówić bohaterowie sztuki Janiczak, pozostałoby po nas puste miejsce. Pusta przestrzeń po umarłych domaga się wypełnienia.

Patrząc w zbliżeniu na ludzi przymuszonych do żywiołowej gry na planie propagandowego obrazu, wiemy, że była to jedyna możliwa ucieczka z piekła, jakie zgotował im los. Tylko w ten sposób mogli zaznaczyć swą obecność, unikalność tamtego doświadczenia, które dziś trudno sobie wyobrazić, bo, jak pisała zapomniana poetka Amelia Średniawa, „następni, co po nich przyjdą — spokojnie będą przerzucać karty historii”.

Kurt Gerron
Führer daje miasto Żydom
reż. Wiktor Ruben
tekst Jolanta Janiczak
Teatr Śląski w Katowicach
Prapremiera 7 czerwca 2019

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 7 (284) • ROK XXV • LIPIEC 2019



NIEZNANE
OBLICZA MIAST





Na górnośląskiej mapie wojennych sekretów Bytom zajmuje miejsce szczególne. To miasto pełne opuszczony schronów i podziemnych bunkrów, o których krążą niesamowite legendy. Bytom posiada też swoją historię o tajemniczym ładunku ukrytym przez Niemców pod koniec wojny (na zdjęciu Szczelina przeciwlotnicza w Miechowicach, usytuowana w okolicy dawnego Ośrodka Szkoleniowego NSDAP. (foto Maciej Bartków).

Szczegóły str. 30



Ciężki schron bojowy nr 52 to flagowy obiekt stowarzyszenia Pro Fortalicium, ratującego od lat zabytki architektury militarnej. To właśnie ten bunkier, znajdujący się w Dobieszowicach, jako pierwszy został oczyszczony ze śnieci i ziemi, odrestaurowany i przywrócony do stanu z 1939 roku a następnie udostępniony do zwiedzania. (foto Dariusz Pietrucha)

Szczegóły str. 48



Albert Hoffmann, zamożny producent części lotniczych, posiadał pałac w Rogowie Wołowskim. Rezydencja była dla niego miejscem szczególnym, gdyż jego zmarła w młodym wieku córka została pochowana w przypałacowym grobowcu. Jej ciało spoczywało w szklanej trumnie w potężnym sarkofagu. W 1945 czerwonoarmiści rozbili grobowiec i zdewastowali kryptę. Pałac służył jako mieszkania dla lokalnego PGR-u, potem także stał się ruiną. (foto Julia Montewska)

Szczegóły str. 52

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że w niedzielę 7 lipca 2019 roku zmarł

prof. zw. dr hab. Józef Bańka

myśliciel, filozof, nauczyciel akademicki, erudyta, promotor młodych kadr naukowych, autor kilkudziesięciu prac naukowych, Honorowy Profesor Uniwersytetu Śląskiego, miłośnik i znawca poezji. Wyrazy szczerego współczucia Rodzinie i Bliskim Zmarłego składają
Zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
Redakcja miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk”
Zarząd i Pracownicy Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”
w Katowicach.



